

# BRACIA RYWALE.

---

O B R A Z Y  
SPOŁECZEŃSTWA WIEJSKIEGO

z XVIII-go WIEKU

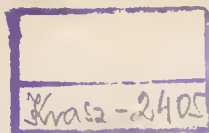
PRZEZ

J. I. KRASZEWSKIEGO.

---

WARSZAWA.  
NAKŁADEM GEBETHNERA I WOLFFA.

—  
1877.



Дозволено Цензурою.

Варшава 29 Июня 1877 года.

w Drukarni M. Ziemkiewicza Krakowskie-Przedmieście Nr. 415.

1984 k 99

## I.

Dawno to już temu, na probostwie w Boru-  
sławicach, w Lubelskiem, (na mappie ich nie  
szukajcie)—siedział ks. Celestyn Paczura. Nie  
wiem, jak tam dziś jest, wówczas było to sobie,  
ot—miasteczko, jakich u nas wiele. Kościół  
pod inwokacją Św. Floryana, patrona od og-  
nia, murowany, sięgał piętnastego wieku, choć  
w późniejszych kilka razy był przerabiany, cze-  
go ślady na nim zostały. Plebania też, szpital  
przy niej i szkółka, wszystko było murowane  
i stare. Z Firlejowskiego jeszcze nadania do  
probostwa należały znaczne grunta, łąki i lasu  
kawałek, które dobry folwarczek składały, ale  
że na to nikt niełożył, a szło zawsze dzierżawą,  
nie wiele z tego mieć było można.

Ks. Celestyn Paczura, który od wikaryusza  
tu siedział, a teraz był proboszczem, człowiek  
dobroci osobiwej, spokojny na podziw, serdec-  
zny, a można było rzec, że nieprzyjaciela nie  
znał. Naówczas musiał mieć lat pięćdziesiąt  
i kilka.

Jak kościół za starym cmentarzem, tak i pro-  
bostwo rywałe.

bostwo za swemi zabudowaniami, nieco było za miasteczko wysunięte. Droga tedy wielka prowadziła do Lublina; kilka mizernych donków za kościołem jeszcze stało nad nią, ale życie miejskie skupiało się głębiej około rynku.

Około probostwa cicho było i spokojnie, chyba gdy na targ tygodniowy, albo na cztery do- roczne jarmarki, większy zjazd się trafiał—na- ówczas tedy ludzi więcej i wozów się przesu- wało. Na Św. Floryana też 4 Maja, dla odpu- stu koło kościoła gwarno było, bo na ten dzień z Rzymu miał ołtarz wielkie indulgencye. Na małym wzgórku, wśród lip i klonów już sta- rych, stała murowana plebania, obszerna dosyć i wygodna. Dziedzińce wszystkie, tak jak cmentarz murem były obwiedzione. Ku drodze do muru przyparty stał szpital, ze zwykłym obrazem przedstawiającym Łazarza, któremu psy rany liżą i z wielkim krucyfiksem u drzwi. W tem samem podwórzu z plebanią była i szkółka, i kuchnia proboszczowska, i pomniej- sze zabudowania dla chudoby. Wszystko to ce- chy nosiło nie dzisiejszego wieku, mury były grube, niskie, kominy potężne, okna małe, kra- ciaste, a większa część izb miała sklepienia.

Wprost dziedzińca furtka wiodła na cmen- tarz, gdzie się dawniej grzebano, i po dzisieju wiele grobów i kamieni pozostawało, a niebosz- czykom pokoju zakłócać nie chciano, bo się trafiało, że kopiąc grób nowy, stare kości i szcząt-

ki trumien dobywano — nowy ementarz trochę opodał założono. Tamten już, nie murem, ale parkancem był obwiedziony, i poznać można było łatwo, że w uboższych powstał czasach,— którym stało na mury gorzelni i obór, ale na rolę Bożą zabrakło.

Na starym ementarzu przy kościele, zaraz od wnijsia z probostwa, stała wielka w XVII wieku fundowana dzwonnica, w której oprócz wielkiego dzwonu, Floryanem zwanego, wisiało jeszcze trzy mniejsze...

Tuż i kościół za szkarpami swemi rozsiadał się wygodnie, przy którym dwie były kaplicc, także późniejszymi czasy dostawione.

Budowa była mocna i piękna, częściami, jak to z okien znać było, z XV wieku, częściami z późniejszych. Wieżyczkę z sygnaturą i większą nad chórem organowym, już późno wzniesiono, i te miały cechy nowsze. A że kościołowi szczęściło się zawsze z proboszczami, którzy się o dom Boży starali, aby go utrzymać pięknie, dziwnie się tu wiele rzeczy zachowało, mimo wojen, zawichrzeń i różnych kraju losów. Poszło to pewnie tak tradycyą od pierwszego, co tu siedział po ufundowaniu, a którego imię nawet w wizytach kościelnych nie pozostało,— następcy wstydzili się okazać mniej dbałyimi i duch jednego gorliwego człowieka, choć pamięć jego zagasła, żył w pokoleniach następnych.

Można powiedzieć, że od progu począwszy, było na co popatrzeć i czemu się dziwować...

W samem wnijsciu kazał się pochować jeden z fundatorów, obyczajem wieków pobożnych, jak się to naówczas często trafiało, na kamieniu nie dopuszczając wyryć imienia swego nawet, tylko słowa pokorne:

*Hic jacet peccator—*

*Orate pro eo.*

(Tu leży grzesznik—módlcie się za niego.)

Z tych wyrazów, które lat więcej dwóchset ścięrały nogi pobożnych parafian, ledwie teraz ślad pozostał...

W sklepionej kruchcie pod chórem, w prawo u murowanego słupa, stała bardzo stara kamienna chrzcielnica, w kształcie wielkiej czasy, na nieforemnej podstawie. Na bokach jej też napisy były i godła nieczytelne, ale poważna staruszka, choć nie piękna, poszanowanie obudzała. Ileż to rąk, z których już i kostka nie ocalała, czerpało z niej wodę święconą! W kruchcie były na prawo drzwi do składu, w którym się pogrzebowe przybory, katafalk, drewniane lichtarze i stopnie mieścili, z wielu innemi odwiecznemi gratami. Tu chowano i rycerzy drewnianych wielkopiątkowych, i wszystko, co do tego obchodu służyło, i stary żłobek wystawiany na Boże Narodzenie. W lewo wschody wiodły na chór do organów, także na klucz zamykane, aby się nie wszyscy tam ci-

sneji. Było to łaską organisty, komu dał wstęp na górę, a nie każdy jej mógł dostąpić. W kruchcie stanawszy, cały ów kościółek można obejrzeć było, który, choć nie wielki, pięknymi proporcjami się odznaczał. Sklepienie wsparte na słupach, łukowate, dochowało się bez uszkodzenia... Słupy tylko dawniej gotyckie później porzebierano modniej i nie bardzo się godziły ze sklepieniem. Nowszą była ambona rzeźbiona z drzewa, i ołtarz wielki, cały złożony, z figurami Św. Floryana, Wacława i Wojciecha a Stanisława. Dawniejszy szafisty, gdy się smak zmienił usunięto na lewo, ale pozostał w całości. Nie było to arcydzieło, przecież w nim i kunsztu i uczucia więcej może czuć się dawało, niż w nowej strukturze, pokażniejszej a zimnej...

Po nad kratką, która prezbiterium oddzielała od kościoła, w górze też znajdowała się dawna z piętnastego wieku Tęcza, z Chrystusem na krzyżu i figurami Matki Boskiej i Św. Jana. Zaraz poznać było łatwo, iż one z ołtarzem na lewo w pokrewieństwie zostawały. Szafisty ów ołtarz nalewo miescił N. Pannę, w prawo nowszy odpowiadający mu Św. Antoniego Padewskiego. Stalle w prezbiterium z drzewa dębowego ostały się stare, tylko części ich niepotrzebnie ktoś olejno pomalował. U ścian w lewo był cały szereg grobowców kamiennych i marmurowych, a z tych część tylko herbami bez

napisów się odznaczała, na prawo też znajdowało się ich parę. Drzwi dwoje, żelaznych, przezroczystych, przedziwną robotą ślusarską, wiodło z obu stron do przybudowanych kapliczek.

Ławy i konfesssionały stare się uchowały, wiele przy nich chorągwi zblakłych i formy nie dzisiejszej, po lat dwieście liczyło. Utrzymanie staranne dało im to długie życie. Przypatrując się z bliska, co krok się spotykało pamiątkę ciekawą... W posadzce kamiennej z napisami grobowemi minąć się nie było podobna. Niektóre z nich wmurowane były w słupy, inne w ściany... Ex-votów, malowanych tabliczek, obrazów zapylonych mnóstwo się spotykało wszędzie. Co dopiero mówić o zakrystyi, ornatach i o małym skarbcu, gdzie w skrzyniach i ksiąg i graduałów i chóraków pełno było... Żaden może mały kościółek na prowincyi takiego nie miał zapasu monstracyj i pacyfikałów, kielichów, relikwiarzy, począwszy od piętnastego wieku. W czasie wojen szwedzkich kilkakrotnie uwożono te skarby do lasu, zakopywano je, a ks. proboszcz Derszniak, któremu nogi przypiekała Szwedzi nad wolnym ogniem, zmuszając go do powiedzenia, gdzie pochował kościelne rzeczy, został kaleką na całe życie, aby te drogie pamiątki ocalił...

Proboszcza tu nigdy o nie głowa nie zabolala, a gdy się zjechało duchowiństwo na od-



pust, czy na pogrzeb, nie potrzebowało z sobą kielichów przywozić—zawsze ich dosyć miała zakrystya... Toż samo z ornatami, z których jeden perłami szyty leżał w pokrowcu, mało kiedy używany, drugi z figurą Chrystusa rzeźbioną i haftowaną i herbami fundatorki, tylko się ciekawym pokazywał. Gdy przyszło z asystencyą celebrować, i kapy i ornaty dobrane występowały, że nieraz bogatsze kościoły zazdrościły Borusławicom. Ale tu nie było proboszcza i nie było dziedzica, ażeby *more antiquo* coś nie przyłożył do tej żywej kroniki... W szufladach leżały te karty pobożne, jak historia wieków trzymających się za ręce, i kroczących drogami jednemi...

Teraźniejszy proboszcz ks. Celestyn Paczura tak się kochał w swoim kościółku jak ks. Derszniak, który dlań nogi utracił. Wizerunek tego męczennika, który później o kulach mszę świętą odprawiał, wisiał dotąd w zakrystyi z opisem łacińskim całego wypadku. Szwedzi cierpliwością proboszcza przerażeni, bo się im nadludzką wydawała—porzucili go i uciekli, a włościanin znalazłszy odwiózł do Lublina, gdzie u Ś. Ducha przeleżawszy kilka miesięcy, ks. Derszniak do zdrowia powrócił, i żył jeszcze lat piętnastcie.

Do grobowców starych w ścianach i na posadzce co to się tam różnych podań wiązało, które z ust do ust przechodząc, przyozdabiane,

poetyzowane stały się tkaniną fantazyi pobożnych na wątku przez rzeczywistość dostarczoną!.. Jeden dziaduś podawał drugiemu, zakrystyan następcy...—a gdy historia dwa pokolenia przeżyła... jak mur była mocną...

Ks. Celestyn Paczura, choć się niby z mieszczkańska zwał, szlachcic był czystej krwi, ale z tej małej, ubogiej szlachty, co nigdy na wierzech nie umiała, czy nie chciała wypłynąć.—W Lubelskiem Paczurowie Ostoję mieli wsi kilka, jeszcze niedawnemi czasy. Brat ks. Celestyna, pan cześnik Medard Paczura trzymał kawał ziemi dziedzictwem, lecz nie pilnował gospodarstwa i marno to poszło. Żona zmarła ze zmartwienia, dzieci się przy klucznicy wychowywały, aż p. Medard, który nieustannie jeździł, sejmikował, służył wszystkim oprócz siebie, umarł w samą porę, gdy już mu i to, co zostało a wisiało, zabierać miano.

W spadku po nim ks. Celestyn wziął dwóch chłopaków, o rok tylko wiekiem się różniących... których mu owa klucznica płacząc odwiozła... bo nikogo na swiccie, prócz tego stryja nie mieli. Trzeba było znać skład domu i gospodarstwo proboszczowskie, ażeby zrozumieć, jakim to ciężarem mogły się stać dwie gęby młode... Wprawdzie probostwo miało niby folwark, zwany Plebanką, o którym wspominaliśmy, lecz z tego niewiele było pociechy. Trzymał go od dawna ubogi człek, obarczony fami-

lią, niejaki Hołowicz, szlachcic zamaszysty, gadatliwy, umiejący proboszczowi biedę swą w strasznych przedstawiać kolorach. Ten, sam Bóg wie, czem i jak się proboszczowi za dzierżawę wypłacał. Rzadko się ks. Paczura z groszem obaczył. Dostawiano po trosze zboża, owsa, grosz wpływał kapanią — nie było z tego pożytku. Dochody kościelne szły na kościół i jego utrzymywanie. Dosyć że ksiądz biedę klepał, ale ks. Paczurze łatwiej ją było znosić niż komu innemu, bo nie wiele dla siebie potrzebował — a pogodę i wesołość miał taką w duszy, że mu jej nie, chyba cudze nieszczęście zamącić mogło.

On sam, przy wielu postaciach a bardzo skromnem życiu, obehodził się małym; zapraszano go też to tu to owdzie często, więc głodnym nie bywał. Nakarmić tylko kościelne sługi i wymaganiom ich uczynić zadość, kłopotem było niemałym. Stara klucznica Magdalena, wiecznie zajęta, spiesząca się i stękająca, nie miała od nich spokoju, i nie dawała go też ks. Paczurze.

Na wikcie proboszczowskim był organista Matłachewicz, człek daleko więcej wymagający od samego proboszcza, bo się miał za znakomitego męża, co nieledwie z łaski na małym organie borusławicckim grywać raczył. — Temu i piwo eodzien być musiało i — jak tylko nie post, mięsa kawałek koniecznie. Nie tylko

z klucznicą się o to do upadłego wadził, ale i ks. Paczurze dojadł raz nie jeden. A pozbyć się go nie chciał, bo co miał dobrego to głos donośny, czysty, że gdy zaśpiewał, miło było posłuchać. Wiedział o tem dobrze Matlachiewicz i korzystał, wielkim będąc dla proboszcza ciężarem. Nieraz też zabalamuciwszy się w miasteczku i na chór się opóźnił, i z głową zaproszoną na nieszpór przychodził, co ks. Paczurze wielce było niemiłym. Ale znosił.

Zakrystyan, kulawy Mamert, nie był tak wymagającym, ale mrukliwym, gderliwym, szukającym utrapienia. Dolegało mu coś zawsze, a gdy biedy nie stało, przeczuwał ją, domyślał się i prorokował. Taką miał naturę. Ten znowu do kościoła i jego porządku przywiązany był nadzwyczajnie, godziny nie chybił i nikomu jej nie dał zapomnieć, kręcił się dzień i noc, zamiatał, sprzątał—zbierał, chował, przesuszał, liczył i chwili nie spróżnował. Gdy na ławie siadł już po nocy, to stękał a narzekał, że mu się gęba nie zamykała, a człowiek był dobry z kośćmi. On i Matlachiewicz żyli jak pies z kotem, i to też nie było dla proboszcza przyjemnem, bo ich ciągle godzić i sądzić musiał. Jeden na drugiego intrygował, cierpieć się nie mogli. A oba byli potrzebui!

W szpitalu pod Łazarzem siedzieli jeszcze Wieicha stara babka, pobożna, mileząca, trzęsąca się już od wieku, bo utrzymywała, że ma

lat sto blisko, i dziad, przygarbiony, z głową nieco krzywą, Hruszka... Nie był to zły człowiek—ale pił. Od tego nałogu nie go wstrzymać nie mogło. Zarzekał się kilka razy, i nie wytrzymał. Wszelako zasygnować i do dzwonu pójść, kościółek zamieść, posprzątać kula-wemu Mamertowi pomagał.

Gdy się to wszystko do kupki zebrało, oprócz organisty, który był człek pokaźny, kulawy Mamert, trzęsąca się Wieieha, z przekrzywioną głową Hruszka, a w dodatku tak zwany głupi Bartoch, który nie mając tu żadnej oznaczonej funkeyi, wisiał przy plebanii,—ks. Paczura nazywał ich swoją komendą inwalidów.

Głupi Bartoch służył do wszystkiego w plebanii, dla tego że nigdzie indziej niktby go był nie zniósł. Spójrzawszy nań, widać było zaraz w nim zawalidogę. Na bardzo niskich, grubych nogach, krótki w sobie, ramion szerokich, z głową ogromną, jakby hydrocefal, najeżonym włosom, małemi oczkami, oddętymi wargami, z wejrzeniem osłupiałem. Jakaś się mowa, Bartoch mało co rozumiał, mówił źle i trudno, tyle tylko że do rąbania drew, noszenia wody i na posyłki się przydawał. Do wielkiego też dzwonu można go było postawić czy na sumę, czy w czasie pogrzebu, nie ustał nigdy. Owszem, coś się z nim takiego naówczas działo, że gdy chwytał za sznur, w początku z wolna się poruszał, potem coraz żywiej, a gdy

podzwonne trwało, wpadał w jakiś szal, walił coraz gwałtowniej i oderwać go w końcu było trudno. Ciekł mu pot z czoła, wargi wisiały, oczy wychodziły na wierzeh — z jakąś rozkoszą machał, rzucał się, miotał, i gdyby mu z rąk sznura nie wydarto, na śmierćby się zadzwonił.

Potem zwykle zaraz pod dzwonniceą jak padł w trawę, leżał długi czas, nim do siebie przyszedł i zwłókł się powoli do kuchni... Dziki był na pół człek — nie trzeba go było drażnić, bo gdy się wściekł na kogo, Boga i ludzi zapominał — aez to się rzadko trafiało.

Wszystka ta ludność z rąk księdzu proboszczowi patrzała, nie tylko ich nakarmić, napoić, ale i odziać było trzeba, a że się to koło kościoła kręciło, musiała odzież być od ludzi, zwłaszcza w dni świąteczne...

Na probostwie teraz nie było wikaryusza, obchodzić się bez niego musiał ks. Paezura, bo i sam, będąc wikarym jeszcze, z powodu długiej choroby swojego poprzednika — obsługiwał parafię bez pomoey niczyjej. — Różnie bywało. — Ale koniee z końcem się sehodził przy Bożem milosierdziu.

Mieszkania było dosyć — a jak teraz nawet — nadto. Na probostwie, wszedłszy w sieć, która była dostatnia, (ztań drzwi szły do lochu) — w lewo była jedna izba sklepiona tak duża, że w ezasie stypy do ehleba żalobnego osób w niej trzydzieści siąć mogło wygodnie, i jeszcze się było gdzie obrócić.

Jak za dawniejszych proboszczów tak i teraz ozdób tu żadnych nie było... Stołów trzy z sobą zestawionych, ław kilka i stołków, u drzwi zamezysta szafeczka niska, na ścianach Chrystus ukazujący bok rozdarty, Matka Boska bolesna naprzeciw, piec kaflowy zielony z ławą — i wszystko. Okna małe, w murze grubym, dwa nawet z błonami ołowianemi, nie wiele światła wpuszczały.

Ztąd do średniego pokoiku, gdzie był ołtarzyk domowy w kąciku, wechodziło się ciasnymi drzwieczkami, a przeszedłszy przezeń tuż i sypialnia ks. Paezury.

Łóżeczko małeńkie, twarde, dwa kufry, stół, na nim brewiarze, agendy i książek kilka — nad łóżkiem palma i gromniea, obrazki świętych... nie i tu więcej. Ks. Paezura mało żyjąc w domu, nie przywiązując się zbytnio do niczego, oddając, co miał z wielką radością, nigdy żadnego zapasu mieć nie mógł, ani się on starał.

Za sypialnią dawni proboszczowie miewali skład, murowaną izbę z oknami kratą obwarowanemi, ale ks. Paczura nawet go nie zamykał, bo tu tak jak nie było, chyba się łom jaki zawieruszył. Klucze u niego w ogóle nie na wiele służyły.

Na przeciwno mieszkania proboszcza, było dawne wikaryuszowskie, teraz nie zajęte. Byłby je pewnie sobie przyswoił Matłachewicz, bo mu tu wygodniejby było i przyzwoiciej,

ale nie chciał być tak bardzo na oku. Wolał więc od tyłu, gdzie osobny wchód miała izdebka mniejsza, zajmować ją. A nie wiele i w niej gościł, bo jeśli nie w kościele, najczęściej był na mieście, u znajomych, albo i w szynku. Wikaryuszowskie mieszkание, dwie izby, stało niemal puste, na różne służące użytki. Bywało, że tam i gościa, gdy się trafił—ulokowano.

Na folwarku mieszcila się klucznica stara, miał izbę Mannert, a kąt jakiś Bartoch. Ten jednak niekiedy się przespalał w szpitalu, czasem na dworze — bywało że u żyda w szabas, bo go i tam do swiatła najmowano. Ani poscieli, ani schronienia stałego nie miał.

Taki był skład dworu ks. Paczury, gdy mu na chłopskim wózku, splakana klucznica, przywiozła dwóch chłopaków, prawie równego wzrostu, żółtych, chudych, z najeżonemi głowami. Byli to synowcowie jego:—Wacek i Wicek. Biedne dzieci głodne, wystraszone, splakane, zziębłe, stanęły u progu, w odartych kaptanach i drżały...

Spodziewał się ich już ks. proboszcz, ale w pierwszej chwili, ujrzawszy tak strasznie zbiedzonych, wylękłych, zmizcerowanych, lży mu się w oczach zakręciły. Kazano im w rękę całować i do nóg stryjowi padać—nie dopuścił do tego i obu wyściskał, a słowa jakoś zrazu wyrzec nie mógł. Dopiero nie rychło tchnął i uśmiechając się zawołał:



— Niech będzie Bogu chwała! Nauczy się to ministrantury i do mszy będzie służyć, aż miło!!

Pierwsza mu myśl przyszła o tej służbie Bożej.

Na folwarku, jak tylko dojrzano, że się wóz zatrzymał przed bramą i chłopców poprowadzono na probostwo—zbiegło się przez ciekawość, co żyło. Najprzód nadeszła, może najwięcej interesowana Magdalena klucznica, dla której nowy ciężar przybywający, dostarczał do gderania i narzekań obfitego materiału. Z załamanymi rękami już przez sień kroczyła. Dążył za nią kulawy Mamert, nie mniej kwaśny od niej i zgryźliwy; ze szpitala ciągnął powoli Hruszka, nie śmiejąc wchodzić, ale czyhając, by się czegoś dowiedzieć. Widząc, że wszyscy gdzieś idą, wpadł nie pytając po co i czego głupi Bartoch, i drzwi nawet za sobą nie zamknął, choć to była jesień i powietrze już ciągnęło dosyć chłodne.

Otoczyli wszyscy dzicci, przypatrując się im zdaleka. Ks. Paczura po pierwszym wzruszeniu już przychodził do siebie—i twarz ze smutnej wracała do zwykłego spokoju.

— Magdaleno—odezwał się—Pan Bóg dał nam gości, na asindzkę to pono spada o nich myśleć... bo jejmość co ich przywiozła, dozoru nad nimi podjąć się nie może.

Podżyła niewiasta, chustką ogromną obwi-

nięta, która tylko czekała, aby jej usta rozwiązano, poczęła wnet szybko:

— Ojczy, dobrodzieju! a gdzież mnie biednej, własne dzieci mającej, z pracy rąk utrzymującej się, nieszczęśliwej... nastarczyć dla nich... Biedna sierota... nie jestem w stanie... Póki nieboszczyk żył... ciągnęło się, choć z biedą wielką. Bywało różnie... Dziś — co ja pocznę... co ja pocznę? Bóg widzi!

Łamała rękę, słuchał ks. Paczura.

— A któżby od jejmości takiej ofiary wymagał, gdy i własne masz dziatki, na które pracować musisz?.. To się rozumie, iż synowcowie na mnie spadają, a Bogiem się świadczę.. że z wdzięcznością ten dar z Jego rąk przyjmuję.

A! damy sobie rady z niemi! nieprawda mościa Magdaleno?..

Klucznica, chociaż ją litość brała nad dziećmi, nie porwała się bardzo ochoczo do zaopiekowania niemi. Głowę potrzasała długo...

— A juści! a juści! — rzekła — co się musi, to się zrobi... A juści... Nie na gody tu oni do nas przybyli.

— Bo też one do godów nie zwykły — dodała przybyła opiekunka — moja jejmościuniu, za życia nieboszczyka... o suchym chlebie nie raz się żyło... a rad był człek, gdy ciepłej polewki bez omasty dostał...

Ks. Paczura milczący słuchał.. Dzieci się tymczasem strwożonemi oczyma po ogromnej izbie rozglądały.

Bracia sieroty podobni byli do siebie, rok różnicy w ich wieku mało był widocznym; twarzyezki mieli wychudłe i zwiędłe zawezesnie; ręce, które im z krótkich wyglądały rękawów, kości więcej miały niż mięsa... Odzież na obu łatana była, wyszarzana i biedna, obowie podarte, spodnie, z których powyrastali, sięgały im wyżej kostek. Ostrzyżone, widać na podróż, głowy ręką opiekunki — jeżyły się zębato powyrywanemi włosami.

Litość obudzało biedaetwo — i wszysey ją uczuli, gdy się im przypatrzyli. Ksiądz się zbliżył, aby z nich dobyć głosu. Spytał, czy umieją paeierze, czy choć eokolwiek z katechizmu wiedzą? Żaden z nich nie ośmielił się odpowiedzieć, ale klueznia zapewniła, że i paeierza ich uczyła, i miejscowy organista przez miłosierdzie czytać ich nieźle ponanezał.

Ucieszyło to bardzo ks. Paezurę, który się odezwał wesoło:

— Ho! ho! droga tedy otwarta! dalej już wszystko pójdzie jak z płatka — byle dobra wola.

Cheiał objaw tej dobrej woli usłyszeć z ich ust, ale chłopcy się przelekli, głowy pospuszczali, i lży im się tylko potoczyły z oczu. Zobaezywszy to proboszez, nie wymagał więcej...

— Ale oni głodni byé muszą! — zawołał — jejmość, moja pani Magdaleno, a nakarm że tę zgłodniałą rzeszę... i panią, co ich przywiozła, też...

Widać było pewne zakłopotanie na twarzy klueznicy, lecz nie nie odpowiadając, szepnęła coś przybyłej do ucha, i eheiała namówić, by z nią wyszła. Chłopey, zobaezywszy to ruszyły przerażone za swą pierwszą opiekunką.

Ks. Paczura możeby był rad ieh wstrzymać, lecz pomyślał, że winni byli ostatnią tę ehwilę spędzić z pocziwą kobietą, która im miejsce matki zastępowała, zgodził się więc na to, ażeby szli z nią razem na folwark. Tuż za nimi ruszyli wszysey eiekawi, a ks. Paczura sam jeden w wielkiej izbie pozostał.

Zaprawdę miał o ezem się zamyślić, i nie dziw, że długonieporuszony w miejsu, z oczyma wlepionemi w podłogę, jak wryty stał, wzdychając, modląc się może...

Leez, po tej ehwili trwogi i zwątpienia, jak gdyby mu nagle otueha jakaś do serca wpłynęła—podniósł oezy ku obrazowi Chrystusa i Matki Bolesnej — twarz mu się wyjaśniła znowu. Poezał ehodzić wielkimi krokami.

W progu ukazał się Matłachiewicz.

— Nieeh będzie poehwalony—odezwał się.

— Na wieki wieków—rzekł stając proboszez—a co tam?

— A nic!—śmiało poezął organista. Jegość słyshę ma gości! szyderskim dodał tonem.

— Bogu za to dzięki... sieroty mi zesłał...

— Albo to my wszysey tu nie sieroty? mruknął organista... Nieeh tylko jegomość dobro-

dziej pomysli, jak tu u nas i na te gęby trudno...  
co dopiero jak ich tu dwie przybędzie?

— Mój Matłachiewicz—przerwał ks. Paczura—nie psuj, że ty mi dobrej myśli, nie nadwężaj nadziei, jaką w Bogu mam... proszę cię...

Łagodnie to były powiedziane słowa, ale z powagą, która organiście usta zamknęła.

— Zapewne—dodał—a co mnie do tego? co mnie do tego! Jaż ich karmić nie będę! Z życzliwości dla księdza proboszcza się rzekło, bo na sieroty są różne przytulki...

— To synowcowie moi—odparł proboszcz...

Matłachiewicz spytał o nabożeństwo jutrzejsze, i nagle, jakby urażony, wyszedł. Ks. Paczurze zachmurzyło się czoło. Za ledwie drzwi się za nim zamknęły, gdy Magdalena żwawo wbiegła. Zobaczywszy ją, stanął z rezygnacją proboszcz pewny, że nowe go spotkają wymówki...

Kobiece serce jednak litościwsze było... Spójrzawszy w oczy księdzu, nie chciała nań gderać stara klucznica,—westchnęła tylko...

Ręką podparła brodę i stojąc patrzała mu w oczy.

— Nakarmić to, odziać, fraszka—rzekła jakby sama do siebie—ale kto to będzie tego pilnował? Niech-no jegomość pomyśli! Dziś to nic, ale jak się to cokolwiek odgryzie, obezna, oswoi—to tu tego wszędzie pełno będzie, i w ogrodzie, i na cmentarzu, i po izbach!

Milczał obwiniony...

— Jakoś to będzie—wybąknął wreszcie, — obmyśli się... zobaczycie... To ten to ów zajrzy... No—a może się gdzie odda do szkółki... Nie frasujcie-no się... A jedli?

— Matko miłosierdzia!—przerwała klucznica—żeby jegomość widział, jak jedli, jak chlipali—co chleba spożyli—strach... Gdzieś ich głodem morzyli... Zrobiłam jajecznicę z ostatnich jaj, no to tę i podróżna też jadła... dzieciom na prędcie zgotowało się polewki z okrasą... no i chleb... Jak się wzięli, ażem stojąc patrzyła i dziwiła się.

— Chwalić Boga — chwalić Boga! rzekł śmiejąc się proboszcz... aby u mnie choć głodu nie zaznali... A gdzież my ich pomieścimy?

Zamyśliła się stara Durska.

— Na wikarceby można — ale tak samych jednych—strach... a kogo im tu dać? Bartoch głupi...

— Niech się Hruszka w progu położy...

— Pijaniusienki...

— Skaranie Boże...

— Ale już tam temu zaradzę—poczęła Magdalena—siana się im zaściclc i kilimek... bo pościeli oni żadnej nie mają.

Radzili tak długo, poczęła i podgderywać klucznica i postękiwać, proboszcz zawsze w takich razach jeden miał ratunek — brał za brewiarz. Naówczas zamykały się usta i Durska

odchodziła, choć mruczając. Mogła wojować z ks. Paczurą, ale nie z jego brewiarzem. I tego dnia, nie mając innego na nią sposobu, sięgnął proboszcz po starego przyjaciela, który przed przybyciem sierot, na stole był rozłożony... Wyszła klucznica.

Tym sposobem Wicek i Wacek dostali się do stryja na probostwo... Następny dzień był dla nich jeszcze dniem łez, tęsknoty i trwogi. Odjechała jedyna opiekunka, do której byli nawykli, znajdowali się w miejscu zupełnie obcym; postacie, co ich tu otaczały, nabawiały trwogą, począwszy od samego stryja. Największy pociąg jeszcze i ufność czuli do pani Durskiej, z którą się wczoraj przy jajecznicy i polewce zapoznali—ale instynktowo przestrach obudzał imponujący Małkiewicz, który na pół głośno smarkaczami ich nazywał, nie mniejszą obawą napełniał widok kulawego, mruczącego Mamerta, pijanego Hruszki i głupiego Bartocha, tego śmiech nawet i wyszczerzone zęby straszne były...

Proboszcz dnia tego dał im swobodę. Dzień jesienny był dosyć ciepły... Tuż stojący kościół, dzwonnica, stary cmentarz, kostnica, ogród, w którym była stara grusza z wiszącymi jeszcze gdzie niegdzie ulęgalkami... kaczany od kapusty na ogrodzie wkrótce rozproszyły tęsknotę a obudziły ciekawość. Z ostrożnością puscili się w tę podróż odkryć po no-

wym dla siebie świecie, cicho i ostrożnie szepcząc na ucho różne uwagi, jakie się im nastrecały... Zrazu kościół i cmentarz obudzał pewną obawę... nie śmieli przestąpić furty dzielącej od niego dziedziniec... Zakrystyan kulawy Mamert, wiecznie zajęty, dobre gderliwe człeczysko, pochwycił ich tu stojących.

— A poszlibyście ze mną do kościoła, tobyście się pomodlili i Panu Bogu podziękowali, że wam dał w sieroctwie taką opiekę...

Chłopcy uciekliby byli, ale Mamert popędził ich przez furkę przed sobą i zaprowadził niemal gwałtem do kościoła.

Gdy się otwarły jego drzwi, i w dali, w głębi, ukazał się ołtarz zlocisty, wysokie sklepienia, pod którymi unosił się Chrystus w górze; choraągwie lśniące od galonów, rzeźbione figury aniołów, cała ta wspaniałość małego domu Bożego—chłopcy co dotąd nie widzieli nic, tylko mały, drewniany, ubogi kościółek swej parafii—stanęli zdumieni i zaciekawieni. Pusto tu było i cicho... Cisza dodawała majestatu i uroczystości małej świątyni, która się przez to, że była pustą i milczącą, większą wydawała i wspanialszą. Weszli powoli chłopcy za Mamertem, który, śledząc ich wrażenia, oglądał się na nich... weszli... i pod kruchtą uklękli oba... Złożyli ręce .. zaczęli szeptać jedyny pacierz,



jaki umieli — od którego się ich wychowanie poczęło:

Ojciec nasz...

---

W rok potem, Wacka i Wicka poznać nie było już można.

Pokorne sieroty, niemal panowały na probostwie. Białe twarze chłopaków rumieniły się zdrowiem, wypełniły policzki, zajaśniały oczy, wygładziły nastrzępione włosy. Ani Matłachiewicz, ani głupi Bartoch nie przerażał ich wcale, zawojowali Magdalene, w łaskach byli u kulawego Mamerta, a Wicicha i Hruszka nazywali ich paniczami.

O księdzu Paczurze niema już co i mówić — powtarzał ciągle patrząc na nich:

— Prawdziwe to błogosławieństwo Boże...  
*Sit nomen Domini benedictum!*

Potrzeba ich było widzieć, jak gospodarowali raźnie w zakrystyi, gdy ks. Paczura miał ze mszą wychodzić, jak ubrani w białe jednakowe komeszki, z niebieskimi wstążkami, Wacek ze mszałem, Wicek z ampulkami, wiedli stryja do ołtarza, jak Wacek sygnował wychodząc, jak oba potem schyleni ku księdzu, raźnie, głośno, równo odmawiali: *Confiteor*...

W dni uroczyste chlubił się nimi ks. Paczura, ich pojętnością, rozgarnięciem, żywocią, nawet swawolą. Potrzeba było na nabo-

żeństwo majowe, z którem razem przypadał odpust w Borusławicach, ustroić ołtarze, przygotować lampy, porozścielać kobierce—kulawy Mamert miał w nich pomocników ochoczych, tak, że teraz głupiego Bartocha pomocy nie potrzebował wcale. Bartoch z nałogu przybywał, ale nie mając co robić, albo się kładł na wznak pod dzwonnica, lub siadał na progu kościelnym i coś tam do siebie mruzczał. Miał obyczaj taki, on co z ludźmi rozmówić się nie umiał, że sam z sobą prowadził gawędy, wśród których często napadał go śmiech dziwny, śmiech niepohamowany, że oburącz sobie usta zatykać musiał. Spojrzał li kto naówczas na niego, uchowaj Boże, wnet namarszczył się, zagniewał, zrywał i uciekał...

Chłopcy oba lubili się zdala przypatrywać głupiemu Bartochowi, a nickiedy go nawet drażnili. Lecz raz cisnął kamieniem na Wacka, poczem go dwa dni nie było—i od tej pory strzegli się go zaczepiać.

Nie było już tu kąta teraz, nie tylko w plebanii, na cmentarzu, w kościele, ale w okolicy, któregooby chłopcy nie spenetrowali. Hamować ich trzeba było i karcić, tak to się do wszystkiego rwało. Proboszcz, nie mając kogo innego, za osobną opłatą, organistę tymczasowo dał im za nauczyciela pisania i rachunku. Z tym mieli prawdziwą męczarnię. Nie cierpiał ich Matlachiewicz, nienawidzili go chłop-

cy. Wzajemny wstręt, jaki ku sobie czuli na pierwsze wejrzenie, był jakby przeczuciem tych przyszłych stosunków. Niecierpliwy, przekorny, rad że im dokuczyć może, organista nie tylko ich po rękach klapał, klęczeć kazał, za uszy targał, ale przed stryjem obmawiał i skarżył, że z nich nigdy nie będzie, że na wisusów powyrastają, że słuchać nie chcą, o naukę nie dbają, a o jednej tylko myślą swawoli.

Widać jednak, że proboszcz, znając człowieka, niewielką do tego przywiązywał wagę, bo mu to serca do chłopców nie psuło... Nie zmienił nauczyciela, może dla tego, że w surowości widział pewny środek wykształcenia charakteru. Samą dobrocią wyżyć młodość bez szwanku nie może, tak jak srogością samą się psuje i zsycha. Jedno i drugie do poruszenia serca, nauki cierpliwości i pokory potrzebne. Walką jest życie, a człowiek do niego jak żołnierz musi się sposobić, wszystkiego zażywając, aby na wszystko był przygotowany.

Z ks. proboszczem chłopaki były tak swobodne, tak szczere, iż się niemi nacieszyć nie mógł, i powtarzał swoje:—Prawdziwe błogosławieństwo Boże!

Dobrze mu z niemi było. Wyjeżdżał do chorego czy na chrzciny, gdy dziecka do kościoła przynieść nie mogli—brał zwykle jednego z nich kolejno z sobą, a chłopaki pilnowały się dobrze na kogo szła kolej; tym sposobem

się młodzież przetrzęsła, nakarmiono obficie gościa w obcym domu, trochę się chłopcy przecierały i z ludźmi oswajały. Dzikie też już wcale nie były. Gdy proboszcz wracał sam, chłopcy ledwie się ukazał za bramą, stały gotowe mu pomódz wysiadać, węzełki z bryczki zabrać i po rękach całowały. Nie było bowiem wycieczki, żeby ks. Paczura czegoś z sobą nie przywiózł do domu. Znano jego ubóstwo i dobroczynność, że łatwo o sobie zapominał. Każdy mu się czemś chciał przysłużyć, i choć on o tem nie wiedział, wetknięto mu coś do bryczyny. Często się nie rychło postrzegł, iż w nogach coś zawadza, schylał się: — Co to to jest? I pokazało się, że mu albo faseczkę masła, albo kobiałkę jaj i sera, albo koszyk owoców wetknięto...

Ks. Paczura się uśmiechał:—A bodaj ich! pocziwc ludziska—zawsze o mnie pamiętają!

Dostatku w domu mimo to nie było, ale i głodem nie marli. Holłowicz, który trzymał dzierżawą Plebankę, folwark bardzo urodzajny, obarczony był dziećmi i z dobroci korzystał. Przytem nie najlepiej gospodarzył. Przyszło płacić, to się wypraszał, kwitki składał, o ustępstwa prosił, po rękach całował, a nic nie pomogło to, przyjeżdżała żona z diatkami, jak zaczęli modlić, musiał ks. Paczura ustąpić.

Wszyscy mu mówili dawno, że powinien był dzierżawcę zmienić, albo ekonoma pocziwego

wziąć, ale o tem proboszcz słuchać nie chciał. —Bójcie się Boga! mówił: tyle czasu siedzą na tej dzierżawie, gdzież to się podzieje? Trzeba Boga w sercu nie mieć, aby ich rugować. I Hołłowicz siedział. Żył, dzieci chował, a ksiądz biedę cierpiał, tyle tylko, że musię wysługiwali i całowali po rękach.

Nigdy szczupłe fundusze tak dotkliwie się czuć nie dały ks. Paczurze, jak gdy chłopców mu Pan Bóg dał, bo bądź co bądź, jakieś wychowanie dać im było potrzeba, posłać gdzieś do szkół—a to musiało kosztować. Matłachiewicz ze swą nauką nie na długo mógł starczyć. Nie było w myśli stryja robić z nich uczonych wysoko ludzi, chciał mieć pocziwych i do pracy zdolnych,—na to zawsze jednak więcej trzeba było, niż mógł dać organista, który czytać i pisać i trochę rachunków ledwie umiał, a muzyki i organu z praktyki się tylko nauczył przy krewnym. Chlubił się z tego, że nigdzie nie bywając w szkołach, sam sobie wszystko był winien, a jak to się często tego rodzaju ludziom zdarza, więcej o sobie rozumiał, niż był wart...

Znał go ksiądz dobrze, i troskał się zawczasu, dokąd odda chłopaków? wkrótce o tem czas już myśleć było. Odkładał po trosze, bo mu też i pomysleć stawało się przykro, dzieci w świat puścić—zostać samemu.

Gdy chłopcy przybyli, kłopot był zrazu; wkrótce tak się do nich przywiązał, że nie wie-

dział, jak bcz nich wyżyje. Wnieśli z sobą życie do domu, do zakrystyi, do kościoła... a wesołe ich śmiechy jak świergot wróbli w krzewach potrzebne były uchu i sercu.

Wacek i Wicek roztropni byli oba, podobni do siebie charakterami, a że ciągle z sobą żyli, nabrali jednych obyczajów, ruchów, głosu, tak, że gdyby Wacek o pół cala nie był wyższy—trudno ichby było rozpoznać. Młodszy jednak pojęcie miał nieco bystrzejsze i żywszy był, Wacek myślał powolniej, a postępował ostrożniej.

Nie tylko proboszcz, ale i parafianie przyzwyczajali się widzieć tych chłopaków i zajmowali się nimi, a odwiedzając ks. Paczurę, podpieszczali ich i psuli po trosze... W istocie przy summie, na processyach, w czasie nabożeństwa, para tych urodziwych chłopcząt w białych komeżkach, przyozdabiała uroczystość każdą. Niewinne te twarzyczki rozmodlone i jasne, mimowolnie aniołków na starych przypominały obrazach.

Na biedę rośli żywo i coraz się to swawolniejsze robiło, a do utrzymania trudniejsze; z Matlachiewiczem coraz szło gorzej, i nie było dnia, żeby skargi nie dochodziły proboszcza. Rzeczywiście zaś nie wiele oni byli winni, choć czasem figle płatali; tylko organista całą swą mądrość wyczerpawszy wprędce, dalej nie wiedział, co robić z nimi. Chwalił się on laci-

ną, ale jej tyle umiał, co z kancyonału i responsoryów, nie rozumiejąc, chwycił. Niechcąc się wydać z nieuctwem, wreszcie w końcu roku, rozgniewawszy się na Wacka, którego Wicek obraniał, trzasnął drzwiami, i poszedł oświadczyć proboszczowi, że więcej ich już uczyć nie będzie...

Ks. Paczura nie na to nie rzekł, wiedział i sam, że kiedyś na tem skończyć się musi, postękał, pochodził i kazał winowajców przywołać. Stanęli oba u drzwi, bynajmniej nie złęknicni.

— Cożeście tam znowu splatali? he? Matłachiewicz już was uczyć się zarzeka?—rzekł do brotliwie, ale smutno ks. Paczura.

Wicek się posunął naprzód.

— Niceśmy nie zrobili—Wacek nie winien... Pan Matłachiewicz szuka tylko pretensyi, aby bić i łajać...

— Mów Wacek! o co poszło? spytał proboszcz.

— O rachunki —odparł starszy. — Pan Matłachiewicz mówił, że jest omyłka, jam trzymał, że jej niema... Dopieroż od wisusów zaczął wymyślać, a omyłki nie było.

— Nie było—dodał młodszy i na stole położył sekstern. Pleban nań popatrział.

— Należało zmilczeć—rzekł—a nie odpowiadać zuchwale, zawsześ winien...

Chciał Wicek coś mówić, ksiądz pogroził z lekka.

— Idźcie, żeby mi tego więcej nie było... Matłachiewicz was uczyć nie chce. Do szkół iść będziecie musieli, nic ma rady.

Skłonili się chłopcy i wybiegli. Nie bardzo ich to zmartwiło. — Do szkół, do szkół! Brał wprawdzie strach, ale się razem uśmiechało... jechać w świat... tylu znaleźć towarzyszków, i z pod linii Matłachiewicza dostać się do prawdziwej szkoły!

Wylecieli jak burza z izby, jak huragan przebiegli sień pustą, w której się ich kroki rozległy, i wypadli na dziedziniec, a potem biegiem do furty i na cmentarz.

Cmentarz stary był najulubieńszem miejscem ich narad i przechadzek. W dziedzińcu zawsze coś przeszkadzało, chodzili ludzie, ktoś zawołał, posłano po coś... Czarna krowa, o której chodziły wieści, że bodła, nie dozwalała się przechadzać bezpiecznie. Na cmentarzu oprócz wróbli na lipach, nie było nikogo. Niekiedy głupi Bartoch legiwał pod dzwonnica, lecz ten im nie przeszkadzał. U muru był rodzaj starego grobowca opadłego, czy ołtarza, przy nim leżał ogromny kamień szary, na którym zwykle bracia siadali i tu gwarzyli godzinami. W prawo i lewo porosły dziko chwasty, krzewy, bez, głogi, róże zdziczałe. Zakrywały one tak ten kątek, iż chłopcy się tu od oczu ciekawych schować mogli. Powyrywali trawy i pokrzywy, i tu sobie zrobili schronienie, które im było



najmilsze. Nawet w deszcz bezpiecznie siedzieć mogli, gdyż rodzaj daszku do muru przypięty, zabezpieczał od niego.

Wprost tedy tam nieśli się z tą groźbą, która dla nich była zarazem jakby oknem otwierającym się na świat szerszy.

— Do szkół! do szkół! powtarzali biegnąc.

— Pojedziemy do szkół! bijąc w ręce wołał Wicek.

— I zbędziemy się tego niepocziwego Matłachiewicza!!

— To dopiero!—wołał Wicek—to dopiero zobaczymy świata, bo jużci nie gdzie tylko do Lublina!

Ściskali się z radości.

— No, a mnie będzie żal Borusławic—przebaknął, oglądając się Wacek.

— Co ma być żal! wrócimy przecie na wakacje, na święta...

Gwarzyli tak, to się śmiejąc, to smucąc, ale zmianą doli szczęśliwi, bo każda odmiana młodym głowy zawraca, gdy posłyszeli w dziedzińcu ruch jakiś. Domysłając się, że proboszcz ich potrzebować może, pędem nazad puścili się w dziedziniec.

Ks. Paczura wyjeżdżał, bryczka była zaprzężona. Sądzili, że którego z nich weźmie z sobą, kolej wypadła na Wacka, ale ksiądz zdala ręką tylko machnął, co znaczyło, że nikogo nie bierze, powrócili więc smutni na swe miejsca, puszczaćc cugle marzeniom.

I śmiechu, i sporu, i wrzawy było dosyć pod tym daszkiem i za temi gałęzmi, które spokojny jakiś osłaniały grobowiec.

Proboszcz tym razem ani do chorego, ani do znajomego w odwiedziny nie jechał: potrzebował się widzieć i rozmówić z Hołłowiczem, którego dwaj chłopcy byli już w szkołach; potrzebował z nim poradzić się o swoich.

Do Plebanki położonej pod lasem było małe pół mili—przebył je ks. Paczura zadumany i smutny. Myśl, że się z chłopcami rozstać przyjdzie, przykrą mu była. Ani się też spostrzegł, jak wśród tej zadumy zbliżył się do małego dworku.

Wyglądało to bardzo biednie, bo Hołłowicz, choć od dawna tu siedział, pamiętał, że był na dzierżawie, podpierał, latał—żył z dnia na dzień tylko. Dworek był stary i niepokaźny, z ganeczkiem o dwóch słupkach przepasanych w połowie i wyrzynanych ze staroświecka. Dach na nim słomą kryty, w części był mechem porośły, gdzieś poodnawiany, aby nie zaciekło. Sam ganek tylko gonty czarne okrywały. Na małym stolku, co otaczał domostwo, w rogach na kołkach suszono hładyszeki i wietrzono garnki, dalej rozwieszane były chustki. Z korytka pożywiał się zielem osypanem z wielkim apetytem wieprzaczek, w koło niego kręciły się kury, i gęsi z wyciągnionemi ciekawie szyjami... U studni gospodyni z zakasanemi

rękawami i podwiniętym fartuchem coś miała z balijkami do czynienia. Dwoje cieląt pasących się na kawałku trawy, usłyszawszy turkot proboszczowskiej bryczki, pierzchły wierzgając z fantazyą wielką, pozadzierawszy ogony do góry.

Obcjrzała się gospodyni i poznawszy dobrodzieja, biegła mu już otwierać wrota, a Hołłowicz wdziawał oponę i stał w ganku, gotów sam biedz na spotkanie.

Wielki to bowiem gość był zawsze ks. Paczura, gdy Hołłowiczów nawiedzał.

Jejmość otyła niewiasta, która po domowemu i bez czepka na głowie, i bez chustki siedziała, poszła się co prędzej ogarnąć. Dwoje dziewczątek z sieni uciekało też, bo nie były do gościa odziane. W domku zawieruszyło się.

— Proboszcz! proboszcz! wołano na wszystkie strony.

Hołłowicz szczęściem zdołał nałożyć rękaw drugi, nim ksiądz nadjechał, zbliżył się do bryczki, podał rękę księdzu i w ramię go czule ucałował.

— A cóż to za szczęście, że jegomość dobrodziej o swych sługach pamiętał? zawołał jakby zdyszany ze wzruszenia.

— Jak się macie! jak się macie! mruczał ks. Paczura. I wchodzili już do pierwszej izby na lewo, która choć najparadniejsza, w tym momencie wcale na przyjęcie, nawet tak pou-

fałego jak proboszcz gościa, przygotowaną nie była.

Jejmość, gdy bryczkę zobaczyła, zajęta była liczeniem motków, i część ich i talek zajmowała kawał pokoju. Na głównym stole leżało motowidło, kilka związanych kłębków na krzesło. Oprócz tego, na stole gąsior był na pół próżny z jakąś ciecżą mętną. Zobaczywszy to Hołłowicz, niezmiernie się zmieszał i na nieporządek babski narzekać zaczął. Uprzątnął żywo krzesło dla proboszcza. Wnet i jejmość w czepku na prędcie narzuconym i chustce, którą się okryła, nadeszła z przeprosinami.

— Niech jegomość dobrodziej daruje, słowo daję — gospodarstwo kłopotarstwo, a czego człowiek sam nie zrobi, nie będzie z tego pociechy.

— Ale nie ma nic, nie trudźcie się! — mówił ks. Paczura — niech to sobie będzie. Ja na chwilę do państwa — i — z interesikiem.

Zmieszał się Hołłowicz, przeczuwał, że ks. Paczura o zaległość się mógł upomnieć, i wąsa pokręcił, jakby go sobie chciał urwać.

Hołłowiczowa spojrzała z ukosa blademi oczyma, i nos utarła zaniedbany nieco... wśród gospodarskiej troski.

Czekali milczący, westchnął proboszcz. Ręce złożył i zadumany siedział, smutno mu było o tem i mówić.

— Masz waćpan dwóch synów w szkołach?

—odezwał się do Hołłowicza zwracając. Powiedz mi, radbym wiedział, co cię to kosztuje, gdzieś ich umieścić?

Hołłowicz zwykł był zawsze, zwłaszcza przed proboszczem skarżyć się i narzekać; podniósł wnet ręce do góry. Sama jejmość wsparła się na stole i czekała, co powie, aby mu wtórować gorliwie.

— Co oni mnie kosztują? odparł dzierżawca. Co kosztują? Nie, niech już jegomość dobrodziej nie pyta! Zjadają mnie, niszczą mnie, rujnują, jak Bóg miły! Od gęby sobie człowiek dla nich musi oddzierać. Kosztują! a!—westchnął.

— Ale przecież? pytał ksiądz, któremu się twarz zachmurzyła.

Nie mogli Hołłowiczowie domyślić się jeszcze, w jakim celu zadane było to pytanie; dzierżawca musiał być ostróżnym.

— Co kosztują? powtórzył.

Wtem przerwała mu żona prędko i podkaszując za każdym słowem:

— A! czy to tam się z tą szarańczą wyrachować można? Kto to wyliczy! Niby powiedziano, że tyle mają kosztować, a byłże jeden rok, żeby nas nie zdarli?

Ks. Paczura zmiarkował widać, że otwarciej się tłómacząc, prędzej do celu dojdzie.

— Widzicie bo, kochany mój Hołłowicz, ja moich dwóch malców muszę już do szkół oddać. Chciałem się was poradzić—gdzie? jak? rachowałem, że mi będziecie pomocą.

Spojrzeni po sobie gospodarstwo, i zaraz w istocie zmieniło się usposobienie. Hołłowicz przyszedł podziękować za zaufanie.

— Niech jegomość się na mnie spuści, ja to ułatwię, z duszy, serca, jak najlepiej.

— Jejmość — przerwał nagle — a kawa dla księdza proboszcza?

Choć niechętnie poszła, pani Hołłowiczowa, a dzierzawca się zbliżył do księdza.

— Oddać ich do Lublina, na stancję do dyrektora—rzekł—ordynaryę się da, to od umowy, w dodatku za naukę coś, gotowym groszem. Już to prawda — dodał wzdychając — z tą ordynaryą! dawniej inaczej bywało. Dziś czego oni nie wymyślają. Bywało wyka, krupy, trochę okras, słonina i starczyło, teraz i masła chcą, i w krupach wybredni, i sadłoby się im zdało, i suszenina na post, i grzyby,— i nie wiem tam już co, choć dzieci tego nie widzą! Odemnie nawet ogórki kwaszone wzięli! Ale czego człek nie zrobi dla dzieci!

Słuchał proboszcz myśląc, z kąd to wszystko było wziąć, a i pieniądze w dodatku za naukę.

— A to ich dwóch jeszcze! westchnął zakłopotany.

Hołłowiczowi żał się go zrobiło.

— Że dwóch to nie ma nic—rzekł—za dwóch zawsze mniej się da razem, jedno przy drugim, mniej niż od jednego wymagają.

Poszli tedy do szczegółów, ile mąki, krup

ile, jaka okrasa. Nadeszła Hołłowiczowa z kawą i wtrąciła się do rozmowy, upewniając dobrodzieja, że mąż jej to wszystko ułatwi jak najlepiej. Oboje mieli tę myśl, że proboszczowskich synowców umieszczając na tej samej stancyi co własnych synów, coś się im też okroićby musiało. Jedno przy drugim. Nie miał tego na sumieniu dzierżawca, bo za to swój trud i pośrednictwo ofiarował.

Tak pierwsze preliminaria do umieszczenia chłopaków omówione zostały. Rozumiało się samo przez się, iż ordynarya z dzierżawy po dobrych cenach odliczoną być miała, choć oboje Hołłowiczowie zapewniali, że jak najtaniej ją porachują.

— Już niech jegomość dobrodziej będzie pewien, mówiła jejność, że my łask jego dla nas pamiętni, nie nadliczym. Mielibyśmy na sumieniu. A! niechże Pan Bóg uchwata.

— Jak najsumienniej!! mruczał Hołłowicz, ręce obie zaciśnięte mocno podnosząc do góry, z wyrazem wielkiego przejęcia się suminością.

— Ani prószynki cudzej, dziękić Bogu, nie ma się na duszy! mówiła pani.

Proboszczowi niepodobna się było oddalić z domu na dłużej, umówionem więc zostało, iż dzierżawca chłopców miał odwiedzić do miasta i ze swymi umieścić. Właśnie pora po temu nadchodziła.

Chcąc się ze swoimi dwoma już ze szkół na wakacye przybyłymi popisać, Hołłowicz mru-gnął na żonę, która zawahawszy się wyszła.

W istocie nie łatwo ich było tak na prędce odszukać, matka domyślała się, iż młodszy musiał siedzieć w grochu, starszy zaś mógł z fuzijką pójść do lasu, a tam go, jak wiatru w polu, jak igły w stogu siana—odszukać nie było łatwo.

Oprócz tego, aby się przed proboszczem sta-wić mogli, i około czupryń i odzieży trzeba było radzić.

Młodszy na wsi, dla oszczędności chadzał bez butów, starszy miał łataną na lato katankę.

Zakłopotana matka wyszła, lecz szczęśliwiej się stało, niż się spodziewała: starszy, wróciwszy z lasu spał na sianie w szopce, — młodszy był niedalej niż w agrestie za dworkiem. Obu wnet umyto, uczesano, przyodziano i dobrze im poleciwszy, jak dobrodzieja w rękę mają całować—wprowadzono do izby.

Starszy Hieronimek był jak tyczka od chmie-lu cienki, wyrosły, chudy, z twarzą długą, wy-głądał głupowato, ale swawolnik był i psotnik na całą szkołę pierwszy, choć pozornie trzech niby zliczyć nie umiał. Młodszy pucłowaty, faworyt matki, obzartuch, leniwy, nie wiele miał intelligencyi, ale gdy do ogórków i grochu trafić trzeba było, instynkt przedziwny. Oczy miał piwne i kose.



Stawiono obu przed proboszczem, który kilka im zadał pytań, aby też mieć wyobrażenie, jak ich tam uczono. Młodszy posłyszawszy zadane sobie pytanie, otworzył usta, spojrzał na matkę, potem na ojca, oczy spuścił i zmilkł.

Słowa z niego dobyć nie było sposobu. Matka go tłómaczyła, że był lękliwy. Starszy, gdy kolej nań przyszła, począł się krztusić, jakby miał już coś powiedzieć, odchrząknął, nogą dwa razy tupnął, poprawił kołnierz od koszuli, chrząknął jeszcze raz, powtórzył pytanie, przekręcając je i z pomocą litującego się księdza, wybrnął z biedy. Rodzice byli pewni, że się doskonale popisnął. Po czem obu odprawiono na świeże powietrze. Młodszemu, ponieważ się skutkiem natarczywego egzaminu rozplakał, dała matka sera kawałek, i zaraz go poszedł przypiekać, bo w ten sposób urządzone najlepiej mu smakował. Starszemu pogłaskała głowę i nalala troszkę kawy. Tak się to szczęśliwie skończyło. Proboszcz nie był bardzo zbudowany, wiedział jednak, że takie dorywcze egzamina nic nie dowodzą, a ufał łasce Bożej, iż jego chłopcy, z ochotą do nauki, czasu tracić nie będą.

Oprócz tego myśleć trzeba było o oporządzeniu ich do szkoły. O tem już nic nie wspominając ks. Paczura, kawę wypiwszy, spytawszy o gospodarstwo, zabrał się do powrotu.

W miasteczku Borusławicach był Chaim

krawiec z powołania, do niego się udać nieodzownem się stało. Nie lubił go proboszcz, gdyż chytry człek, złośliwy, na każdej rzeczy coś obciął, i nie było najściślej obrachowanej rewerendy, z którejby mu się na parę czapek lub na kamizelkę nie okroiło.

Była to rzecz dowiedziona, zaklinał się, przeczył, chwytno go na uczynku potem. Sukna potrzebował dużo, zestępowywało się u niego nad miarę, suknie były ciasne, a kamizelka... gdzieś się pokątnie sprzedawała.

Sukno szaraczkowe dobre i mocne, miał już ks. Paczura dawniej kupione, i było go tyle, aby na wyrost można uszyć odzież i żeby na polatanie stało. Ociągał się tylko z szyciem, bo, jak mówiono wyżej, Chaima nie lubił, a innego krawca nie było. Choćby nawet dla bezpieczeństwa kazano mu szyc na folwarku, na oczach Magdaleny, proboszcz przekonany był, że upilnować go nie było sposobu. Musiał się rezygnować na to, aby być oberzniętym.

Następowało obuwie, bo w mieście buty szyc im kosztowało podwójnie. Jedne buty nowe i jedne przyszwyy były konieczne. O te się po bożemu jeszcze umówić było można z Seredowiczem. Seredowicz szewc, katolik pobożny, należący do bractwa i starszizny, śpiewał godzinki w kościółku i na probostwie mile był widziany. Temu zaufać było można, iż skórę da dobrą, podeszwę trwałą i cholewy, któreby

nie jedne przyszwyy wytrzymać mogły. Był on nadwornym probostwa dostarczycielem, robił buty księdzu, buty gospodyni i Mamertowi. Pocziwy, miłosierny człek opatrywał też dla miłości Bożej nawet głupiego Bartocha, któremu każdej zimy dawał stare buty, jak jałmużnę.

Naostatek szła jeszcze bielizna, którą z zapasu płótna, jaki miał ks. Paczura, uszyć musiała sama Magdalena, z pomocą którejś baby z miasteczka. Sześć koszul zdawały się bardzo dostateczne.

Ordynarya, grosz żywy i ta wyprawa, stanowiły wydatek znaczny, lecz nieuchronny. Mówił sobie w duchu ks. Paczura, iż na czem innym oszczędzi.

Nazajutrz nie tracąc czasu, posłano po Chaima, aby miarę brał i na folwarku fabrykację odzieży rozpoczął. Dowód ten nieufności obzedł mocno krawca, ale mu wprost powiedziała Magdalena o ostatniej kamizelce defraudowanej, i żyd warunki przyjął. Z oczu mu jednak widać było, iż czyni to, aby dowiódł, że mimo pilności, on swojego nie zmieni obyczaju.

Tegoż dnia przywołano i Seredowicza, który zapewnił, że buty będą „na urząd”, acz przestrzegł zaraz, że ta młodzież, co na nic nie zważa, w błoto dla swawoli lezie, najlepszego obuwia długo nie ponosi.

Cały ten dzień zszedł na troskach podobnych,

którym się chłopcy przysłuchiwali z kątów, a gdy Chaim poszedł sukno stępować, pobiegli za nim, aby mu się przypatrzeć. Rozognione ich wyobraźnie już się widziały w tych nowych sukniach, w nowych butach, odnowionem od stóp do głów. Przy każdej teraz zręczności Magdalena przypominała im, co kosztują, i jak być powinni wdzięczni stryjowi, który tak na nich łoży, nie nie żałuje, i sam nowej rewerendy potrzebując, odmawia jej sobie, aby ich poprzyodziewać.

Dni to były niezwykłego ruchu na probostwie. Do Chaima, który był gaduła, schodził się wszyscy na folwark, już dla plotek, już dla przypatrywania się robocie, miał bowiem sławę o tyle zręcznego, o ile niesumiennego majstra.

Matłachiewicz ubolewał, że dla tych urwisów, z których nigdy nie być jego zdaniem nie miało, proboszcz tyle i takiego sukna poświęcał. Ujmowała się za nim Magdalena, szwargotał Chaim, a chłopcy to przez okno, to od drzwi zagłądali. Dopieroż gdy przyszło przymierzać sfastrygowane, każdy był innego zdania: Chaim bronił swej roboty, Matłachiewicz utrzymywał, że odzienie jak wór leży, ksiądz domagał się, aby było szerokie i na wyrost. Prowadzono obu w tych bez rękawów oponczkach z folwarku, jak w processyi na plebanie, tu się musieli i z jednej i z drugiej

strony prezentować, aż póki ks. Paczura wyroku swojego nie wyrzekł. Wszędzie być miały zakładki. Ubranie na długie lata starczyć miało—a no, ta młodzież tak wyrasta prędko!

Już się Chaima robota kończyła, już i powolny a sumienny Seredowicz wkrótce gotowym być obiecywał, gdy dopiero ks. proboszczowi na myśl przyszło, że tu jeszcze i dwóch skrzynek dla nich było potrzeba, aby mieli gdzie złożyć rzeczy i książki i uczyli się je utrzymywać w porządku. Nie było gotowych na probostwie, znowu więc troska, aby i suche były i porządnie okute, a ks. Paczura przebiekiwał, że pomalowaneby być powinny, przeciw czemu Magdalena zaprotestowała.

— Jeszcze czego—rzekła—żeby ich elegancyi uczyć i psuć! I tak jęgomość aż nadto czyni dla nich. Do czego się to zdało!

Proboszcz się dał przekonać, i skrzynki kupiono w miasteczku bardzo proste, do kłódek. Obaj bracia poezeli zaraz tegoż wieczora uczyć się zamykania ich i odmykania, przyczem Wiekowa kłódka nie wytrzymała. Lament wielki, a litościwa Magdalena w sekrecie kazała ją naprawić. Słusarz zaręczał, że dopiero teraz trzymać będzie lepiej niż nowa, towar był tandetny.

Słowem roboty było dużo, troski mieli wszyscy dosyć, a Mamert stękał najbardziej, że mu chłopaków miało w zakrystyi zabraknąć i do

nabożeństwa. Za złe nawet miał proboszczowi, że dla nich nie wiedzieć jakiej edukacji szukał, gdy czytania, pisania i ministrantury byłoby dla nich dosyć na życie całe.

— A mało to ludzi z tem żyje, Pana Boga chwali i na zbawienie zarabia, bez zgorszenia ludzkiego! At! takie czasy! Mądrości się wszystkim chce. Aby tylko dusz przez to nie pogubili.

Do tych, co po chłopcach tęsknić mieli, należał i głupi Bartoch.

Prawda, że w początkach bywały między nim a nimi nieporozumienia, że kilka razy do passyi go doprowadzili, lecz później i oni mu się strzegli dokuczać, i on się do nich przywiązał. Zdaleka lubił bardzo przypatrywać się ich swawoli, ruchami rąk i nóg wyrazistemi jakby dopomagając do niej. Gonił ich oczyma, może zapożyczając u nich wesela. Bawiła go ich zręczność, puszczał się czasem biegać, gdy się na wyprzódki ganiłi, ale dopędziwszy ich zasapany, uciekał. Zbliżka bowiem nie śmiał nigdy do ich zabaw się mieszać. Gdy dzwonił, a chłopcom też napadła ochota do sznurów, nie bronił im nigdy tego.

Przygotowania do wyprawy dla chłopców, czyniły go widocznie smutnym. Stawał zamyślony nad skrzynkami, które na słońcu u ściany folwarcznej suszono, wpatrywał się w nich zdala, jakby w pamięci wesoły obraz ich chciał

zatrzymać. Wszyscy po trosze, jak on, nie mówiąc o tem, żalowali chłopaków i przewidywali, jak na probostwie bez nich pusto będzie i smutno.

Zbliżała się ta chwila rozstania. Hołłowicz, który pilno się dowiadywał, kiedy wszystko będzie gotowe, przyjechał raz ostatni dla oznaczenia dnia. Ks. Paczura zobaczywszy go, aż posmutniał, nie śmiejąc się do tego przyznać, iż rad był zwlec odjazd dzieci.

— Ale czego bo się tak spieszyacie? — rzekł do Hołłowicza — u mnie jeszcze nie wszystko gotowo, to tego, to tamtego brak, bieliznę doszywają.

— Toby im resztę można nadesłać — rzekł dzierzawca.

— Czyż to tam o dzień, dwa chodzi! — rzekł ksiądz wzdychając. Jużbym rad, aby wszystko było, jak należy, w porządku. Parę dzionków.

Zamilkł dzierzawca.

— Jegomości dobrodziejowi bo podobno chłopców żal będzie — dodał.

— A pewno, nie zapieram się! żal... pustka tu po nich zostanie. Ale co robić, dla dobra to ich, egoistą się być nie godzi. Więc kiedy?

— W Poniedziałek — wyrwało się Hołłowiczowi.

— We Wtorek może?

— We Wtorek, ale pewno.

— Co robić! niech i tak będzie.

Chłopcy bodaj stali podedrzwiami w czasie tej rozmowy i pierzchnęli natychmiast, roznosząc wiadomość po dworze całym. Powtarzano sobie:—we Wtorek.

Ks. Paczura nie odstąpił od tego, aby chłopcy dnia naznaczonego do mszy świętej mu służyli, po której dać im miał błogosławieństwo i dopiero „w drogę pokoju i szczęśliwości” odprawić. Posmutniał jeszcze, biedny stary.

Tymczasem chłopcy w swej izbie pakowali się i rozpakowywali, stały skrzynki otworem, do których i jabłka ofiarne i różne strzępki najpotrzebniejsze wchodziły. Magdalena ciągle coś przynosiła, proboszcz zaglądał, żeby się przekonać, czy umieli sobie dawać radę. Wicek kałamarz był schował do kufra, i dopiero Mamert mu uczynił tę uwagę, że atrament z bielizną nie dobrze się godzi. Jeden Matłachiewicz, trwając w swej niechęci dla chłopaków, z drugich się wyśmiewał, a sam wcale się nimi nie zajmował.

Nadszedł ów Wtorek naznaczony, i rano, mimo że deszczyk kropił, co, jak wnosił już proboszcz, podróż mogło powstrzymać, nadjechał Hołłowicz węgierskim wozem wyładowanym, gdyż i dwu swoich synów zabierał, a siano i owies zwykł był brać z sobą w drogę.

Na przedzie wysłane było siedzenie, a gdy



jeszcze upakować przyszło dwie skrzynki Wacka i Wicka, obawiać się zaczął ks. proboszcz o osie. Uczynił nawet tę uwagę, lecz dzierżawca mu zaręczył, że nie ugiąwszy się stodołęby uniosły. Szli wszyscy do kościołka, a przodem chłopcy oba. Ks. Paczura tak powoli, jakby chwilę wyjazdu odwlec pragnął. W zakrystyi już leżały ich dwie komeżki białe, które po raz ostatni wkładać mieli. Stał Mamert z założonemi rękami, spoglądając na przygotowania do mszy. On już był zawczasu i przykrycie zdjął z ołtarza i świece zapalił. W kościółku, na wieść o tej mszy na intencją dzieci, zgromadzili się z plebanii wszyscy, nie wyjmując głupiego Bartocha klęczącego wkruchcie koło chrzcielnicy. Chociaż msza czytana być miała, Matlachiewicz grać musiał na organach i śpiewać.

Z miasteczka też przybył Seredowicz, kilku mieszczan i babek. Im żał było chłopiąt szczególnie dla tego, że ich przy nabożeństwach brak być miało.

Ze wzruszeniem powoli mszę świętą czytał ksiądz Paczura. Po ostatniem przeżegnaniu, przy którym spojrzał na klęczących synowców, jakby łza mu się zakręciła w oku. Powrócili do zakrystyi. Tu, po modlitwie krótkiej, ksiądz włożył komżę i stułę i wyszedł do ołtarza z agendą, pomodlił się klęcząc, zwrócił się dając znak chłopcom, by bliżej przystąpili, i cichym gło-

sem nad schylonemi ich głowami odczytał błogosławieństwo.

Teraz wszystko było skończone; kulawy Marmert gasił świece wielkiego ołtarza, zasunięto obraz patrona, i wszyscy poszli na probostwo.

Skromne śniadanko czekało w wielkiej izbie, do którego i dwu synów Hołłowicza wezwano. Widząc wszystkich smutnych, dzierżawca starał się być jak najweselszym, humoru i ochoty dodawał.

Nie skutkowało to jednak. Ks. Paczura co-raz to spojrzał na swoich chłopaków, uśmiechnął się do nich i coś szepnął. Młodszy Hołłowicz tymczasem chleb sobie obficie masłem smarował, a starszy z talerza mięso ściągał, bo ich tu nie więcej nie obchodziło.

— Niechże się jegomość dobrodziej już nie frasuje — zawołał dzierżawca, który też darami Bożemi nie gardził i gębę miał pełną — już ja ręczę, że lepszego dyrektora i dozoru na całym świecie niema jak u Miniewskiego. Przeszło już przez jego ręce dzieci dosyć. Rygor jak należy, dyscyplina zawsze pod ręką.

Skrzywił się proboszcz.

— A! rószczką dziateczki Duch Święty bić radził — mówił Hołłowicz, a doroślejszych dyscyplina rozumu uczy.

Chłopcy, którzy dotąd znali tylko linię Małłachiewicza, pospuszczali oczy.

Śniadanie miało się ku końcowi, talerze sta-

ły zupełnie puste, a masła resztę palcem już do ust młodszy syn dzierżawcy prznosił. Proboszcz wstał, rzucili mu się chłopcy do nóg, bo tak ich Magdalena nauczyła, lecz ks. Paczura podniósł ich zaraz i do piersi przycisnął.

— Niech Bóg błogosławi—rzekł stłumionym głosem—prowadzi i odprowadza. Uczcie się, Boga bójcie i wracajcie mi zdrowi.

Szli wszyscy, żegnając się do progu, Hołłowicz powtarzał jeszcze.

— Niech jegomość dobrodziej będzie spokojny.

W sieniach nikogo nie było, ale przed plebanią, choć deszcz ciągle kroił, stali wszyscy. Zapłakana stara Magdalena oczy chustką ocierała; kulawy Mamert usta oddał, aby nie pokazać, iż mu się też płakać chciało. Wdali Wicicha i Hruszka i głupi Bartoch, kiwali chłopcom głowami. Z otwartymi ustami, skrzywiony okrutnie, z ręką za pasem, stał Bartoch z oczyma wlepionymi w chłopców. Jednego Matłachiewicza, który wprost z kościoła poszedł do miasteczka, nie było.

Zaczął się tedy pakowanie na ów wóz węgierski, na który siadł naprzód sam Hołłowicz, dalej posunął się starszy syn jego, który miał się przy nim umieścić, młodszy wcisnął się w środek. Siedzenie na przodzie przeznaczone było dla Wacka i dla Wicka, niezbyt może wygodne, lecz dające im czuć obie skrzyn-

ki drogie, które tylko trochę sianem przysłano. Gdy się usadowili tak wszyscy, woźnica obejrzał, proboszcz przeżegnał, trzy konie wyciągnęły się dobrze, nim wóz z miejsca poruszył. Chłopcy kłaniali się jeszcze czapkami i głowami, a stojący ich żegnali błogosławiąc. Proboszcz natychmiast do izby powrócił, wstydił się łez swoich.

Wóz stuknął na progu bramy, wytoczył się i za murem zniknął. A na probostwie zapanała cisza tak smutna, jakby już tam nikogo nie było.

---

Następnej niedzieli, jak zawsze na sumnę, dosyć się parafian zebrało. Kollatorem i najbliższym sąsiadem był pan starosta Andrzej Chryzostom Sniehota. Zwykle nań czekano z sumną, a nigdy na nią nie chybiał. Między nim a ks. Paczurą stosunek był dziwny, bo starosta i wielce szanował i zapraszał proboszcza, i rad był widocznie pozyskać sobie jego względy—a proboszcz, choć mu okazywał uszanowanie i nie miał powodu do najmniejszej niechęci, mimo dobroci swej dla wszystkich, zdala się od dworu w Zalesiu i od pana starosty trzymał.

Gdy się spotykali, jak najlepiej byli z sobą, bo ks. Paczura z nikim źle być nie mógł; przecież poufałości i zażyłości brakło. Starał się

o nią widocznie pan Sniehota, unikał jej proboszcz. Przecież gdy się o starościę zgadało, oddawał mu ksiądz sprawiedliwość wszelką i przymioty jego wynosił. Ale był powód dla którego, mimowolną czuł doń odrazę. ks. Paczura. Pan starosta miał jedną wadę, nałóg czy manię, bo nie wiedzieć, jakby to nazwać wypadało—był piniaczem.

Takich już dziś na świecie niema. Starosta pieniał się nio dla zysku, nie ze złośliwości, nie przez chciwość na dobro cudze, ale przez dziwną do prawowania się namiętność. Niepokoił tem ludzi, narażał się im, pieniądze marnował, a bez procesu żyć nie mógł.

Opowiadano o nim, że gdy mu raz szlachcie w sprawie o granicę chciał dla miłego spokoju dobrowolnie ustąpić—zburczał go.

— Chyba punktu honoru nie masz? jak to może być, ażebyś sobie bez oporu dał brać z przed nosa? he? Mnie się zdaje, że mi się to należy, ale to jeszcze nie racya. Któż to wie? mogę się ja mylić! nie chcę cudzego dobra mieć na sumieniu. Niech sąd rozpozna przy kim słuszność, musisz się kochanku prawować, to nic nie pomoże.

Proces dla starosty był rodzajem walki, ożywiał go, dawał mu ochotę do życia, wesołość, różność, gdy mu brakło tego zajęcia, smutniał i nudził się. Kosztowało go to nieraz dużo, ale o to nie dbał. Kupił pono był Zalesie je-

dynie dla tego, że tu miał widok na trzy sprawy ważne, dwie graniczne o bardzo znaczną dyfferencyę, która się na seciny włók liczyła, trzeci o summę na dobrach opartą, jakoby spleconą, przy tem uległą już przemilczeniu, o którą się upomniano. Mniejszych różnych spraw, jakie chwycił i prowadził, zliczyć było trudno. Więc jeździł po sądach i trybunałach, naradzał się z prawnikami, sam pisał informacye, wglądał we wszystko, gardłował, przymawiał się od kratek, a znano go z tego, iż prawo na palcach umiał, i radzono go się też chętnie. Dom był zawsze pełen mecenasów, regentów i gości. Szczęściem państwo Sniehotowie dzieci nie mieli a fortunę znaczną, która na te fantazyje starczyła.

Sam pan starosta człek wzrostu bardzo słusznego, chudy, kościsty, trzymał się zawsze prosto, głowa do góry, czuprynę nosił mocno podgoloną, i nastrzępioną, wąs też podstrzygał. Zwykł się być chętnie pod barki brać i ręce za pas zakładać, z czem mu było do twarzy i człek był prezencyi wielkiej. Przytem grzeczny niezmiernie, kłaniający się, wesoły, w komplementach przesadnych łacińskich wyegzercytowany i wymówny, anegdóć różnych starych i nowych zawsze obfito miał w zapasie. Pić bardzo nie lubił, ale do kielicha, gdy było potrzeba, stał, i tych co słynęli z tego, że czysto koło szkła chodzili, zawsze pobił. W domu, gdy

obyczaj nakazywał, poił, sam wolał trzeźwym być. Tak samo z jedzeniem, nie gardził niem, ale do niego wagi nie przywiązywał. W plikach papierów siedział ciągle.

Gdy mu zajęcia nie stawało żywego, naówczas lubował się w przeglądaniu starych procesów rozmaitych, szczególnie o posiadłości ziemskie i nikt od niego lepiej nie znał *status causae* ordynacyi ostrogskiej, albo sławnego owego procesu kapituły wileńskiej.

W papierach u niego ład był większy niż w gospodarstwie, w którem sami się ekonomowie rządzili i niemiłosiernie go okradali.

Sama pani Sniehocina, Anna imieniem, z domu Brzechwianka, kobieta była miłująca spokój, cicha, pobożna i dobra, a dla jegomości gotowa i cierpieć i milczeć i czynić, co kazał, byleby mu z tem dobrze było, to też może przykładniejszego małżeństwa nad to na świecie nie było. Szanował ją Sniehota i z wielkiem był dla niej przywiązaniem, ale miał taki obyczaj niedobry, że mimo to przy niej często na kobiety wyrzekał, prześmiewał i przykrość jej tem czynił.

Szło to tak sobie żartami, — a pani starościna, ostrzelana już z temi wybrykami, milczeniem je pokrywała.

Bezdzietni, samotni, krewnych nie mając blizkich, rozrywali się, jako mogli, on procesami, ona wychowywaniem dziewcząt, których u niej

zawsze, pod jej okiem, pięć do sześciu bywało w fraucymerze. Gdy z nich która dorastała, przyjętem już było, że starosta dawał dwa tysiące złotych posagu i sutą wyprawę. Sprawiano wesele jak własnemu dziecku, i te wychowanki starościnej, wszystkie jakoś szczęśliwie jej poszły, a dobrze się za mąż powydawały. Jedna nawet bardzo majątnemu człowiekowi poślubioną została. Starościna zwała je dziećmi swemi, a obchodziła się z nimi, jakby rodzone jej były.

Dwór w Zalesiu, u państwa Sniehotów, już niemal na pański zakrawał, jeździli karetą poszóstną, mieli dworzan kilku, kapelana bernardyna w domu, starego krewniaka *quasi* marszałka dworu, a służbę pośledniejszą bardzo liczną,—zaleski dom też poprawiony i dobudowany dosyć się prezentował pokaźnie. Była w nim i sala z chórkim, i pokojów gościnnych dosyć i różnych zakomórków aschówek do zbytku — a choćby się zjechało jak najwięcej miłych braci, miejsca dla nich nie zabrakło. Piwnica i kuchnia, zasposobione dobrze, starczyły na wszelkie wypadki.

W stajni kilkadziesiąt koni zawsze było w pogotowiu. Gościnność starodawna, uprzejma, braterska, drzwi otworem, a łacniej kogo zatrzymano gwałtem, niżby się go pozbyć miano.

Ze szczególnym był ks. Paczura szacunkiem dla starościnej — jednak nie wezwany nigdy do



Zalesia nie zajrzał, a po nabożeństwie bywało, iż się nawet z panem Andrzejem nie widząc, dawał mu do domu odjechać. Wprawdzie Sniehota, mając kapelana w domu, pomocy duchownej tak dalece nie potrzebował, a przecież za proboszczem, którego lubił — tęsknił.

Bywał ks. Paczura u nich zwykle na Wielkanoc, na św. Andrzeja i św. Annę, rzadko inaczej. Jednak kollatorowi należne uszanowanie okazywano. Czekało się na mszę świętą w niedzielę naniego, na którą do parafialnego kościoła z obowiązku nigdy przybyć nie omieszkali, choć miał w domu kaplicę. Trzeba było choroby ciężkiej, by Zalesie chybiło, a i w takim razie, przysyłano kogo i ze dworu. Mieli kollatorstwo ławkę swoją suknem wybitą, podawano im pierwszym patynę do pocałowania. Szli za celebrującym na processyi. W czasie obchodu Bożego Ciała, starosta księdza niosącego ciężką firlejowską monstrancyę zwykle podtrzymywał. Jednak stosunki były ceremonialne i chłodne.

Z ks. Serafinem, kapelanem starostów, ks. Paczura był w najlepszej komitywie, często gęsto pomagał mu on do spowiedzi i posług duchownych, ale to nie zbliżało go do Zalesia.

Tej też niedzieli chwilę czekać musiano, nim się poszóstna karetą i z nią bryka ukazała. Gdy ją spostrzeżono na drodze, dano znak i głupi Bartek na sumnę uderzył w dzwon wielki, za którym mieszczańskie chłopaki ruszyły resztą



dzwonów. Lud, który stał na cmentarzu, zaczął płynąć do kościołka. Mamert świece wszystkie, wielkie i małe zapalał. Matlachiewicz już był na chórze, na który kilku swoich wybranych puścił.

Stała landara przed bramą, i ukazał się starosta, jak zwykle, wyprostowany, z miną pańską, pod rękę wiodąc drobną i małą żonę swą, osłoniętą czarnym welonem. Za nimi szli ks. Serafin i dwoje dziewczątek jednakowo ubranych, z paninego fraucymeru, oraz stara Ościńska, która miała dozór nad niemi, i ów *majordomus*, rezydent marszałkujący p. Prawutyński Hieronim, też okazałej postaci człowiek, który z powodu słabych nóg, na lasce się podpierał...

W kościele ustąpili się im wszyscy tak, że mimo ścisku, mogli dojść wygodnie do swej ławki, przy której Prawutyński zajął miejsce z boku.

W tej że chwili zasygnowano na sumnę i ks. Paczura wyszedł z zakrystyi, ale — zamiast dwu chłopaków, do których już byli wszyscy nawykli, takich zręcznych, pięknych, z miłemi twarzyczkami, na których serce się patrząc radowało, Mamert dobrał dwóch z miasta dzieciaków i to z wielką biedą, których ledwie wyczono jako tako do ampułek i mszału, nie wymagając ministrantury. Jeden od Seradowicza, chudy był i cienki, a niezgrabny, bo już na stoł-

ku szewcowskim siedząc, nogi sobie pokrzywił; drugi pędrak mały, co go ledwie za kratkami widać było, pyzaty, ciężki i przestraszony, ledwie szedł. Wszyscy zaraz dostrzegli zmianę, a staroście tak ubytek dwóch serwitorów był jakoś przykry, że mu to w nabożeństwie dystrakcyę robiło.

Odezwał się aż, wstając na Ewangelię do jejmości: — Co się to z księdza chłopcami stało? — Naturalnie starościna odpowiedzieć nie mogła. Inni też w kościele zaraz zauważyli, iż zmienioną służbę przy oltarzu, wszystkim brakło Wacka i Wicka. Najbardziej jednak bodaj staroście.

Po nabożeństwie i odspiewaniu pieśni, na którem dotrwali państwo oboje, starosta, co się bardzo trafiało rzadko, szepnął coś żonie, i wyszedłszy na cmentarz, zamiast do powozu wprost — skierowali się oboje na plebanię.

Ks. Paczura, który się tych odwiedzin nie spodziewał, gdy mu o tem dano znać, pośpieszył za nimi tak, że ich we drzwiach napędził. Szedł też i ks. Serafin i Prawutyński, tylko Ościnska z dziewczętami wprost do Zalesia odjechała.

Witano się z wielką grzecznością a proboszcz, drzwi otworzywszy do sali, zapraszał.

— Nigdybym jegomości dobrodziejowi moją wizytą naprzykrzony nie był — ozwał się starosta, — gdyby nie szczególna okoliczność. Tknęła mnie absencya dwóch chłopaków, do

których nawykły oczy nasze. Czy uchowaj Boże nie pochorowali się?

— Bo to teraz choroby różne dziccinne panują — dodała starościna.

— A! nie, dzięki Bogu — wzdychając odparł proboszcz; — *dura lex, sed lex*, trzeba było oddać do szkół. Czas nadszedł. Ścisnęło mi się serce, zwlekałem... w końcu... trzeba było... trzeba było.

Smutny wyraz twarzy dowiódł, jak po nich ks. Paczurze bardzo było tęskno.

— Powiem panu staroście — dodał skłonny jakoś tego dnia do otwartości proboszcz — że i dla chudej plebańskiej kieszeni i dla serca stryjowskiego ciężki to był *casus*, a no... co było robić!!

Rozśmiał się, twarz chustką ocierając. Starosta i starościna spojrzeli po sobie.

— A ja, ks. proboszczu dobrodzieju — rzekł starosta poważnie — Bóg widzi, patrząc na chłopaków, miałem do was zanieść prośbę.

Żartobliwą zrobił minę.

— Oto moja dobrodziejka — wskazał na żonę — zawstydza mnie, sromoci, nie może językiem, to *factis* mnie upokarza... Wychowuje sieroty dziewczęta naumyślnie, aby światu pokazała, co to za nieużyty i twardy człek ten jej mążysko... Cierpiałem, cierpiał — aż miarka nie przebrała — *vicisti Galilee*, postanowiłem albo mojej jejmości dorównać, lub ją zawstydzić, i —

choć dwu chłopców wziąć na wychowanie. Przyznasz jegomość dobrodziej, że jej pięcioro dziewcząt to jeszcze nie dochodzi wartością dwóch chłopaków...

Rozśmiał się i popatrzał po słuchających.

— Chciałem się właśnie, dodał, dopraszać łaski waszej, abyscie mi te sieroty wasze powierzyli. A tu — czy moja jejmość zaintrygowała? he? przyznajcie się?

Proboszcz stał zakłopotany, uśmiechała się pani.

— Gdzież się chłopcy podzieli? zapytał starosta.

— Wyprawiłem ich z Hołłowiczem do Lublina do dyrektora — rzekł ks. Paczura.

— Niech i tak będzie — przerwał starosta — ale pozwólcie, aby nie na waszym koszcie byli, lecz na moim, inaczej mi moja jejmość oczy wykańać będzie.

Ks. Paczura stał mocno skonfudowany, gdy starosta ruszył go uścisnąć.

— Proszę o to jako o łaskę — jako o środek jedyny utrzymania zgody i pokoju między małżeństwem...

— Panie starosto... mruczał proboszcz.

— Nie wymówisz się — nie pomoże! Chłopców biorę na mój koszt, aż do wyzwolenia ich... inaczej nie będzie... Jest to dla mnie konieczność — jejmość biorę za świadka...

— Ale tak! tak! poczęła żywo staroscina —

dla świętego spokoju... bo ja mu go nie dam inaczej.

Zaczął proboszcz dziękować.

Dawniej — inaczej się dobrodziejstwa świadczyły i przyjmowały. Dziś jest więcej dumy w ludziach, bo miłości mniej jest. Dawniej dawał brat bratu, a prosił jak o łaskę, by przyjęto; przyjmowano bez sromu, bo każdy oddawał drugiemu, co wziął od pierwszego.

Pojęcia i uczucia z obu stron niezmiernie się odmieniły w tym względzie. Duma nie dopuszcza od obcego przyjmować nic, a dziś i brat jest obcym, gdy dawniej obcy był bratem.

Ks. proboszcz, zawahawszy się pół chwili, ani mógł, ani chciał odrzucać ofiary możniejszego pana, któremu ona czyniła przyjemność, dla dzieci była rękojnią swobodniejszego rozwijania się, a może lepszej przyszłości...

Oboje starostwo poweseleli, ucieszył się ks. Serafin, a że chciano podziękowań uniknąć, zaprosił nazajutrz na obiad proboszcza do Zalesia Sniehota. Kareta podeszła pod bramę dziedzińca, i wyjechała.

Ks. Paczura pozostał w niej długo jak upojony, modląc się po cichu i sam nie wiedząc, jak Bogu dziękować za to dobrodziejstwo.

Jeszcze stał tu, gdy nadszedł Hołłowicz, który był z ekonomem ze wsi sąsiedniej zagadał się na cmentarzu.

— Słyszalesz, co się stało? zawołał do niego

proboszcz... łaska z nieba spadła na moich chłopców... Starosta ich wychowanie na siebie bierze!

Holłowiczowi wcale to nie było na rękę — skrzywił się nieco i głowę pokiwał — lecz winszować musiał. Cała spekulacya na ordynaryi i dyrektorze — upadała...

— A no — rzekł — winszuję — jeśli jest czego?... da się to widzieć — Pańska łaska na pstrym koniu jeździ.

— Daj-no pokój — daj — nie denigruj przed czasem .. Wola w tem dobra jest — niech im Bóg płaci.

Zamilkł Holłowicz. Biedny człek naprzódby był wolał bodaj swoich dwóch synów dać starości, potem zatrzymać tych dwu dla ordynaryi... Smutno mu się zrobiło. Pomyślał tylko: Są ludzie szczęśliwi.

Nazajutrz proboszcz, kazawszy nową rewerendę wytrzepać, ustrojony, siadł na bryczkę i do Zalesia pojechał. Ks. Serafin go, mówiący pacierze na gościńcu schwycił — i poszli razem z nim pieszo.

— Widzicie, dobrodzieju mój — a nie mówiłem? — odezwał się ks. Serafin — a nie dobry ze starosty człek? Serce złote!... Ma swoje ale... a któż go nie ma? W piersi się uderzmy.

— Albożem ja kiedy, uchwaj Boże, ujmował mu? — zawołał proboszcz.

— Ja tego nie mówię — a no — serca do nie-

go nie mieliście. Tymczasem kto go jak ja zna bliżej, na pasek św. Franciszka patryarchy naszego, ojciec mój — złoty człek. Myślicie, że mu kto poddał tę myśl względem chłopców! Uchowaj Boże! W modlitwie mu przyszła, gdy tych chłopców przed oczyma nie stało... A tak się tem cieszy — rozśmiał się bernardyn — jakby proces wygrał.

— Otóż to te proccsa! wtrącił po cichu ks. Paczura — mój ojciec — do czego to? do czego?

— *Caro infirma*, rzekł Bernardyn, oto ja ks. proboszczowi powiem coś, czego sam byłem świadkiem. Toczył się proces w Morochowszczyźnie ze szlachcicem, z Wybranowskim. Zaciął się Wybranowski, i choć nie majątny stawiał mu czoło — do upadłego. On też — w to mu graj. Lat sześć trwało to pieniactwo, wodzili się po trybunałach, kondemnowali, apellowali, ciągal, rwali, aż nareszcie, co łatwo było przewidzieć, Sniehota wygrał. Wybranowski padł... tak, że się już na ostatni trybunał fantował, i zastawił dwa pasy i karabelę sadzoną... A tu trzeba było kosztu jeszcze opłacić. Wyrok wyjęto... Sniehota nasz posmutniał — wprost tedy do Morochowszczyzny, do szlachcica... Gdy przed dworek zajechał, Wybranowski myśląc, że urągowisko, z szablą wyszedł w ganek, a ten mu na szyję: — Nicch cię uściskam — zrobiłeś mi satysfakcyę prawdziwą, nie dałeś się — broniłeś, dojadłeś mi, — szanu-



ję.—Otóż widzisz, przyjechałem, aby ci wszystko wrócić i dyfferencyę i kosztą. A mnie to po co? Jam charakteru w waści macał a nie worka. Przyjaciołmi bądźmy i kwita.

Odtąd Wybranowski go pod niebiosą wynosi.

Doszli do dworu, a tu ich starosta przyjął i sama starościna serdecznie, i proboszcz rad nie rad dał się ująć dobrocią. Umówiono się o utrzymanie chłopców, do których zaraz starosta posłał Prawutyńskiego, aby opatrzył, co było potrzeba. Sama starościna posłała im bieliznę, suknie, — słowem chcieli, aby im na niczem nie zbywało.

Za to pretendował Sniehota, aby część wakacyi spędzali u niego, i w czasie świąt, choć parę razy z probostwa przybywali do Zalesia.

Tak się to poszczęściło sierotom, a razem i proboszczowi, któremu, by ich wychować, jak należy, było ciężko, zwłaszcza przy takim dzierżawcy. Niczły był człowiek z Hołłowicza, ale i on i żona zbytnio o swoim pięciorgu robaczków pamiętali.

Zaraz tedy na święta Bożego Narodzenia, gdy ich przywieziono, nazajutrz się musieli jechać stawić i paść do nóg staroście. Okarminiono ich tam i ponatykano kieszenie i odprawiono do stryja. Tu była radość wielka, a opowiadanie nieskończone o szkole, o nauce, o różnych przygodach strasznych, jakie prze-

chodzili. Chłopców po wszystkich kątach było pełno, pytała Magdalena, trzymał w zakrystyi kulawy Mamert, a biedny głupi Bartosz, jak cień się włącząc za nimi, zęby wyszczerzał i śmiał się zdaleka. Gdy ich wesołymi zobaczył, sam też podrygiwał, rzucał rękami, głowę trząsł, ryhotał w kułak, a gdy nim ta radość owładła do szalu, uciekał z oczu ludzkich.

Jeden Matlachiewicz utrzymywał, że się tylko w szkole gorszej swawoli nauczyl — wszystkich figlów i psikusów studenckich...

Proboszcz, który ich wziął na ścisły egzamin z łaciny, rad był z nauczycieli. Z historyi świętej też Wacek szczególnie wytrzymywał najsurowsze badanie. Nie można jednak zaprzeczyć, że czasu świąt było i swawoli dużo. Na żart chodzili po miasteczku z jasełkami, poprzebierani, straszili pod oknami, Wicek się w kozuch na wywrót przystroił i jakicś niebywałe stworzenie reprezentował. Nie było w tem tak dalece nic złego. W czasie nabożeństwa w kościele rażno też dopomagali Mamertowi.

Na Wielkanoc potem przyjechawszy, oni z nim ubrali grób wielko-piątkowy w bocznej kaplicy, a może nigdy nie był tak ustrojony i oświecony jak teraz, nigdy drewniani rycerze nie stali butniej na straży i lampy nie były ustawione misterniej. Zieloności dużo po ogrodach napsuto, aby przybrać grób na podziw pobożnym.

Na święcone i proboszcz i oni pojechali do Zalesia. Tu zjazd był zawsze wielki, i przez tydzień nie schodziła zastawa ze stołów, a niekiedy na Zielone święta ją odnawiano. Wielkanoc w tym roku przypadała późno, a wiosna wcześniej nadeszła, więc zabawić się było można i w ogrodzie, a u starostwa ogród był staroświecki szpalerowy, w kondygnacyach, ze strzyżonemi drzewami, które podziwienie obudzały. Dwa świerki szczególnie ostrzyżone w kształcie długich pudełek z gałkami na wierzchu, były dla okolicy cudem świata. Co rok, na wiosnę przystawiano do nich drabinę i niełitościwie młode gałęzie ogromnemi nożycami postrzygano tak, że biedne drzewa na zewnątrz nie mogąc rosnąć, w środku gęsto zbitemi, czarnemi się okrywały wypustkami—i stały jak z muru ciemnego zbudowane. Oprócz tego duże długie ulice, jak zielone korytarze, dwiema okrągłemi altanami zakończone, w lecie nie przepuszczające promieni słonecznych, mogły służyć za schronienie w największe upały.

Tu dopiero chłopaki się rozkoszowali, biegając na wyprzodki i przypatrując mnóstwu ptastwa, które się gnieździło po gęstwinie. Gniazd bocianich, czaplich, wronich, nie licząc drobnego skrzydlatego tłumu, co niemiara było. W sadzawkach cembrowanych mogli widzieć rzucające się karasie i liny... Tu też

mnóstwo ślimaków dostarczało przedmiotu do ciekawych obserwacyj... Brano jednego z nich i przemawiano doń wedle starej formuły:

Ślimak, ślimak—wystaw rogi,  
Dam ci grosz na pierogi..

Ślimak z wolna wysuwał rogi z pod skorupki i dostawał po nich gałązką, czem skonfundowany, na nowo uciekał, cały chowając się w swym domku... Ogród to był pełen dziwów i czarów, a osobliwszym w nim przedmiotem—dla którego widzenia nic żał było przebiecz w drugi jego koniec,—była grotą całą muszłami wysadzana. Niegdyś tryskała z niej woda, lecz gdy prowadzące ją rury się popsuły, stała sucha; ściany jej, odziane całe kamyczkami świecącymi i skorupkami osobliwych barw i połysków, podziw obudzały w chłopcach. Po nad nią i do koła jej rosły różne dzikie krzewy, przypominające nieco to ich schronienie pod murem cmentarnym, w którym niegdyś siadywali. Tu jednak daleko było piękniej—a coś tajemniczego nęciło do niej. Słońce nigdy nie dochodziło do tego kąta, powietrze przesiąknięte było jakąś wilgocią i zapachem dziwnym... Zdawało się, że jakieś poczwary, duchy i widma zamieszkiwać tu i gospodarować musiały, gdy ludzi nie było. Do wrażenia, jakie czyniła grotą, przyczyniało się i to jeszcze, że—jak mówili pocichu dworscy—jeden z dwo-

rzan poprzedniego dziedzica z niewiadomego powodu odebrał tu sobie życie.. Wiele lat upłynęło od tego czasu, a jeszcze okazywano na ziemi coś, jakby kształt nieforemny ciała ludzkiego przedstawiającego, szczególną okrytego pleśnią, która starta wracała...—tak pamięć nieszczęścia i występku przechowała się widomic. Nikt nigdy stopą nie śmiał dotknąć miejsca tego, ale mu się przypatrywano ze zgrozą. W samym końcu rozległego ogrodu była ciekawość jeszcze większa—wzgórze, na którem niegdyś miało stać zamczysko.. Nie pozostało już teraz z niego nic, oprócz stosu kamieni i studni... Była ona kamieniami też ciosanemi ocembrowana, a tak głęboka, że gdy w nią kamyk ciśnięto, trzeba było czekać dobitą chwilę, nim upadł na dno. Chłopcy też nigdy nie omieszkiwali, wszedłszy na wzgórze, rzucić w głąb jej po kamyku...

Kaplica, w której gospodarzył ks. Serafin, stała także w ogrodzie, ale była drewniana i po kościolku w Borusławicach wydawała się małą. Staraniem pani samej ubrana była zawsze bardzo pięknie, a na Maj pełna kwiatów. Zwykle nawet przez cały dzień dla wpuszczenia powietrza stała otworem, lekką tylko kratką przezroczystą zanikniętą. Można się więc było jej przypatrzeć, i cudownemu obrazkowi Matki Boskiej w ołtarzu, i pięknym ławkom, i mnóstwu drobniejszych wizerunków, któremi

ściiany były okryte. W czasie świąt Wielkanocnych drugiego już roku, gdy chłopcy tu przybyli i wybiegli oglądać te osobliwości,— czas był piękny, dzień prawie gorący, liście na drzewach już spore... Zapędzili się aż pod grodzisko, zwane górą zamkową... Nikogo tu nie było, sami mogli hukać i gospodarować i dokazywać, jak się im żywnie podobało. Nagle Wicek schwycił brata za kołnierz i wstrzymał go, krzycząc:—Tst!

Stali wśród gąszczy, po za którą szedł szpaler... Właśnie tą ulicą idącą, postrzegli całą gromadkę jakąś w sukienkach białych. Była to wypuszczona na przechadzkę kupka wychowanie starościnej, pod dozorem starej pani Ościńskiej, idącej za niemi. Dziewczątka wesóło poskakując, zupełnie się tak radowały wiosnie i ogrodowi, jak dwaj nasi młodzi Paczurowie. Skromniej tylko objawiała się ta radość i ciszej a ostrożniej tryskały śmieszki.

Przodem szły dwa małe dziewczątka, trzymając się za ręce, z włosami krótko poostrzyganemi, jedna ładna, druga ospowata i brzydka, chorobliwie a blado wyglądająca.

Obie miały w rękach po garści narwanych w cieniu przelaszek... Za nimi szły dwie drobinę słuszniejszej, osobną stanowiącej grupę, bo lata mi już nie dozwalały uczestniczyć w swawoli pierwszych. Na ostatku przy, araczej przed samą panią Osińską szła jeszcze starsza,

może dziesięcioletnia dziewczeczka, z kosami zaplecionemi we wstążki niebieskie spadającemi jej na ramiona. Ta szła już jak osoba dojrzała, sama z sobą, zadumana, myśląca, w ręku trzymając jeden kwiatek, duży liliowy anemon, okryty srebrnym z wierzchu włosem, wątle to zjawisko pierwszych dni wiosny, które wprzód kwiat puszcza niż liście, i trwa... jeden dzień wiosenny.

Śliczną miała twarzyczkę zadumana dziewczeczka, już prawie nie dziecinna, tak powagi pełną, a jeszcze rysami i krojem aniołkowatą i dziecięcą. Coś myślała, na kwiatek patrzyła, to znów gdzieś tak w głąb, w świat, jakby czego szukała—co się przez całe życie znaleźć nie może. Oczy jej duże, czarne, myślące, z pod spuszczonej główki, błyskały ogniem jakimś, już zwiastującym myśl, cierpienie i rozpoczęte zawczasu życie.

Oba bracia skryci za krzakami, przypatrywali się dwom pierwszym trochę i dwom drugim także pobieżnie, ale ta ostatnia—ta ostatnia, idąca tak mierzonym krokiem, powoli, z tym w ręku kwiatkiem, z kosami długimi, z oczyma czarnemi, wymierzonemi wprost na nich—przestraszyła ich niemal. Chcieli uciekać i stali jak wryci... Nie widziała ich sierotka, bo byli schowani dobrze za młode krzaki w gęstwinę, ale im się zdawało, że na nich tak temi oczyma strasznemi patrzyła, że im coś mówiła niemi...

Nie rozumieli tej mowy, a przeraziła ich, jak pytanie jakie, na które na świecie odpowiedzi nie było...

O co ona pytać mogła temi oczyma czarnemi—ta smutna dziewczeczka?... Przeszła cała gromadka i już ją tylko widać było migającą za krzakami wśród zielonych gałęzi—a chłopcy jeszcze schyleni stali—i zdało im się, że przed nimi ciągle było widmo tego dziewczęcia pytającego oczyma?

Nagle obaj rzucili się uciekać... Strach ich ogarnął. Biegli aż na drugi koniec ogrodu, i tu dopiero stanęli zadyszani, patrząc się na siebie. Wacek był zadumany, a Wicek głową trząśł... Nie mówili nic do siebie... Odpadła ich ochota do swawoli, spoważniali nagle... Żaden z nich drugiemu nie powiedział o tem zjawisku ani słowa, ale je tak dobrze zapamiętali, jakby nie jeden, ale sto razy mieli je przed oczyma. I gdy tegoż roku na wakacye przybywszy, pojechali znowu do Zalesia, upaść do nóg staroście, a żona jego wieczorem chcąc ich zabawić, do wielkiej sali z chórkami pozwoliła przyjść sierotkom swym z Ościńską, aby grali w ciuciubabkę, pierścionek i cztery kąty a piec piąty—gdy weszła też sama dziewczeczka z pytającymi oczyma, poznali ją od razu. Spojrzeli na siebie i uśmiechnęli się i zrozumieli.

Tu się dopiero dowiedzieli z odczwania się



przypadkowego Ościńskiej, iż to dziewczę zwano: Kocia,—z czego Wacek wniósł, że mogła mieć imię Konstancyi, i oba je dobrze zapamiętali... W czasie gry, gdy inne dosyć wesoło rozbawiwszy się swawoliły i śmiały, jedna ta Kocia pozostała poważną, jak jej wiekowi przystało, zamysloną, i choć w grach była bardzo zręczną, bo jej nigdy ani złapać nie było można, ani na niczem podchwycić—milcząco się trzymała i z wielką na siebie pamięcią. Chłopcy usiłowali się zbliżyć do niej, ale tak się zręcznie im wymykała, iż musieli tego zaniechać... Strach ich jakiś ogarniał, patrząc na nią.

Ze wszystkich dziewczynek była najstarszą, rej też między niemi wiodła, najstaranniej była ubraną, a z pewnych oznak i troskliwych wejrzeń starościны wnosić mogli, iż szczególnie u niej miała względy. Gdy wśród gry kosa się jej jedna rozpuściła, staroscina ją do siebie przywołała, postawiła oparłszy o swe kolana i sama jej włosy zaplotła.—Dziewczę pocałowało ją w rękę, a pani w główkę...

Wszystko to Wicek i Wacek widzieli i zapamiętali. Na obu ich dziewczę w czasie zabawy żeby też choć raz spojrzęło; dopiero gdy się rozchodzili—Kocia żegnając, każdemu z nich dała po jednym owem wejrzeniu pytającym, które ich przejęło i zmieszało tak, że się nawet zapomnieli jej odkłonić...

A gdy wrócili na probostwo, nie sobie nie mówiąc, myśleli bardzo niepotrzebnie o tej Koci, posiadawszy w kątach wielkiej izby, że aż ks. Paczura wszedłszy, musiał ich budzić.

— Co wam u licha — powróciliście, jakby starosta połajał — czy co?

— Ale! chowaj Boże! chowaj Boże! — odezwali się oba razem.

— Cóż was, chyba drzemka porwała?

Wyszli tedy oba w dziedziniec, i tak się zadumy skończyły...

---

## II.

Upłynął lat dziesiętek... W lat dziesięć, mój Boże, co się to stać i odstać może! Ile ludzi odpoczywać idzie, a ilu trudzić się na świat przychodzi! Jak się zmieniają serca i twarze, myśli i uczucia?!

A czasem — lat takich dziesięć w cichym kątku przeleci i prawie ich niema znaku. Żyje się tu powoli — dłużej... na twarzach nie depczą ścieżek dni, co ciężko idą, łązy rowów na licach nie kopią — śmiech warg nie wykrzywia, i po latach dziesięciu zastajesz tych samych zaszczonych ludzi... jak byli.

Nie zupełnie jednak można to było powiedzieć o Borusławicach. Tu wiele zostało i wiele się też odmieniło.

Najprzód ks. Paczura, prawda, że trochę więcej suwał nogami, że mu gdzieniegdzie włos się srebrzył jaśniej, że gdy brewiarz w ręce brał, odrobinę mu się trzęsły — a jednak do chorych na wózkach jeździł jak dawniej — pełnił

swe obowiązki, nie zwalniając się z nich i wikarego nie trzymał. Z otoczenia jego, nieznosny Matłachiewicz wyniósł się od lat kilku do Lublina, gdzie roku nie wybywszy, chciał nazad powrócić do Borusławic—ale tu już miejsce jego zajmował niejaki Drujewicz, który głosu wprawdzie tak dobrego nie miał, lecz na organach grał lepiej i pokorny był a spokojny. Tyle tylko, że nadto spać lubił. Mamert kulawy zawsze królował w zakrystyi, Magdalena skurczona, bo cierpiała na krzyżę, chodziła jak przedtem, wykrzykując: —,O panie ty mój miłosierny... zlituj się nademną'... Nawet głupi Bartek, który się niepomieranie roztył i jeszcze przez to poczwarniejszym zrobił, żył, dzwonił, po dzwonicniu leżał na trawie i śmiał się. Nie przybyło mu rozumu, ale brzucha.

Holłowicz owdowiał i z dziećmi sobie rady dać nie mógł. Synowie i córki górę nad nim brali tak, że powagi proboszczowskiej używać musiał, aby ich poskramiać, i władzę swą utrzymać. Szczególniej ten mały, który w młodszym wieku takim apetytem się odznaczał, podrośszy, ciężkim był dla ojca...

Tak było z ludźmi w probostwie i koło niego, a zajrzawszy do kościółka, powiedziałbys, iż go widziałeś wczora, najmniejsza rzecz z miejsca się nie ruszyła,—nic nie ubyło, a przybyło nic wiele. Przenośny Ołtarzyk Niepokalanego Poczęcia na nowo był odzłożony, jed-

ną chorągiew fundowało bractwo nową i świetną, kilka wotów zawieszono u obrazu, zresztą grobowce owe nieznanych i zapomnianych ludzi, stara chrzcielnica, ławy, konfessyonały—zdawały się bycnieśmiertelne, tak na nich czasu ubiegłego nie znać nie było...

A chłopców, tych dwu małych w komeżkach, co koło nich chodzili—poznaćby teraz nie mógł, ktoby ich rosnących nie widział. Obaj już byli pod wąsem, młodszy lat dwadzieścia liczył, obaj szkoły pokończyli z łaski pana starosty, i jeden trzymał folwarczek dzierżawą, drugi wszystkiemi jego lasami zawiadywał, nie tylko w Zalesiu, ale w innych dobrach.

Lata jeszcze ich bardziej zrównały z sobą, trudno było poznać, kto z nich młodszy był, kto starszy—z twarzy dosyć do siebie byli podobni, tylko Wacek posępniejszą miał i zamysloną, Wicek bystrzejsze wejrzenie, mowę, i więcej uśmiechu. Porośli oba jak dąbeczaki, a kto na nich spojrzał, musiał przyznać, że o urodziwszych trudno było.

Cieszył się nimi niewymownie ks. Paczura, a gdy który z nich go odwiedził, on zwykle dosyć powolny, wpadał jakby w gorączkę, biegać chciał, wołał i nie wiedział jak przyjmować. Wiele też on w milczeniu, o czem nikt nie wiedział w świecie, przecierpiał dla nich... i przez nich. Bóg jeden policzył te przebyte godziny trwogi... Bał się dla nich wszystkiego,

prób młodości, sideł niedoświadczenia, gorączki serca, zapędów myśli, wpływu ludzi, zarazy świata... Za każdym przyjazdem, nie śmiejąc słowy, badał ich oczyma, potem zapuszczał jak sondę na dno morza jakieś słówko, co z duszy, z głębi wyciągnąć coś miało... i drżał — co przyniesie słowo, czy potwór jaki morski, czy zeszlą trawę, czy przezroczystej kroplę wody?

Dziękował potem Bogu, bo szczęściem, dusze były czyste, serca poczciwe, i na pozór szło wszystko tak dobrze, tak pomyślnie jakoś, tak się im obu wiodło, iż więcej życzyć nie było podobna. Wacek polubił polowanie i lasy, starosta mu dał panowanie nad rozległemi puszczami, w których mógł królować. Wicek się brał ochoczo do gospodarstwa, zamiast go wsadzić na ekonomię, dał zaraz małeńką dzierżawę płatną z dołu, pomógł do zagospodarowania, i cieszył się tymi wychowañcami, jakby dziećmi własnymi. Lubila ich obu bardzo pani staroscina, mieli łaski u wszystkich... Co rzadko, umieli oni być wdzięczni i proboszczowi i starostwu, a gdyby za nich życie dać przyszło, nie żałowałiby go. Skinąć tylko było, biegli wyprzedzając żądanie...

Jedna rzecz wydawała się dziwną i smuciła ks. proboszcza. Bracia, którzy długo kochali się z sobą, jak dwoje sierot, co siebie tylko mają na świecie — ostygli od niejakiemu czasu dla siebie, zdawali się unikać, i nie okazywali tej

miłości, jaka ich dawniej łączyła. Nie poróżnili się, ani, uchowaj Boże, do waśni między nimi nie przyszło, byli z sobą niby po staremu, a czuć było przecież, że coś między nimi stało.

Gdyby kto na Wacka śmiał słowo rzec w obecności Wicka, ująłby się gorąco pewnie za brata—jak jeden tak drugi... nigdy żalem nie poskarżył się o nic,—a proboszcz przecię czuł, przeczuwał raczej, że już tam między nimi dawnej jedności nie było.

Przyczyny się dobadać, ani domyslić nie umiał. Chciał ich poddać jakiejs próbie, a składało się tak zawsze, że gdy jednego do siebie zawołał, drugi stawić się nie mógł. Pojedyńczo ich badając, do niczego nie doszedł. Czasem sobie mówił, że to mu się może tak zdawało tylko, z wielkiej o nich troskliwości modlił się do Przemienienia Pańskiego, aby, jeśli co było, na lepsze zmienić się mogło.

W istocie, bracia teraz rzadko się z sobą spotykali. Folwarczek, który Wicek trzymał dzierżawą, o mil trzy był oddalony od Zalesia, Wacek zaś albo po lasach się włóczył i objeżdżał je, lub w samem Zalesiu przesiadywał. Lasy naówczas, choć ich w większych dobrach dopilnowywano, nie bardzo były zagospodarowane. Taki pan leśniczy głównie strzedz musiał, aby obcy włościanie nie wrąbawali się, a gdy las sprzedawano, aby kupiec nie wy-

wiózł więcej, niż mu należało. Roboty nie było wiele, wańczosy i belki poznać... z leśnikami się rozmówić, zapolować, gdy było zwierzyny potrzeba, na rubieżach kopców i sosen ze znakami dojrzeć... od pożaru strzedz... Czasu było wiele na spoczynek i zabawę. Ale Wacek do zabaw wielkiej nie miał ochoty.

W czasie wolnym od zajęcia nastroczał się do wszelkich małych usług dworu, staroście jego skrypta przepisywał, bo charakter miał piękny, czasem do gości przychodził do dworu, gdy ich więcej przyjechało, a regularnie też do stołu go wołano, gdzie rozmową starostę zabawiał. Człowiek z niego może nad wiek stał się poważny i wytrawny, płochości nigdy się po nim żadnej nie pokazało, pobożnym też był bardzo i choć dorodny mężczyzna, gdy trzeba było do mszy św. ks. Serafinowi posłużyć, chętnie komeżkę wdziawał. Wszystko to razem łaski mu wielkie jednało u obojga starostwa i zachowanie, którego drudzy zazdrościli.

Można było powiedzieć, że we dworze na równi w łaskach tych stało u państwa dwoje. Jeden Wacek Paczura, i druga panna Konstancja Rewnowska, owo dziewczę z ezarnemi pytającami oczyma, które bracia niegdyś z kwiatkiem w ręku idące, przez szpaler widzieli. Z dziewczęciami wyrosła ona na śliczną pannę, tylko jej te czarne, dawniejsze oczy pozostały



pytające, wejrzeniem niepokojącym zdające się zaglądać do duszy. Nie było w okolicy piękniejszej panny nad Rewnowską, to nie tylko starościna utrzymywała, ale wszyscy godzili się na to. Wzrost, postać, rączka, nóżka, kibić, cudowne włosy, wszystko w niej było jakby na wzór dla kunsztmistrza, lecz nieczem piękność ta jeszcze, przy niezmiernej dobroci i rożumie. Wychowanie u staroscinej odebrała ówczesne, nie wykwiłtne, ale gdy inne dziewczęta tępo i mało co z niego korzystając, uniały nie wiele, same z siebie nie do niego dosnuć nie mogąc, ona więcej pono nauczyła się, niż ci umieli, co ją nauczali. Bardzo skromna i cicha, gdy się odczuwała, było czego posłuchać, a już same oczy mówiły tyle! Pracowita, spędzała dni nad robotą jakąś, gdy czas pozwalał nad książką pobożną, albo nawet świecką jaką—bo czytać lubiła wiele. Starościna nie mogła się nacieszyć tą wychowanką, i dla tego może, iż się do niej mocno przywiązała, zapowiedziała wcześniej, że nie łatwo ją wyda za mąż, aż się znajdzie taki, co w jej przekonaniu będzie Koci godnym.

Rewnowska była sierotą zupełną i bez grosza, rodziny jej nie znano, metryka tylko świadczyła, że szlacheckiego rodu była dziecięciem. Dziwnym sposobem przyszła do niej starościna, bo w podróży będąc do Warszawy, w gospodzie gdy dwór na noc stanął, ludzie jej oznaj-

mili, że kobieta jakaś z dzieckiem jadąca, nagle zachorowała i już dzień trzeci coraz miała się gorzej, a zdawała dogorywać. Starościna, jak to była pani niezmiernie litościwego serca, choć ją od tego odwieść chciano, lękając się, aby choroba zaraźliwą nie była—poszła sama do chorej. Znalazła ją w małej izdebce na sianie leżącą, prawie bezprzytomną, z dzieckiem do piersi przytulonem i płaczącem... Próżny już tu był ratunek wszelki—chora mowę straciwszy, dogorywała. Dowiedzieć się od niej, kto i zkaąd była, nie umiano. Chłopek, który ją wioził na najętej furmance, porzuciwszy chorą, sam odjechał. Gdy ta zmarła, starościna się zaopiekowała sierotką. Przy umarłej metrykę tylko dziecka znaleziono i kilka papierów, z których się nic dobadać nie było podobna—prócz że Rewnowska wdowa pochodziła z Podlasia od Białej. Posyłano tam potem, rozpytując przez księży Bernardynów do koła, ale tu o żadnej familii tego nazwiska nikt nie wiedział, ani w Białej, ani koło Łosic, ani w Huszczy i Tucznej, gdzie drobnej szlachty wiele. Sierota tak opatrzynym sposobem narzucona starościnie, jak ona mawiała, z samej woli Bożej, zawsze w szczególnej była pieczy, ale też i powiodło się z nią nadzwyczajnie.

Marzyła tedy starościna, że ją wyda świetnie i nie za lada kogo, a wszyscy wiedzieli, bo to głośnem było na dworze, iż krom sutej wypra-

wy, nie zwykłe dwa tysiące, ale dziesięć tysięcy złotych starostwo pod poduszkę dać obywateli.

Nie tylko dla tej wielkiej sperandy, ale dla samej piękności, statku i wdzięku dziewczęcia, cisnęła się młodzież do Rewnowskiej, ale ona nie łatwy do siebie przystęp dawała. Nazywano ją pospolicie dumną, inni żartem przezywali: panną starościanką .. dosyć, że ci co zabiegali jej drogę, rzadko wejście zyskali. Na dwór też młodzieży uboższej przystęp nie był łatwy, chyba gdy święta jakie wypadły, i oficjaliści z dóbr do stołu bywali zapraszani.

Z majątniejszych synów obywatelskich z okolicy spoglądało także wielu ku niej, ale ostrożnie i z obawą, żeby się nie rozmiłować, bo sierotą była bez koligacyi i dla nich mało posażną, — a naówczas rodzice nie łatwi byli w wyborze synowej.

Jeden niby co się tam najśmielej posuwał, był niejaki Prosper Mudłowski, mający wioskę dobrą, o mil dwie od Zalesia, kawaler, sam sobie pan.

Ten, zależąc od siebie, bo rodziców stracił oboje, gdyby chciał, ożenić się mógł, i zdawało się, że ma jakieś zamiary. Spostrzegła to staroscina, poczęto się dowiadywać o niego, różnie ludzie mówili. Nic bardzo dobrego, nic nadto złego... A nie oświadczał się jeszcze,

i milczał, tylko bywając w Zalesiu, oczyma strzelał i do panny kolując się zbliżał.

Lat miał ze trzydzieści, niczego mężczyzna, ubierał się pięknie, gospodarzył dobrze; szep-tano tylko, że do kobiet miał zbyt wielką słabość, i że już z sąsiadem bodaj z tego powodu popstrzykał się, aż mu dom wymówiono. Lecz mogły to być plotki. Starosta go lubił dla tego, że go o proceśach rad słuchał, a gdy się odezwał, bąka nie strzelił. Staroscina by się też może nawróciła—lecz, gdy spytała o niego panny Konstancyi, nie mogła z niej słowa wy-ciągnąć, z czego wnosila, że się jej nie podobał. Ile razy o zamążpójściu mowa była, panna Konstancya upewniała, że wcale zamąż isć nie myśli, i że przy swej dobrodziejce rada pozostać—ani chcąc nic innego. Jejmość jednak wiedząc, że pospolicie panny tak powiadać zwykły, nie wiele na to zważała. Mudłowski bywał, patrzył, i tak to sobie wisiało.. We dworze znowu bystrzejsze oczy widzieć chciały, jakby dosyć łaskawie spoglądała panna Konstancya na Wacka Paczurę. Szep-tano to sobie, choć może na odwrót się miało. Panna, jak panna, a Wacek na nią, to pewna, że ile razy mógł, a miał zręczność—patrzył jak w tęczę. Nie uszło to oczu starościny, a choć Wacka lubiła, pono się jej zdawał dla Konstancyi za małą rybą. Wyżej dla swej wychowanki okiem sięgała, a już choćby jednej wioski

dobrej spodziewała się. Paczura nie miał nie, i trudno było przypuścić, aby mu co zkąd spaść miało, bo choć jest przysłowie:—kto ma księdza w rodzie, tego bieda nie ubodzie,—po ks. Celestynie nic się spodziewać nie było można. Zbierać nie umiał, a rozdawał tak chętnie, że prawie zawsze więcej, niż miał, rozposażał, i długi mu ciążyły. Na leśniczowstwie zaś u starosty nie wiele się było można dorobić,—ze skórek lisich...

Nie śmiał się też posuwać Wacek, i chyba oczy za niego mówiły, gdy na pannę zdala po-  
glądał; zbliżać się nie miał odwagi, a niewiadomo zkąd i jak wyrobiła się w nim taka dumma, że sama myśl, iż mógł dostać odprawę wstydliwą—trzymała go w oddaleniu. Nie przeszkadzało to przy codziennych lub przynajmniej częstych bardzo spotkaniach, wielkiej z obu stron uprzejmości. Panna Konstancya rychlej jego zagadnęła, niż on ją, czasem o coś poprosiła i w dłuższej rozmowie jakby go wybadać pragnęła...

Ale tak samo zupełnie była i z Wickiem, który się mniej od brata ukrywał z wielkim dla niej affektem. Często też pod rozmaitemi pozorami zbiegał do starosty, najczęściej w porę obiadową, bo na obiad przychodziła staroscina z Konstancyą.

Po nim łatwo było poznać, iż panna mu głowę zawróciła i staroscina widzieć to musiała,

ale znajdowała to naturalnem i żadnem nie grożącym niebezpieczeństwem. Smiała się z tego po cichu, mówiąc sobie:—A ktoby też Koci nie kochał! At! zwyczajnie młodość! Kocha się, to się przekocha!—Wicek, gdyby nie to, że panna była wielce ostrożną, stałby się łatwo napastliwym; szukał zręczności zbliżenia się do niej, przysługi czynił—i śmieiej spoglądał. Nie można jednak było dostrzedz ze strony panny najmniejszej oznaki pierwszeństwa, danej z nich jednemu. Dla obu była równie życzliwą, ale od obu daleko. Wicek najczęściej dowiedziawszy się, kiedy brata nie było w Zalesiu, zbiegał umyślnie naówczas, a gdy oba się razem znajdowali, zimniejsi byli, i więcej na siebie patrzyli, szpiegując się, niż na pannę. Jeden i drugi domyslał się, że w bracie miał współzawodnika—to ich widać oziębiło wzajemnie, i wielka miłość owa braterska, zmieniła się w nieufność, od której do niechęci było już blisko.

Wacek wiedział bardzo dobrze, iż nadziei poślubienia faworyty starościnej mieć nie może, przecież bratu zazdrościł, który zdawał się roić śmieiej, acz i on był w tem samem położeniu. Wicek też, wiedząc, że brata ma panna częściej na oczach, niecierpliwił się tem i burzył.

To był rzeczywisty powód rozbratu między nimi, który proboszcza niepokoił, ale ks. Pa-

czurze nie przyszło nawet na myśl, ażeby jakaś miłość przyczyną rozerwania być mogła. Gdy mu to coraz bardziej w oczy wpadało—postanowił wreszcie stryj sprowadzić do siebie obu, i albo nie mówiąc, wybadać ich oko w oko stawiając, albo wprost do wytłómaczenia się zmusić.

Wiadomo, że dzień Ś. Celestyna, imieniny proboszcza, przypada d. 6 Kwietnia. Ks. Paczura nigdy ich nie obchodził, najczęściej nie dopuszczając nawet, aby się dla niego ktoś fatygował, po rannej mszy wyjeżdżał do Hołłowiczów na Plebankę, i tam do wieczora przesiadywał. Wiedziano o tem w sąsiedztwie i nikt już się nie wybierał z powinszowaniem, nawet sąsiedzi posyłali wiązania i bilety; na tem się kończyło. Potem w miesiąc d. 4 Maja na odpuscie na Św. Floryan, ponawiano tylko życzenia. W tym roku, ks. Paczura nie obawiając się już, aby go najechali goście, bo zwyczaju tego nie było, namysliwszy się, napisał do obu synowców prawie w jednych słowach zaproszenie, aby mógł z nimi dzień ten przepędzić. Magdalena miała przygotować obiad nie wykwinny, do którego pieczona gęś z jabłkami dodaną była, gwoli uroczystości. Ani Wacek ani Wicek nie mogli odmówić, choć obu zbliżenie się ciążyło... Przyszli do tego zobojętnienia dla siebie, i jakieś obawy stykania się z sobą, nicznacznie, powoli—odsuwali

się, unikali siebie, i ani spostrzegli, jak im to w obyczaj poszło i ludzkie już oczy raziło...

Wacek przybył konno z Zalesia tak wcześnie, że jeszcze proboszczowi, dawnym obyczajem, mógł do mszy służyć—ale już stara owa krótka komeczka ze wstążką niebieską, której używał dawniej, jeszcze leżąca w szufladzie służyć teraz nie mogła. Mamert ją tylko pokazał, śmiejąc się, jako pamiątkę, a dał inną dłuższą, w którą przyodziawszy się Wacek, wyszedł sygnując ze mszałem na ręku...

Wicek, któremu dalej było do Borusławie, a musiał w domu wszystko sam powydawać, obroki dla koni, obiad dla czeladzi, bo się na nikogo nie spuszczał—Wicek ledwie na podniesienie podążył, i już w ławce pokłękłszy, resztę mszy świętej wysłuchał. I to mu już było przykrem, że i tu go brat wyprzedził, choć on temu winien nie był. Po mszy świętej, poszedł zaraz do stryja do zakrystyi, i całując go w rękę, przeprosił, że prędszej zdążyć nie mógł. Przywitali się z bratem milcząco i zdaleka, co Paczury oka nie uszło.

— Kawał bo drogi do mnie—rzekł Wicek,—i choć Bóg widzi, wstałem rano, ale póki się wszystko wydało i zadysponowało, choć konie rażno biegły, już na czas nie przybyłem. Na grobli w Żyznowie fura z sianem zagrzęzła i podle niej ledwie się było można przedrzeć... tak wążko...



— Nie się tak złego nie stało — odparł proboszcz, — jeszczeście w porę na przeżegnanie przybyli...

Zatem na śniadanie szli oba za stryjem, przez znajomy ów cmentarz, przypominający swawole dziecięce, przez dzwonnice, w której głupi Bartoch podniesionemi rękami i śmiechem ich witał... przez dziedziniec, na którym stała Magda w czepcu, na ten dzień żółtemi wstęgami przystrojonym. Z gości, jak się spodziewał ks. Paczura, nie było nikogo, oprócz starego Hołłowicza, który pozbawiony będąc nadziei oglądania księdza u siebie, sam się do niego wprosił. Ten nie wiele komu zawadzał... Ks. Paczura wesoły był dnia tego, przy mszy św. jakiś duch w niego wstąpił, który mu serce rozradowywał. Przypomniał sobie wszystkie życia swojego przygody, wszystkie łaski Opatrzności, frasunki, w których został pocieszony, niedole, z których go ręka Boża dźwignęła, i przejęty wdzięcznością, patrzył wesoło na synowców, bo i tych dziwnym trafem a raczej łaską niebieską potrafił tak wychować i wyprowadzić na ludzi.

Spostrzegł jednak zaraz, że Wacek i Wicek tak się jakoś ustawili, że ich stół dzielił i jak najdalej od siebie zajęli miejsca. To go nieco zachmurzyło...

— Co to z was za poważni ludzie dzisiaj! — rzekł przy śniadaniu — ho! ho! a jak to nie da-

wno swawoliło się tam pod murem... i siadało pod daszkiem... He? Dziś się już ani do ludzi, ani do siebie tak ochoczo i rażno nie śmiejecie.

— Co jegomość dobrodziej chce? — wtrącił Hołłowicz, — a to już każdy z nich ma troski swe...

— Jakie troski? — rozśmiał się proboszcz. — Panu Bogu tylko dziękować — bo im się wiodło i wiedzie, jak rzadko komu!! Powinniby się śmiać od rana do wieczora...

Żaden z braci się nie odozwał.

Dzień był dziwnie piękny jak na kwietniowy, słońce świeciło, powietrze było ciepłe... ptaszki śpiewały... okna nawet już tego dnia pootwierano. Kończyło się śniadanie, gdy proboszcz żartobliwie dodał:

— Na pamiątkę dawnych chwil tu spędzonych, powinniście ichmość oba ręka w rękę, pójść razem na cmentarz i pod ten daszek, aby po bratersku, po staremu pogwarzyć z sobą. Słyszę, że się teraz rzadko spotykacie, — niechby się dawna poczeiwa miłość odświeżyła.

Wacek i Wicek zarumienili się oba, nawykli byli tak słuchać stryja, że słysząc to powstali, trwożliwie na siebie spojrzeli — i — zabierali się już do wyjścia...

— Rzeczywiscie — ja tu jeszcze mam z panem Hołłowiczem coś do pomówienia — pójdziecie się przejść i pogawędzicie z sobą.

Tym fortem niezbyt wyszukany, ks. Pa-

czura zmusił ich niemal, aby się do siebie zbliżyli. Wzięli tedy czapki porzucone u drzwi, i milcząc wyszli z izby... przeszedłszy sieni, stanęli w progu... spojrzeli sobie w oczy, i nie mówiąc jeszcze, wolnym krokiem pociągnęli ku cmentarzowi. Szli obok siebie — Wacek patrzył na drzewa, na których pączki wzbierały, Wicek pod nogi. Koło dzwonnicy spotkali Bartocha, któremu oba, jakby jedną tknięci myślą, dobyli z kieszeni i dali po kilka groszy... Wesoły uśmiech im za to podziękował... Dalej, drożyna cmentarna była wązka, Wacek poszedł przodem, Wicek za nim. Nie odzywając się jeszcze do siebie, stanęli naprzeciw drzwi kościelnych. Ztąd już mur, kędy dawniej siadywali, widać było i ów kamień upadły, na którym się oba mieścili—krzewy osłaniające go w lecie, nie miały jeszcze liści—stały nagie, miejsce więc dobrze ztąd wpadało w oczy.

— A co?—odezwał się cicho Wicek, - czy siadziemy tam znowu?

— Dla czegoż nie!—żwawo odparł młodszy, —i owszem—chodźmy...

— Tylko to pytanie—rzekł starszy,—czy my się tam teraz pomieścimy oba?..

— Sprobujmy—zawołał Wicek.. i ruszył przodem ku kamieniowi...

Wicek siadł pierwszy, ale na samym rogu, Wacek na drugim, obu nie było bardzo wygodnie, lecz widocznie unikali zbliżenia się

i otarcia o siebie, bo środkiem dość miejsca zostawało.

— Mnie się widzi—odezwał się Wicek, zbierając na odwagę,—że stryj nas tu umyślnie posłał—bo mi kilka razy dawał do zrozumienia, że mu to nie w smak, iż my z sobą nie żyjemy...

Wacek spojrział i zdał się zamyślać.

— To trudno—rzekł nieco zmięszany,—kiedy z nas każdy gdzieindziej, i ma co do roboty...

— Pewnie—podchwycił Wicek,—mnie gospodarstwo zajmuje czasu dużo, a wam około lasów objazdżki... Jam temu nie winien.

— Juścić i nie ja—powtórzył Wacek...—Co innego gdyśmy dziećmi byli...

— A! tak—co innego,—począł Wicek..—jak tu się koło tego muru w piłkę grywało... pamiętasz?

Westchnął Wacek... Zamilkli.

— Prawdę a Bogiem—rzekł młodszy,—mógłbyś do mnie, objeżdżając lasy, czasem wstąpić. Wiele to razy tak było, żeś u leśniczego pod nosem moim popasał, a mnie minął.

— Ot ja nie wiem, czy się to kiedy wydarzyło—zamruczał Wacek,—może być, alem pewno spieszyć musiał.

— E! e!—zaczął Wicek,—mówmy prawdę, nie chciało ci się.

— No—a uderz się w piersi,—odezwał się starszy. Bywasz często, o! i bardzo często w Zalesiu, a czy kiedyś się tak wybrał, żebyś mnie tam zastał!

— A jam temu co winien! — wykrzyknął Wicek.

— Gadaj zdrów—jakbyś to nie wiedział, kiedy mnie można znaleźć,—mówił Wacek;—jać przecie mam dni moje, w których objeżdżam lasy.

Wicek ramionami ruszył.

— Dosyc, że jakoś się nam spotykać codzień trudnicj,—rzekł.—Ludzie to nawet uważają, że my siebie unikamy—ale—jam nie winien.

— Ani ja—ani ja—przerwał starszy...

— A któż?—zagadnął Wicek...

— Albo ja wiem mruknął drugi.

I siedzieli znowu jakiś czas w milczeniu, spoglądając w prawo i lewo... W prawo, chmura wróbli unosiła się z krzykiem nad zaroślami i starymi krzyżami, w lewo, dwie sroki na mur wlaższy odpowiadały im wołaniem szyderskiem.

— Wyście nawet gospodarstwa mojego nie widzieli prawie,—odezwał się wreszcie Wicek,—a słowo daję, mógłbym się pochwalić. Starosta, jak ostatnią razą zajechał do mnie, nie mógł dworku poznać i zabudowań... Tak go to zdziwiło, że na dzierżawce tyle sobie pracy

zadaje, iż chyba na gniazdo kwilę. A no — dalipan, nie byłbym od tego! Rozśmiał się Wicek i spojrzał na brata. Wacek siedział pochmurny długo.

— A czemuż nie ma to być.—rzekł cicho,—powinszuję.

— A wam się to też nic śni?—odparł Wicek,—boć to pono po starszeństwie iść powinno...

— O! ja o tem nie myślę,—odezwał się Wacek,—z czem? jak? którażby mnie zechciała? żeby zostać panią leśniczyną i mieszkać zemną na folwarku! Ani mi to w głowie... Wyście sobie lepszą częśćkę obrali, łącniej panią dzierzawczynię znajdziecie...

— Nie byłbym od tego, byle po myśli.—Dalipan—śmiejąc się mówił Wicek i przysunął nieco do brata.—No,—co mam się z tem taić przed wami? Pamiętacie ten dzień, gdyśmy to stojąc za szpalerem, pierwszy raz piękną Kocię z kwiatkiem w ręku zobaczyli? od tego czasu, Bóg mi świadek, na chwilę mi ona z myśli nie wyszła—pokochałem się w niej—kocham. Albo się z nią ożenię, albo z żadną!

Wacek pobladł, drgnął, spojrzał ostro na brata i rozśmiał się sucho, szydersko...

— Na zdrowie waszeci!—zawołał.—Ale—zapewne! Nic złego ci się zachciało! Patrzajcie, jak wysoko sięga myśl i ochota! Zapewne! Pan-

ny Konstancyi byś za żonkę pragnął!! Czemu nie! czemu nie!

— Albo co? — rzekł zarumieniony mocno Wicek,—a cóż to znowu tak niedostępnego? Księżniczka udzielna czy królewna? Miły Boże! Taka sierota jak i ja...

Ruszył mocno ramionami i wstał, ale pomyślawszy nieco usiadł znowu.

— Co ci się roi!—rzekł z goryczą,—czyż nie widzisz, co dla niej starościna ma na myśli? Durzysz się nadaremnie, boć to na dłoni, że z tego nie być nie może...

— Albo—albo,—odezwał się Wicek,—zobaczmy. Gadajmy otwarcie, co tu mamy sobie mydlić oczy? Wybyście mnie chcieli odstraszyć, bo wam się samemu jej chce! Niby ja tego nie wiem!

Z zaognionemi oczyma zwrócił się ku bratu Wacek, i rzekł popędliwie:

— A no, tak! tak! nie puszczę! Pewnie że ja nie mniej kocham i adoruję od tej samej godziny co i ty. Zapierać się nie będę, tak jest! Ale ani ona moją, ani twoją nie będzie... Nie będzie! powtórzył z boleścią.

— Gadajmy spokojnie,—odezwał się Wicek,—otośmy już zyskali, że między nami *clara pacta*... Wiedziałeś ty o mnie, wiedziałem-ci ja o tobie... Juści się o pannę bić nie będziemy, kiedy, jak mówicie, obu nie chce...

— A żadnemu z dwóch jej nie dadzą, choć-

by i chciała,—dodał Wacek. Co to gadać daremnie! Ona od siebie nie zależy, starościnie wszystko winna, a pani dla niej wymaga wiele.

— No—jakeś mój brat,—zerwał się Wicek żywo,—jakeś brat, i jakieś pocziw, mów otwarcie. Kocha ona ciebie? Gadaj prawdę jak na spowiedzi.—Serce mi pęknie,—niech pęka—ale Bogiem się klnę, nie mruknę i ustąpię...

Z podniesioną głową słuchał Wacek brata uważnie, mieniła mu się twarz.

— Tyś pocziwszy odemnie,—rzekł wyciągając rękę, którą Wicek pochwycił i ścisnął. Bóg zapłać,—klnę ci się na wszystko—czy ona mi sprzyja, nie wiem... Nie wiem.

Westchnął spuszczać oczy.

— Albo ja ją rozumiem? — mówił,—jużci dobrą jest dla mnie, ani słowa. Są takie dni, że spojrzy, zagada, serce poruszy—zdaje się—któż ją wie, może i dobrze życzy... Przyjdzie drugi dzień, stroni, nie odezwie się, jakby nie widziała... Człowiek na przemiany desperuje i szaleje— a nie wie nic.

— A!—zawołał Wicek, ręce łamiąc,—tak jest i ze mną! Nie wiem do dziś dnia, czym jej miły, czy wstrętny... ale to wiem, że czy tak jest, czy owak, ja jej kochać poprzestać nie mogę—bo—bo nie mogę!—wybuchnął—bo—nie mogę...

— Toć i ze mną,—dodał Wacek smutno,—a żebyśmy dla niej mieli sobie przestać być



braćmi — niechaj tego ludzie nie mówią! Wszystko to daremne. Ona nie dla nas... ani dla mnie, ni dla ciebie... Ja to wiem, że z inną żadną, choćbym sto lat żył, nie ożenię się. Tak mi Boże dopomóż.

— Jam to sobie dawno powiedział, i poprzyśiągł—mruknął Wicek... I dobrze, żeśmy się tu rozmówili otwarcie, jak na braci przystało, nie mniej ty mi za złe affektu mojego, tak jak ci twego nie biorę za złe—ani ty, ani ja nie winiśmy... Przecznaczenie!

W milczeniu ręce sobie znowu podali i ścisnęli.

— Dziwna dziewczyna!—mówił Wacek,—widuję ją częściej od was; a nie rozumiem... Mieni się jak pogoda, choć niby zawsze jest jedna... W tych samych oczach na przemiany mróz i skwar,—światło i ciemność...

— Może ona kogo innego miłuje? — westchnął Wicek.

— Myślicież, że ja nie śledził i nie badał?—przecież mi o to szło bardzo, żebym pewnym nie był—Jako żywo! niema nikogo! Kogożby miała znowu ulubić, czy nie Mudłowskiego, który wesa kręcąc wzdycha do niej—myśląc, że ją wioską skusi? Na Mudłowskiego i patrzeć nie chce. Starościna z biedyby go może i forytowała, choć o nim brzydkie rzeczy gadają, boć nie darmo mu dom w Zaparkach wypowiedzieli... Zresztą kto? niema nikogo.

Nie mówił nic Wicek, brat po chwili kończył.

— Patrząc jej w oczy, nieraz myślę sobie: gdybym ja też mógł widzieć, co one gadają? Spojrzę raz, przysięgłbym, iż mówi: Sprzyjam Waszeci.—Ledwie to schwycił, ledwie pomyślał, już z nich co innego się odzywa:—Co waćpan sobie myślisz? A to pięknie? Ani mi waćpan w głowie!! Zdaje się jakby ledwie się przyznawszy, zawstydzila się i rewokowała.

— Toż i ze mną, słowo w słowo—westchnął Wicek.

— Jawna rzecz,—dodał starszy,—że kiedy obu jedno mówi, obudwu z nas chyba nie chce..

— Albo ja wiem!—dodał Wicek... I wy i ja szalejemy za nią, a to dziewczyna jak lód—żeby człek konał, jej się usta nie rozwiążą!

Zwierzeniom tym nie byłoby końca, bo bracia teraz ochoczo się sobie spowiadali, znowu do dobrej przyszedłszy zgody, i oba również się czując biedni, gdyby proboszcz, który już był o nich niespokojny, nie pociągnął na cmentarz za nimi. Zobaczywszy ich zdala na tym kamieniu, obok siebie siedzących znowu w dobrej zgodzie i porozumieniu, a tak żywą zajętych rozmową, rozrzewnił się starowina, Bogu dziękując, i nie byłby im przeszkodził do dalszej rozmowy, gdyby za nim Magdalena z rozpuszczonemi już czepca wstęgami nie przywlokła się.

— Jezu ty mój miłosierny! na spacer acaństwo się wybrali, kiedy obiad już gotów i gęś się zesmali na niwecz...

— Dawajcież wazę, dawajcie,—odezwał się ks. Paczura, ja ich pościagam zaraz.

I podszedł wolnym krokiem ku murkowi, zdala wołając.

— Mości panowie—gęś się przepiecze... Proszę do stołu...

Twarz mu się śmiała... Nie wiele kroków uszedłszy, słaby staruszek już, że na dworze było ciepło, potniał i czoło sobie ocierał, ale w duszy też ciepło mu było.. i Bogu dziękował, że mu się jego pocziwa strategia tak szczęśliwie udała.

— Chodźcie ichmość pożywać, co Bóg dał,—powtórzył z uśmiechem... Podajcie mi ręce z obu stron i prowadźcie, tak prędzej staniemy u celu, bo pod waszą opieką raźniej będę suwał nogami...

Wacek z jednej, Wicek z drugiej strony pospieszyli mu podać ręce—twarz starego promieniała. Patronowi swojemu dziękował, że mu dał myśl szczęśliwą i skutek jej tak pomyslny...

Zdala Hollowicz, który się sam jeden pozostał w wielkiej izbie, gdy na rozkaz proboszcza pospieszono z wazą, która już na stole stała, wyszedł oznajmić o tem.

— Księżę proboszczu dobrodzieju — *Hora*

*canonica!* Wazę przyniesiono... ezeka.n sam jeden...

— Idziemy! jak widzisz,—rzekł ks. Paczura, —a raczej ja lecę, niesiony na rękach tych dwóch podpór mojej starości. Z nimi się tak lekki czuję, jakbym istotnie miał ulecieć...

Weszli tak na probostwo... Hołłowicz, który starszą swą córeczkę, lat już osiemnastie mającą, zażywną kwoczkę, rumianą, gadatliwą, śmiejącą się, swawolną, wielką miał ochotę wydać za jednego z synowców proboszcza—schwytał *assumpt* do dalekiej ku matrymonialnym widokom przymówki...

— Jeszczeby jejności dobrodziejowi lżej i weselej było, gdyby szanowni jego synowcowie, pomyśleli o zagospodarowaniu się po bożemu. Taż to ichność dobrze pod wąsem, wartaloby o gniazdkach pomyśleć.

— Człowiecze! — zakrzyknął ks. Paczura wesoło,—a to mi dopiero zaśpiewales. Ho! ho! nie psujże mi młodzieży, będzie ra to czas! będzie. Niech-no pierza wprzód na gniazda przyzbierają! niech pracują! Nasi dziadowie dopiero się szpakowaciejąc żenić byli zwykli.

— A od czegoż przysłowie,—przezwał Hołłowicz:—kto rano posiał i wczśnie się ożenił, nigdy nie żałował?

— Przysłowie inaczej mówi, — poprawił proboszcz,—bodaj w Rysińskim go, czy w Knap-skim kiedyś weryfikowałem,—kto rano wstał,

wcześnie posiał i za młodu się ożenił, nigdy nie żałował. A wiesz asindziej, jak się to tłómaczy?—oto żebyście rano wstawali i sieli wcześnie—co się zas tycze ożenienia—zachowajcie młodość i czystość serca, zawsze z niemi choć pod siwym włosem ożenienie będzie młode!

— Jak mi pan Bóg miły,—rzekł łapczywie zupełną zającą Hołłowicz,—ks. proboszcz ze swoją dyalektyką zawsze mnie w myśnię dziurę zapędzi... No—niech sobie będzie, jako chce... Ja wiem, że za młodu się ożenił, bo mi się był ledwie wąs wysypał, nie żałowałem tego. Niech jej Bóg świeci—mojej nieboszce, drugiej takiej nie ma i nie było na świecie.

Wnet rozmowa, gdy proboszcz sam nalał na ten dzień wyniesionego z pod klucza wina i kieliszki się wypróżniły, żywszą się stała,—Hołłowicz ją szczególnie dykteryjkami podsycał, choć nie były pierwszej świeżości i doboru... Wacek i Wicek uśmiechali się także..

Z gęsią razem, która ani niedopieczoną ani przepieczoną nie była—Hołłowicz podniósł się i zdrowie ks. proboszcza wychylił. Chłopcy przyszli stryja w rękę pocałować... a że stara Magdalena stała jeszcze w progu, nalano i jej kieliszek, który, ściskając za kolana ks. Celestyną, po kropelce wysączyła.

Właśnie nadchodził ów odpust w Borusławicach, d. 4 Maja, na który zwykle synowcowie dla posługi stryja zjeżdżali i dla nabożeństwa—gdy jednego dnia, starosta kazał do siebie powołać Wacka w pilnym interesie.

4 ~~Wiecz~~ wcale pana Sniechoty nie utemperował w zapale procesowym, owszem, z latami zdawał się stawać jeszcze zapamiętałym pic-niaczem, jakby się obawiał, że już mu czasu nie stanie na to, co porozpoczynał. Toczył na ów czas proces z Sanguszkami, o jakąś zastarzałą pretensyę nabytą, przelaną przez familię, która się nigdy z niej grosza wziąć nie spodziewała. Zastarzałą tę sprawę wzięwszy na siebie starosta, obrachował się z *alterum tantum*, kosztami, rachunkami, miał niby wyzyskać krocie. Sanguszkowie, ludzie spokojni, już chcieli odczepnego dać kilkadziesiąt tysięcy, ale o tem ani chciał słuchać.

— Zapewne!—rzekł,—nie wykręcą mi się sianem te magnaty! Nie boję się ich prepotencyi, choć wiem, że mają swoich deputatów w trybunale. Ja też nie wypadłem sroce z pod ogona, i przyjaciółl znajdę. Mają oni grosz, mam i ja go... Zagramy tedy od acana do acana, a obaczmy komu tuży usłużą!!!

Tym czasem gdy przyszło do zarejestrowania i spisu dokumentów, z rozpatrzenia się w nich luka się w nich okazała. Jawnie i oczywiście fascykuły dwa czy trzy u przeszłych posiada-

czy przez kogoś ściągnięte zostały; nie dziś ani wczora się to dokonało... Starosta miał niezmierny spryt w dochodzeniu dróg, jakimi papiery chodziły, albo chodzić mogły. Rozumując—*ille fecit cui prodest*, trafiał zawsze szczęśliwie na podchwyczone akta i nieraz mu je się udało wyszukać. Teraz też, znając dawne familijne stosunki, czuł, że papiery u sukcesorów rodziny Matuskich na Podlasiu znajdować się, *ni fallor*, były powinny...

Utkwiło mu to tak w głowie, że gdyby na jedną nogę nie był zaskąbł i nie dostał obrzęklizny takiej, że ją obwiniętą na stołeczku trzymać musiał—byłby sam zaraz siadł do powozu i po te papiery zaginione, w świat wyruszył.

Szło bardzo o to, ażeby się całe staranie i poszukiwanie nie rozbębniło po świecie, aby zręcznie papiery dobyć pod pozorem genealogii i nie dać z siebie wziąć haraczu.

Kogo tu posłać? Wacck mu się zdawał najroztropniejszym i najwłaściwszym do tego. Powołano Wacka ..

— Kochany mój Paczuro—odezwał się starosta, zobaczywszy go we drzwiach,—jeżeli ty pana Boga kochasz, usłuż mi... Dam ci konia z rzędem—bez żartu... Patrz, jak mi noga nabrzęka, nim się odsmaruję, a odejdzic, *periculum in mora*.

Począł mu tedy tłómaczyć, o co szło... i jak miał starać się o to... Wacok słuchał pilno.

Kazał mu wysłuchane powtórzyć, powtórzył Wacek. .

— Siadaj na bryczkę—rzekł,—wcześniej grosza, ile potrzeba, wybierz się przystojnie, na drogę nie żałuj sobie,—ruszaj zaraz... wracaj prędko — a bez papierów mi się nie staw.. bo cię znać i widzieć nie chcę.

— Żart na bok,—choćby je z pod ziemi wygrzebać przyszło, to mi ich potrzeba.

Tak zagadnięty Wacek. pomyślał nieco, do pana Boga westchnął... i po południu w drogę wyruszył.

Już jak mu się tam w niej działo, opowiadać nie będziemy, bo to do rzeczy nie należy, dosyć że do Matnskich przybywszy, którzy około Wisznia mieszkali w kącie zapadłym, gdy dla rozwiedzenia się lepszego, do karczmy zajechał—od arendarza dowiedział się, iż właśnie we dworze obchodzono wesele starszej córki, która za Litwina jakiegoś wychodziła.

Karczma była pełnusiemka ludzi gościnnych ze dworu przybyłych, i wozów a bryczek, na które już nie było miejsca w folwarku. Zgryzł się tem mocno Wacek—trafił, jak kulą w płot właśnie. Gdzież tu się było dopytać? jak doczekać?

Jeszcze stał przed karczmą tak zadumany, co z sobą pocnie,—a arendarz oparty o bryczkę badał go, bo to tam w tej okolicy gość z daleka, i nieznajomy, był rzadki—gdy ode



dworu podjechał syn gospodarza młody Matuski, aby zadysponować coś Żydowi, i zetknął się z Wackiem.

— Co? jak? kto! ciekawość go wzięła, z kądu tu w taki czas nieznajomy się trafił. A że wesele już drugi dzień trwało i młody Matuski był dobrze podchmielony, w złocistym humorze, wnet się do bryczki przyparł...

— Arcztnję waćpana, miły bracie—zawołał, — ktośkolwiek jest, nie pytam, u nas na Podlasiu prawo takie, kto w wesele wpadł, ten się z niem weselić musi, nie nie pomoże. Zabieram was do dworu! Tak mi Boże dopomóż, choćby konie gwałtem wyprzęgać przyszło...

Paczura mu się przedstawił,—a tego mu trzeba było, aby go przyaresztowano. Więc u gospodarza wyprosiwszy izbę, którą od bachurów wolniono, tłumoczek kazał zanieść, wymył się, odział, wyświeczył, najlepsze odzienie wziął, i z Matuskim, który już nie puszczając czekał nań, puścił się do dworu...

Dwór był stary, koszlawy, niepozorny, pod słomą, ale w nim świeciło we wszystkich oknach, dymiło ze wszystkich kominów, wrzało i gotowało się; już nie dojeżdżając do niego, słysząc było basetłę, a bliżej całą muzykę i cymbały.

Okna stały pootwierane, a wewnątrz widać było wywijające pary i starych z kielichami do góry podniesionemi. Ścisk był ogromny,

w sieniach pełno, ganek jak nabity, w nim latarnie dwie ze stajni pożyczone, słabo oświecały kielichujących sąsiadów. Za dworem palono z moździerzaków na wiwat!

W dziedzińcu nawet, czeladź na trawie płała, korzystając z muzyki, która przez okna otwarte wybuchała na podwórze... Chwilami wśród tej wrzawy, podnosiły się krzyki jeszcze silniejsze nad nią, nad muzykę i moździerz... Wiwat!.. Zdało się, że domowstwo stare rozsada...

Był to już, jakieśmy mówili, dzień wesela drugi, wszyscy pod hełmem, rozochoccni, humory królewskie, serdeczności takie, że jak się w ganku wzięli ścisnąć przyjaciele, oba się na ławę walili. Dopieroż śmiech... W prawo w salce, widać było beczkę węgrzyna, na widelkach stojącą, z której raz w raz napelniano gąsioriki, a drudzy wprost do niej szklanki przystawiali...

Choćby człowiek żelazny był albo marmurowy, gdy w taki popadnie kipiątek—czterma by go literami nazwać trzeba, żeby nie poczuł w sobie ducha, i żeby się nie rozgrzał...

Wacek jeszcze jak żyw, w opalach takich nie bywał—gdy go Matuski na ganek wprowadził,—nie pytano ni kto, ni co, ni zkad, go gospodarz ojciec, człek jak baryła, czerwony, przystąpił doń z kielichem i naprzód zdrowie jego wychyliwszy,—począł go konwinkować.

— Niesprawiedliwośćby się nam stała, a równości szlacheckiej krzywda, gdybyś asindziej nie wyrównał się z nami, co najmniej kieliszkami trzema. Jakem pocziw, za kołnierz wyleję—a zechcesz się bić—no—to stoję...

Wacek wypił, węgrzynek był lekki i połykać się dawał dobrze, a on głowę miał nie dla proporcji... Ucieszyli się wszyscy... więc nuż go sobie z rąk podawać, aby tak godnego obywatela wyściskać. Myślałby kto, że go od wieków znali... Ale co tam—kość z kości! Szlachcic prawy... za kołnierz nie wylewa... Zaczęto go kochać niezmiernie...

— Wpadłszy między wrony, krakaj jak i ony!—mówił sobie Wacek.

Wzięli go z ganku do tańca, a że żwawy był i chłopak urodziwy, tu go znów porywano i musiał wszystkie panie w ręce całować, a mało z którą nie przetańcować.

Kobiety także nie bardzo dopytywały, kto go rodzi i z kąd, bo mu z twarzy dobrze patrzało i rażny był; a słowa mu nie brakło.. Caluteńką noc porwany tak w czarodziejskim owem kole spędził, jedząc, pijąc, tańcząc, śmiejąc się, ściskając, i nie mogąc prawie oprzytomnieć, co się to z nim działo...

Gdy dzień się zaczął robić, pozamykano okiennice i dotańczono do słońca. Naostatek nóg zabrakło, ci co pili pospali się w ganku, młody Matuski litość mając nad podróżnym,

zaprowadził go do szopy na siano, gdzie już dery i kilimki były posłane—i tu na spoczynek legli. Czas było. Na Wacku koszula choć wykręcać mokrusienka, a pot się z czoła lał.. ledwie dyszał. Młodemu jednak z tem i zdrowo i dobrze .. Padłszy na siano, zasnął kamien-  
nym snem—do południa.

Wstali dopiero do wódki i przekąsek, bo po bulatyce — kieliszek wódki i ogórki kwaśne naówczas uważane były za najlepsze lekarstwo. Nie od rzeczy bywał i bigos, gdyż siły wyczerpane krzepkiego pożywienia wymagały. Jedli też wszyscy tak uczciwie i sumiennie, że wkrótce na stole nie było, a muzyka *iterum iterumque* do przerwanego tańca wabiła, i Matuski już w pierwszą parę polskiego prowadził starą podkomorzynę...

Wacek tego dnia po spędzonej nocy w gronie miłych gości, był już tu jak w domu. Znał wszystkich z twarzy, uśmiechały mu się panie, choć prawdą a Bogiem, połowa osób nie wiedziała, jak się nazywał, połowa wiedząc zapomniała, a on, oprócz gospodarza i jego rodziny, nikogoby był nazwać nie umiał.

Dzień ten trzeci jakoś był spokojniejszy, wszyscy się pomeczonemi czuli. Wacek też ze starszemi siadł w ganku na ławie. Stateczny jakiś bardzo człek, podżyły już, z podbródkiem długim, czoło ogromne, wąs spuszcisty, który głaskał ciągle — siedział obok niego.

Rozmawiali o różnych rzeczach—podobali się sobie wzajemnie, aż ów sąsiad o nazwisko i procedyacyą go zagadnął.

Powiedział mu o sobie Paczura, nie tając kim był, ani się zbyt panosząc... Ten też wzajem mu się zarekomendował, jako—pan Benedykt Rewnowski.

Wacek aż poskoczył:—Co? Rewnowski?

Obraził się niemal sąsiad.—A cóż to znów ino je nazwisko acindzieja w taki podziw wprawia.—Czyż go to nigdy w życiu nie słyszał?

—Przebacz mi pan,—rzekł Wacek,—obrazy w tem nie ma—ani go to dziwić powinno; właśnie że mi to nazwisko znane jest, dla tego mnie, gdy tu je spotkał, tak zdziwiło.

—O la Boga!—odezwał się sąsiad,—a gdzież to asindziej Rewnowskich spotkał—boć o ile wiem, Rewnowskich herbu Równia, nie ma więcej ino ja jeden jedyny... Miałem brata, ten się niieszczęśliwie ożenił, majątność stracił, żonę slysze odumarł, a ta z córką, już temu lat kilkanaście będzie—podziała się, i jak w wodę wpadła, cośmy się naszukali, śladu nigdzie nie znaleźliśmy. Tem nas to bardziej obeszło, że nam samym z jejmością Bóg, co dał dziątek, to pozabierał...

Mówiąc to patrzył Włękowi w oczy...

—Ile lat temu, jak bratowa pańska z owem dziecięciem zniknęła?—zapytał. *Wacek*

Obliczył na palcach Rewnowski, niezmiernie zaniepokojony pytaniem.

— A niewiadomo panu, jak na chrzcie było imię owej córeczce? — dodał Wacek.

— Jak nie ma być wiadomo, kiedym metryki o to wertował! — rzekł sąsiad... Imię jej było Konstancya...

Paczura w ręce uderzył, i za głowę się pochwycił.

— O cudowne zrządzenie! — zawołał, — ja znam synowicę pańską...

Zerwał się Rewnowski za ramiona go chwytając —

— Zbawco ty mój, dobrodzieju! mów! gdzie? jak!

I nie czekając odpowiedzi, począł na cały głos wołać:

— Jejmość! Jejmość! Basieńku!

Mimo wrzawy, głos ten widać doszedł do powołanej, i wbiegła niespokojna w ganek kobiecina, małego wzrostu, otyła, z jasnymi włosami, nie młoda, ale jeszcze rumiana i świeża, z twarzyczką o drobnych rysach, i nosku zadartym, który niegdyś bardzo być musiał wdzięczny.

— Co mój aniele? — co? — poczęła wołać.

— Basieńku! złoto moje! Cud, ten oto pan... jakże..? Paczura — zna naszą synowicę zaginioną, Kostusię Rewnowską.

Oboje przypadli do Wacka:—A mów! a zlituj się!

Nie rękując tedy za nic, całą historję panny Konstancyi, tak jak ją nie jeden raz z ust samej starościny słyszał, opowiedział Wacek—i dopiero mu teraz na myśl przyszło, że wprowadzie sierocie mogło to przynieść szczęście, ale nieochybnic ją od niego oddalić... Scisnęło mu się serce, ale już nie było co czynić, tylko dociągnąć z opowiadaniem do końca. A tu i inni cisnąć się zaczęli, i tumult powstał do koła, bo sobie tę historję cudowną z ust do ust podawano.

Stary Matuski wziął z tego assumpt do kielicha, za zdrowie państwa sęstwa Rewnowskich i ich synowicy. Nie było już najmniejszej wątpliwości, iż to dziecię zaginione w wychowawicy starościny znaleźć się miało. Wacek jednak czynił tę uwagę, że niemało już familii poszukiwano, że właśnie w tych stronach o nią dopytywano, i że starania były nadaremne.

— To źle nas szukali,—rzekł sędzia,—a do tego dodać trzeba, że w zapadłym kącie mieszkamy, i gdyby istny fortuny kaprys nie przyniósł tu oto właśnie na te dni waćpana, pozostała by ona sierotą, a my bez wieści o niej.

Umówił się zaraz Rewnowski, iż sam miał z Wackiem jechać do starostwa Sniehotów, a gdy w nim przyjaciela sobie pozyskał Pa-

czura, nie wahał się już wyznać przed nim, z czem tu jechał, rady prosząc i pomocy.

Sędzia był człowiekiem bardzo rozumnym i w obywatelskich sprawach biegłym, nakazał tedy Wackowi milczenie, i sam się z Matuskiem o to mówić podjął, ręką, że, jeśli papiery są, to je mieć będzie. Trzeba jednak było poch-miele weselne przeczekać i jeszcze z państwem młodem przenosiny odbywać.

— Na to już nie nie pomoże,—dodał sędzia,—kiedys grzyb, leż w koszu, trafiłeś na wesele na Podlasiu, tu ci nie darnią, musisz dopić i dojeseć, co należy, bo by się ludzie za pokrzywdzonych uważali.

Stało się, jak pan sędzia Rewnowski powiedział... Całe towarzystwo prosto ztamtąd, gdy już ostatnia beczulka węgryzna z lagrem była dopita, ruszyło na przenosiny.

Pan młody nie chciał się gorzej od teścia pokazać, więc pito *de noviter repertis*. Węgryzn lekki niezem by był, ale tu trafili na stare miody, tak zdradzieckie, że szły do ust jak ulepek dziecinny, pił każdy chętnie, bo mu smakowało i do głowy zaraz nie szło—a gdy przyszło wstawać, nogi były jak popodcinane.

Historye się więc tu działy, bo po tych miodach ludzie spali dwadzieścia godzin, nioktórzy jak bobaki, a gdy się przebudzili - dziwna rzecz, głowy mieli lekkie, żołądki gotowe do jadła,



i czuli się jakby cudownym lekiem orzeźwionemi.

Jednak w powtórnem starciu z temi butelkami ostrożniejsi już byli, i z respektem małemi kieliszkami cmokali. W drugim tygodniu dopiero Rewnowski mógł przystąpić do interesu swojego klienta. Poszło głodziuteńko. Matuski wydawszy córkę wedle myśli, był bardzo szczęśliwy, papierami więc staremi wygodzić miłemu gościowi rad był serdecznie. Poczęto szukać w szafie — i osobliwem szczęściem, owe fascykuly brakujące, takimi samemi tasiemkami powiązane jak u starosty, znalazły się od razu.. Matuski śmiejąc się ofiarował je, dodając:

— Szczęście, że ich pod placki nie użyto, bo ta nie kolej była nic daleka, a dla mnie najmniejszej wagi nie miały...

Tak wyprawa ta na Podlasie, nieco z powodu wesela przeciągnięta, skończyła się tryumfem dla Wacka z jednej strony, z drugiej niepokojem. Rewnowski go już nie odstępował, umówili się tylko, aby naprzód na probostwo do ks. Paczury zajechał, i tam pozostał, dopóki by Wacek nie uprzedził starościny i panny Konstancyi, dla uniknienia zbytniego wzruszenia. Na to zgodził się sędzia, i po dosyć śpiesznej podróży, około południa, (było to jakoś w połowie Maja) — stanęli w Borusławicach.

Ks. Paczura, który już o Wacka był niespo-

kojnym, bo i starosta się niecierpliwił, słał a dowiadywał się, czy o nim słychu nie było—powitał go nadzwyczaj uradowany. Rozumie się, że i gościa nieznanego, swoim zwyczajem, przyjął sercem całym. Cóż dopiero, gdy się dowiedział, co to za gość był i co on wiozł z sobą.

Z podziwienia wyjść nie mógł, nad osobliwym zrządzeniem Bożem.

Sędziego tu zostawiwszy, Wacek nie mając czasu odpoczywać, natychmiast proboszczowskiemi końmi pobiegł do Zalesia.

Starosta dowiedziawszy się o nim, byłby z niecierpliwości wyszedł naprzeciw, gdyby go obrzękła noga nie zatrzymywała. W progu zobaczywszy Wacka, ani witał. wołając tylko: Są papiery?

— Są!

— A toś mi lepski!—krzyknął starosta,—dawaj—co żywo...

Nie pytając, ani jak je dostał, ani dla czego tak długo bawił, ani o nic więcej, stary natychmiast okulary nałożył, i drżącemi rękami schwycił fascykuły, które szczęściem przy sobie miał Wacek. Już po tasiemkach poznał, że były z tej samej kancelaryi, i to go rozradowało... począł przerzucać żywo rękami, które mu się z radości trzęsły... lice mu się rumieniło—szczęśliwym był na chwilę.

— Jak mi Bóg miły! złotym jesteś człowie-

kiem! Konia z rzędem mieć będziesz... i jeszcze coś w dodatku.

Wacek począł się tłumaczyć, iż zabawił długo z powodu wesela, i opowiadać *gradatim*, jak do papierów przyszedł. Zdało mu się to najlepszym sposobem przygotowania starosty do drugiej nowiny, niemniej niespodziewanej od zdobycia papierów. Starosta słuchał dość roztargniony, ale gdy przyszło do poznania się z Rewnowskim w ręce piasnął, i począł na cały głos wołać:

— Jejmość! jejmościuniu!

Pani starościna siedząca aż w trzecim pokoju, posłyszawszy i przestraszona nieco nadbiegła, myśląc że się, uchowaj Boże, co stało. Zobaczywszy Wacka, trochę się uspokoiła.

— Mów *ab ovo*,—zawołał starosta—mów.

Wacek znowu rozpoczął opowiadanie.

Słuchała go jejmość poruszona... Nazwisko usłyszawszy, krzyknęła zlekka i przeżegnała się, widać było, że ją jakaś trwoga ogarnęła. Nie wiedziała, czy się cieszyć czy płakać, boć najukochańszą wychowanicę swą, którą jak dziecię miłowała, utracić miała. — Pobladła, spuściła oczy, milcząc odmawiać się zdawała jakąś modlitwę...

— Nie powiem, żebym ja waćpanu za to odkrycie była wdzięczną,—odezwiała się,—ale Bóg tak chciał, by sierota znalazła rodzinę... a ja żebym miała zręczność ofiarę dopełnić...

Zamyślona, przeszła parę razy po pokoju.—  
Chodź waćpan,—odezwała się do Wacka—sam  
jej to opowiesz, ja nie mogę.

Łzy z oczów jej płynęły, płakała rzewnie.  
Szedł Wacek posłuszny, zmuszony po raz  
trzeci powtarzać swoją przygodę. W pokoju  
starościny siedziała panna Konstancya u kro-  
sien. Nim do niego weszli, jejność starannie  
oczy otarła i od progu odezwała się:

— Oto pan Paczura z drogi powraca—po-  
słuchaj no Kociu, kogo on tam spotkał i co mu  
się trafiło. Może to i ciebie obchodzić będzie.

Panna Konstancya zarumieniona, patrzyła  
na starościny i wchodzącego, któremu głową  
skinęła.

— A cóż to się mnie tyczeć może!—odparła  
po cichu i obojętnie.

Wacław usiadł nieco zdala—drżał... Myślał,  
co przynosi z sobą i z ust mu nie szły wyrazy.  
Pani starościna czekając stała.

— Mów waćpan... tak, czy owak, powie-  
dzieć przecie potrzeba.

Na pół cicho wymówione wyrazy, doszły wi-  
dać uszu panny Konstancyi, która pobladła.  
Teraz ją to dopiero uderzyło, że coś istotnie  
jej się tyčzącego mógł przywićć Wacek.  
Złękniona wstała od krosien. On milczał.

Tym razem nie chciał już wchodzić w szcze-  
góły, i rzekł po namysle.

— U państwa Matuskich wypadkiem spot-

kałem się z panem Benedyktem Rewnowskim, który dowodzi, że jest stryjem pani.

Panna Konstancya słuchała, jakby nie wierzyła uszom.

— Ja! miałabym na świecie krewnych?— zawołała,—stryja? Ale czyż to może być?

— On sam to przyznaje,—odezwał się Wacek,—a tak mu pilno było poznać panią, że ze mną razem przyjechał. — Zostawiłem go na probostwie w Borusławicach.

Stała Konstancya niema, spoglądając to na mówiącego, to na starościnę, aż w końcu do nóg się jej rzuciła.

— Dobrodziejko moja,—odezwała się płacząc,—nie wiem, czy mam stryja, ale w tobie znalazłam matkę, i dla mnie ty nią być nie przestaniesz nigdy...

Splakały się obie... Więcej smutku, niż radości to przyniosło. Wacek naówczas oświadczył, że sędziostwo Rewnowscy byli bezdzietni, majątni, wielce na Podlasiu poważani ludzie—i że to znalezienie rodziny za szczęście uważać się mogło.

— Mój Boże! ale oni mi ją zechcą odebrać, wołała starościna— a co ja bez niej pocznę...

Panna Konstancya równie poruszona płakała. Obowiązki względem rodziny i poszanowanie dla tych, co ją reprezentowali, takie naówczas było, że sprzeciwiać się oddaniu syno-

wicy stryjowi, i przeczyć mu do niej praw nikt nie mógł ani pomyśleć.

Niemal z wyrzutem spojrzało dziewczę na Paczurę.

— Nie dziękuję panu— rzekła po cichu,—ale tak Bóg chciał, byś był narzędziem woli Jego..

Wyszła panna Konstancya ze starościną zaraz, a w kilka minut cały dwór już wiedział, co się stało, i winszowano zapłakanej.

Z panem sędzią umowa była, aby on spocząwszy, w parę godzin po wyjeździe Wacka, przybył do Zalesia. Tak się też i stało. Sędzia ubrany odświętnie, przy karabelli, wyswieżony, wygolony, w karmazynowych butach, stawił się w ganku, gdzie nań i marszałek dworu i Wacek oczekiwał, ażeby go zaprowadzić do państwa, już przysposobionych na przyjęcie jego.

Strwożona wielce panna Konstancya, wyprosiła sobie, ażeby dopiero po chwili przyjść mogła. Jak sędziemu tak starości na swadzie nie zbywało... a bez frazcsów i komplementów nie mogło się obejść przy pierwszym poznaniu. Sędzia na karabelli zawiesiwszy czapkę, stanąwszy w pozycyi malowniczej, skłonił się starości.

— Za szczęśliwy ten dzień i zaprawdę, *albo notanda lapillo*, konsyderuję, gdy mi fortuny łaska dozwala przestąpić progi domu JW. Państwa Starostwa, i cześć im moją złożyć, do któ-

rej dziwne a *inpenetrabiles* Opatrzności dekreta, wdzięczność mi *conjungere* nakazują,—niechże łaskawem sercem przyjętem będzie tych affektów wynurzenie i czołobitność moja.

Na co starosta, nie mogąc wstać i na nogi swe wskazując, odpowiedział nie z mniejszym animuszem...

— Widzisz mnie waćpan dobrodziej podwójnem utrapionego cierpieniem, gdy *aegritudine fractus*,—nie mogę, jakbym chciał tak dostojnego uczcić gościa... Lecz choć nogi posługi odmawiają, serce do stóp jego składam najuniżeniej.

Starościnę w rękę pocałowawszy, tak dalej wiódł sędzia...

— Łaskawy *nuntius*, który mnie tu poprzędził, wyraził już zapewne, co mnie tu do domu JW. Państwa sprowadza... Cud łaski Bożej, której dekreta są niezbadane... Sierotą tu przybyłem, z odzyskanem dziecięciem i sercem przyjętem *beatitudine et gratitudine* odjadę...

Złożył ręce jak do modlitwy, gdy wtem właśnie, wylękła a blada, weszła krokiem nieśmiałym panna Konstancya, oczyma już zdala trwożnemi nowego mierząc opiekuna, który acz nie wiedząc jeszcze kto była—domyślił się synowicy, i ręce ku niej wyciągnął. W twarzy sędziego tyle było dobroci, w oczach łzy widoczne... jakby krew przemówiła...

Pod wrażeniem tego przyjęcia tak serdecz-

nego, poruszyła się ku niemu i panna Konstancya, do kolan jego przypadając, lecz wnet ją w ramiona pochwycił.

— O! jakże pięknieście ją państwo wychowali—jaki cudny z niej kwiatek! — zawołał. Niech się napatrzę, niech nacieszę, a nade wszystko niech *ex corde intimo* naprzód i uroczyscie poręczę, iż w nas znajdziecie nie stryjostwo, ale affekta rodzicielskie i miłość ojcowską a macierzyńską!

Płynęły lzy wszystkim przytomnym... a nikt już się na słowo zdobyć nie mógł, staroscina z głową spuszczoną usiadła smutna, za rękę chwytając wychowanice, jakby się lękała, ażeby jej nie odebrano.

Wszczęła się wnet rozmowa o bracie sędziego, a ojcu panny i jego losach, staroscina zachowaną okazała metrykę i papiery, które poświadczały jak najmocniej, iż istotnie sierota była synowicą sędziego. Starosta jednak długo o tem prawić nie dał, zaraz o innych przedmiotach, *de publicis* poczynając i o stosunkach obywatelskich, rodzinach, kolligacyach, a naostatek o swoich procesach.

Sędzia, który też z prawem do czynienia miewał, i jak każdy niemal szlachcic naówczas, był *juris peritus*, mógł staroście stawić czoło. Puscili się w opowiadania i kontrowersye, które obu żywo zajmowały. Staroscina tymczasem z Kostusią szeptały po cichu.



Dopiero się od gospodarza uwolniwszy, mógł sędzia na osobnej rozmowie z synowicą poznać i ją bliżej i przekonać się, jaki to skarb mu dała w niej Opatrzność. Przy czem ponownie ręce starościny ucałował, dziękując za to wychowanie dane sierocie, jakiegoby się i pańskie dziecko nie powstydziło.

Tak wieczór upłynął cały, a starosta zapowiedział odchodzącemu do gościnnego pokoju sędziemu, iż go nie puści i uczcić chce w domu swoim. Panna Konstancya, uspokojona nieco, odeszła ze starościna.

Rozumiało się samo z siebie, iż dni kilka sędzia tu zabawić musiał, a starościna zapowiadała, iż teraz mu wychowanicy nie odda, ażby po nią z żoną przybył. Chciała też się z tą myślą oswoić.

Wacek, choć go nazajutrz do towarzystwa sproszonego wokował starosta, wymówił się tem, że lasy kilka tygodni stały nieopatrzone i że objechać, co ważniejsze przynajmniej, jest obowiązkiem. Do dnia więc ruszył—smutny jak noc—i sam nie wiedział, jak naprzód się do brata skierował. Prawda, że folwarczek jego w lesie był położony, otoczony lasem, i droga dalej tamtędy wiodła.

Wicek na maleńkiej swej dzierzawie, namiętnie, powiedzieć można, gospodarzył, cały będąc oddany temu zajęciu od rana do nocy. Dworek, który odnowił z gruntu, maleńki,

schludny, wybielony świeżo, na nowo pokryty, bardzo się ładnie prezentował. Całe zabudowanie dworskie gęsto się około niego skupiało. Tuż była stodoła z drzewa tartego stara i w dobrym stanie, obora w kwadrat zabudowana, w pośrodku której było mogło swobodniej pobrykać, szopy na siano, stajnie, chlewy, daszki na pokrycie drzewa... Wszystko to połączone płotami, stanowiło jedno obejście, i gospodarz miał na oku chudobę i mienie swe całe. We dworze naprzeciwko pod ręką też była czeladź. Prawda, że uchowaj Boże ognia, w takiej ciasnocie wszystko szło razem w perzynę, ale Bóg od tego chował. Na dachu do komina wiodąca stała drabina i wycierać go nie zapominano, a z ogniem obchodzono się tak, jak się z ogniem obchodzić powinno, i popioły wyrzucano tylko tam, gdzie nic od nich zapłonąć nie mogło.

Na gospodarstwo Wickowe miło było spojrzeć, bo i czeladź pucowałato a rumiano wyglądała, i bydełko się lśniło szerścią, jakby wodą zlaną, i konie były tłuste i stworzenia wszelkie wypasione były i wesole.

Dziedzińczyk jak zwierzyniec wyglądał... Nie brakło na dachu gołębi, na płotach kur, i krzyczących jak muezziny muzułmańskie godziny kogutów, i sunących chodem otyłych stworzeń kaczek, i złośliwych gęsi.. i indyka, któremu się zdawało, gdy się napuszył, że on

tu był królem. Najbrzydsze ze stworzeń, kłapouchie nawet świnię, wyglądały wyelegantowane i jak umyte.

Rozumie się, że ten dobrobyt powszechny, głośnemi krzyki i butą wielką się wyrażał. Stworzenia to chodziły niezmiernie zajęte, śpiesząc się, nadymając i zuchwale stając do walki. Dwa koguty były dla starej gospodyni wiekustych skarg powodem, bo po całych dniach naprzeciw siebie z dziobami ku ziemi stały i czubiły się potem tak, że piór pełno leżało na pobojuwisku.

Dwa psy podwórzowe, Kruczek i Żuczek, niby nadzorcy tej rzeszy, zwykle na przyźbie lub u proga leżały, ze spokojem stworzeń, których żołądek nie jest próżny.

Właśnie był Wacek przyjechał z pola i chłopak mu konia wodził po podwórzu, a on się kromką razowego chleba z solą do obiadu przysposabiał, gdy Wacek u bramy stojąc, zawołał:

— Jest pan!

Wybiegł ze drzwi z odpowiedzią on sam, i ręce wesoło wyciągnął, ale zobaczywszy marsa na twarzy brata, podbiegł mu naprzód wrota otworzyć.

— A cóż! podróż? chyba bez skutku—żeś taki posępny?

Wacek z konia zsiadał.

— Gdzie zaś! — zawołał,—skutek podróży

osiągnięty, nawet taki, jakiego się nikt z nas nie spodziewał... Wiozę ci nowinę, z której bódaj i ty, jak ja, nie będziesz bardzo rad...

Szli razem pod ręce się pobrawszy do dworku. Izba, w której Wicek przyjmował, czysciuchną była—lecz ubożuchną, znać w niej zaraz kawalera było, trochę myśliwca, a lubiącego ład człowieka. Prawda, sprzęt nie wykwintny ją zajmował, ale wymyty, czysty, świecący niemal. Nie walało się tu nic, bo każda rzecz miejsce swe miała.

— Mów że, mów!—odezwał się Wicek,—co się to stało...

Po raz niewiedzieć już który, Paczura musiał bratu rozpowiadać swoje osobliwsze na wesele do Matuskich przybycie, i ową przygodę nie do wiary z Rewnowskim. Wicek włosy, słuchając, na głowie rozrzucał i kręcił się jak oparzony, nie rzekł nic, ręce tylko potem załamał, wlepił w podłogę oczy i odszedł milczący.

— Hej! hej!—rzekł nierychło,—jedyną pociechę oczów naszych stracimy! Bóg widzi, wyrzekłem się ja wszelkiej nadziei—ale choć w niedzielę na mszy, choć u stołu starostwa popatrzeć na nią, jakby się człek nektaru napił. Tydzień człowiek żył potem, przypominając.—I to przepadło.

— Ha! lepiej może,—rzekł Wacek,—biorą

nam ją losy, abyśmy się nie durzyli daremnie. Wie Bóg, co robi.

— A no, prawda,—westchnął po chwili,— że mnie też życie obrzydnie... ochota od pracy odpadnie.—Chce się czegoś w świat, aby zapomnieć...

— Jasna to rzecz,—odezwał się Wicek, że teraz już o niej ani pomyśleć. Bogaciż to ludzie?

— Zawsze wiosek parę mają, a sąsiedzi i o kapitałach przebąkują...

— I trzeba też było—dorzucił, w stół uderzając ręką Wicek,—abyś to ty był tak szczęśliwym i familię jej odnalazł.

— Oj! szczęśliwym! — wtórował ironicznie starszy,—pięknem szczęśliwy!

— Któż to wie!—przebąknął Wicek, spoglądając nań z ukosa,—może ci się Rewnowscy wywdzięczyć zechcą... Ty—ty jeszcze masz choć assumpt do jakiejś nadziei—ale ja—ja...

Padł Wicek na ławę. Choć starszemu do lasów było potrzeba, jak zaczęli mówić o panie Konstancyi, zagadali się niemal do wieczora. Dopiero słońce już zachodzące zobaczywszy, Wacek konia sobie podać kazał, i w las z desperacką miną pokłusował. Wicek się tak zapomniał, że parobczak dopiero przychodzący po obroki obudził go z zadumy, porwał klucze i pospieszył do gospodarstwa.

Ale teraz, teraz mu ono prawie było obo-

jętnem—myślał tylko, co począć... To się wy-  
rzekać chciał panny Konstancyi, nie nie mó-  
wiąc nikomu o tém, to znowu na odwagę mu  
się zbierało, żeby się jawnie oświadczyć, a har-  
buza dostawszy, mieć już spokojne sumienie.  
Ta myśl go coraz bardziej rozpaliała.

— Dla czego, nim ona wyjedzie ze stryjem,  
nie mielibyśmy szczęścia poprobować?

Ale bez brata uczynić tego nie chciał i bez  
narady z nim. Żał mu teraz było, iż mu tego  
nie powiedział, a nimby się z nim spotkał,  
czasu dużo mogło upłynąć.

Wiedząc drogę, którą się puścił Wacek, choć  
wieczór już był późny, konia kazał kulbaczyć  
i poleciał. O półtorej mili w chacie leśnika na  
noclegu spodziewał się schwycić brata. Tak  
mu pilno było, że konia zhasał, i gdy do chaty  
przybył, szum na nim stanął. Zaraz po koniu,  
którego do wody prowadzono, poznał, że go  
tu zastał.

Zdziwił się Wacek i nastraszył.

— A ciebie tu co przygnało?

Spostrzegł, że ten był jak w gorączce.

— Co mnie przygnało? Nazywaj, jak chcesz,  
*Mente captus, stultus, asinus* jestem, jak ksiądz  
prefekt mawiał w szkole... Nie mogłem wy-  
trzymać... przybiegłem na radę.

— Daremna rzecz... ja, ja... choć poprobować  
muszę... nim nam ją zabiorą. Słuchaj mnie.  
Cóż to—ubogiemu się niewolno swatać do ma-

jętniejszej? Odmówią, wyśmieją — mniejsza o to—wszystko to lepsze, niż się z tem brzemieniem nosić...

Wackowi, słuchającemu, piersi się też podnosiły.

— Nie gadaj no! —przerwał—i mnie się tego samego zapragnie, jak Bóg Bogiem!.. Masz słuszość. Dadzą odprawę, korona nie spadnie z głowy... pójdę w świat...

— A no,—powtarzał zamyślony, —co ma być, niech się sobie stanie...

Wicek spojrzał nań z wyrzutem.

— Więc oba będziemy szczęścia próbowali? zapytał.

— Czemuż nie!

— Któryż wprzód?—podchwycił młodszy.

— Słuchaj Wicek,—zawołał drugi,—kiedy ci to na myśl przyszło, że rychlej wskóra, kto pierwszy przyjdzie—to ty jej nie znasz... albo to jej pilno? albo taka jak ona da się słówkami ująć? Ale—ale...

— Prawda to zatem, — porywczo zaczął młodszy,—zatem po starszeństwie... na waści kolej, ja odstępuję... ale spiesz się, daję ci dzień, dwa, do niedzieli, jeśli chcesz... W niedzielę przyjadę do Zalesia, i — na pieniek głowę. Stań się wola Boża...

— A pamiętaj,—dodał,—że rezolucya ta nie z czyjej wyszła głowy tylko z mojej.

— Myślisz, żem ja tak samo nie chciał uczy-

nić?—odparł Wacek,—Bóg mi świadek—wahałem się tylko—wahałem, a tyś mi swoją rezolucją podbił bębenka... Kiedy ginąć to ginąć... A no potem, gdy mi rekuzę da, starostę pożegnam,—nie chcę tu być...

Popatrzał na Wacka, który stał o płot oparty.—A ty?

— Albo ja wiem, co zrobię? mnie trudniej,—odezwał się młodszy. Dzierżawy tak pośród roku porzucić nie podobna, ja się domęczone do czasu, a no w Zalesiu nogą nie postanę!—dodał gwałtownie... My tam tę truciznę pijemy, od której szalejem. Patrzym się jej w oczy i duru dostajemy od nich... Komu się w głowie kręci, ten nie wie, że łązić nie powinien... Tak—nie postanie tam noga moja— a, jak umrę z tęsknicy za nią, no—to co? chyba po mnie stary stryj i stara Magdalena zapłaczą. A może głupi Bartoch... Świat się bezemnie obejdzie!

Oba jakoś w desperackiem byli usposobieniu.

— Słuchajże,—dodał, konia swojego dosiadając Wicek—masz do niedzieli czas. Ruszaj przodem, i szczęść ci Boże...

— W szczęście nie wierzę,—poważniej i spokojniej rzekł Wacek,—ale masz słusność, człowiek wiedzieć powinien, jak stoi... Tak lepiej... Po co się okłamywać...

I rozstali się, ręce sobie podawszy...

---



Była sobota—mrok padał, starościna siedziała na poufnej cichej rozmowie z sędzią, który pochylony ku niej, coś jej półgłosem, dobitnie bardzo opowiadał, takt ręką wybijając na kolanie.

Kiedy niekiedy słychać było głos podniesiony mimowolnie i natychmiast przechodzący w szept poufny. Widocznie przedmiot to był ważny nader, jeśli nie dla pani starościny, która opowiadania słuchała z pewnym rodzajem rezygnacyi obojętnej, to dla sędziego animującego się bardzo.

Panna Konstancya, jakby dla nieprzeszkadzania rozmowie usunęła się była ku trzeciemu oknu i przez nie na dziedziniec spoglądała. Okno było otwarte, z podwórza załatywała woń bzów rozkwitłych i czeremchy. Słownik nie daleko nucił swą wieczorną piosenkę. Cicho było, a tak rozkosznie smutno, jak bywa na wiosnę. Natura nawet gdy w rozkwicie, gdy najweselszą jest, gdy się śmieje—ma łzy na powiekach, ma niewypowiedzianą na zielonych szatach tęsknicę. Życie się podtrzymuje śmiercią... i ból graniczy ciągle z rozkoszą... Czy słuchała panna Konstancya słowika, czy się napawała powietrzem, czy myślała może, jak jej przykro będzie to miejsce, od dzieciństwa ukochane, porzucić, łza zdawała się wzbierać pod powieką, oczy jej patrzyły, nie widząc, myśli gdzieś były daleko.

Z obawą i nieśmiałością, po cichu, jakby walcząc z sobą, zbliżał się ku niej Wacek. Szedł i siły mu się zdało braknąć—i stawał, rumienił się, bladł, aż wreszcie zdobywszy się na odwagę, przystąpił.

Panna Konstancya zwróciła powoli ku niemu główkę, jakby się go spodziewała, nie okazując zdziwienia.

Przystąpił blisko, popatrzał i szepnął cicho:

— Czyż pannie Konstancyi nie smutno będzie nas opuszczać?

— A! bardzo — bardzo, — rzekła cicho, — myślałam o tem właśnie. Stryj jest dobry dla mnie, nie wątpię o stryjence — ale kto mi serce mojej anielskiej starościny zastąpi!

— Nie stracisz go pani!

— Daj Boże! to wiem, że moje przy niej zostanie. Było mi tu jak w raju, ale człowiek do niego stworzony nic jest. I westchnęła.

— Pani trochę żal będzie Zalesia, — mówił Wacek, — ale nam tu wszystkim po niej choć z tęsknicy umierać...

Poczekał troszkę, oczy miała spuszczone, i nic nie odpowiedziała.

— Czyż pani nie czuła, nie widziała, — ciągnął po chwili, — jak ją tu kochano?

Rumieniła się twarz panny Konstancyi, spojrzała trwożliwie ku starościnie, jakby pragnęła być odwołaną, ale sędzia i ona zajęci byli tak mocno rozmową!

— Panno Konstancyo dobrodziejko, — dodał, — mnie odjazd pani, jak nożem w serce — zabije... Ja — ja! o — mój Boże, choć niegodnym się jej czuję — ja... pani się domysli... Dla mnie bez niej szczęścia nie ma na świecie.

Mówił jakając się, przerywając, łykając wyrazy, a panna słuchała, oczu nie podnosząc, tylko widać było w niej poruszenie, które hamować usiłowała. Ręce jej drżały...

Skończył — nie mogąc długo doczekać się odpowiedzi, szepnął:

— Przebacz mi pani, jeżeli ją obraził.

Wtem powieki jej się podniosły, oczy miała mokre, — chciała mówić i wahała się...

— Ja, — od siebie nie zależę, — rzekła.

— A gdybyś pani od siebie zależała, niechże wiem wyrok mój! — zapytał Paczura.

— Gdybym zależała od siebie — poczęła głosem drżącym, — nigdybym nie mogła ręki oddać nikomu, choćbym serce nawet oddała, taka jest dola moja... Nie mogę powiedzieć, dla czego... Panbyś nie zrozumiał. Jeśli mi wolę zostawię — ja za mąż nie pójdę...

Wacek spoglądał na nią, chcąc odgadnąć przyczynę, — nie dała mu przeglądać się w swych oczach... i dodała żywo:

— Ja panu sprzyjam — mam dla niego przyjaciół prawdziwą, zachowam mu ją całe życie — wierz mi — ale żadnej nie dam mu nadziei — bo nie mogę, bo mi się nie godzi...

Podawała mu rękę, spojrzała bystro i odeszła. Wacek pozostał jak wkopany w ziemię.

Co to znaczyć miało? Oświadczała mu przyjaźń, którą przez całe życie zachować obiecywała—a nadziei nie czyniła? Dla czego za mąż wcale iść nie chciała?—Wacek nie mógł z tego zrozumieć nic, wiedział tylko, że dostał osłodzoną odprawę, i że nic się już nie miał spodziewać...

Różne myśli błąkały mu się po głowie skołataney, stał nie wiedząc, co poczynić. Dopiero głośniejsze coraz opowiadanie sędziego z tego snu go rozbudziło, obejrzał się, panny Konstancyi nie było w pokoju — wyszedł i on, a raczej wywłókł się do ganku i upadł na ławę.

Tu powtórzył sobie, co słyszał. Znał nadto dobrze pannę Konstancję, aby mógł na chwilę powątpiewać o tem, że mówiła stanowczo i że słowo jej się zmienić nie mogło. Sam wywołał je, — skończone było wszystko... Miał ze tu pozostać? Zdało mu się to niepodobieństwem... Trzeba było Zalesie opuścić, i w świat ruszać. Chciał tylko wprzód wypowiadać się stryjowi ze wszystkiego, wytłómaczyć mu przyczynę—a potem—zaciągnąć się do wojska. Tym sposobem straciłby z oczu miejsca, pozbył wspomnień i możeby mógł, zapomniawszy przeszłości — odżyć kiedyś na nowo...

Jeszcze z temi gorzkiemi myślami wzdycha-

jąc walczył, coraz mocniej utwierdzając się w zamiarze zaciągnięcia do cudzoziemskiego choćby autoramentu, bo do kawaleryi przystęp był ubogim niemożliwy, gdy sędzia, się nagałdawszy ze starością, zjawił w ganku, i postrzegłszy Wacka, wesoło przysiadł do niego, klepiąc go po kolanie.

— Co tu asindziej tak medytujesz, *solo basso!* he? Ponure myśli! he?

— Zachciał pan—jest zawsze myśleć o czym.

— A pewnie—rzekł sędzia, —tylko młody powinien zawsze wesoło na świat patrzeć, Wszystko przed nim! He? — spytał.

Wacek zmilczał.

— Ja do waćpana mam interesik,—dodał sędzia, przysuwając się bliżej do niego.—Dawno się już z nim zbieram.

Obejrzał się do koła—sami byli.

— Winienem panu wielkie szczęście, kochany panie Paczura,—*Volens* czy *nolens*, oddałeś mi przysługę, za którą całem życiem wdzięczen będę—nie mniej, Bóg widzi, chciałbym moją *gratitudinem* okazać ci jawnie...

Wacek rękami strzepnął.

— Ależ posłuchajże,—dodał sędzia. Krzywdy ci nie wyrządzą tem, co powiem. Asindziej mi się podobasz... Sytuację jego wiem, że nie masz nic... że ci Bóg nie dał—temu winien nie jesteś. Starosta go szacuje, kocha staroscina. Hm! Rozumiesz asindziej.

Tu mu się do ucha pochylił...

— Jeżeli pannę sobie zyszczesz—ale to warunek—*sine qua non*, jeżeli Kostusia zechce pójść za waszeci, masz moją rękę...

Wacek, pochwyciwszy ją z wielkim zapalem, pocałował...

— Tylko—warunek—*sine qua non*, aby ona tego sobie życzyła, bo my jej żadnego gwałtu zadawać nie chcemy... A com rzekł—*inter nos*.. Przyjedź nas potem odwiedzić... pozostań, zabaw, staraj się... Jeśli wola Boża będzie...

Po pierwszym strapieniu doznaniem, jakby snem zdało się to i marzeniem Wackowi—nie posiadał się z radości. Przed chwilą zrozpaczony, powiedział sobie, że nadziei tracić nie powinien.

— A! panie sędzio dobrodzieju!—zawolał,—nad zasługi mnie uszczęśliwiasz. . dobroczyńcą moim jesteś. Mamże się taić? od dzieciństwa kocham się w panu, życia dla mnie bez niej niema.

— A ona?—spytał sędzia.

— Nie wiem,—począł zmieszany Paczura, nie chcąc się przyznać do odmowy,—nie wiem.. Ani śmiem się spodziewać. Jednak pod protekcyą pańską, przy łasce jego—któż to wie, dostąpię może szczęśliwości tej. . Kochałem ją sierotą...

— Jam bo się tego domyslał zaraz,—roześmiał się sędzia, który to brał wesoło,—do-

myślałem się z wejrzeń na nią ciskanych... Młodzi się zawsze zdradzają. Bądź asindziej dobrej myśli... panna skromna, nie łatwo się jej wydać z affektem... Możesz się starać... a to rzecz twoja, żebyś się wystarał. I—jakoś to będzie!—roześmiał się, klepiąc go po ramieniu,—mnie się coś zdaje, że to pójdzie po myśli.

Zawołano na wieczerzę, poszli, a Wacek jak pijany siadł w końcu stoła... Miejsce panny Konstancyi nie było zajęte, starościna oświadczyła, że ją trochę głowa boli i że do stołu przyjść nie miała... Zeszła wieczerza cała na opowiadaniu procesu o nabycie dóbr, dwaj prawnicy niezmiernie się rozgorączkowali, spierając się o jakąś formalność i znaczenie prawne intromissyi... ale Wacek z tego i słowa nie słyszał...

Nazajutrz rano, ledwie z łóżka wstał, gdy Wicek się zjawił. Stanąwszy w progu spojrział mu w oczy badająco, czytać z nich chciał wyrok swój.

Brat podszedł ku niemu na pół wesoly, pół smutny...

— Nie gadaj mi długo,—zawołał młodszy, widząc, że się Wacek zbiera na opowiadanie szerokie,—tak, czy nie.

— Ależ posłuchaj! ani tak, ani nie!

— Nie mówiłeś z nią?

— Owszem—miej cierpliwość?

— Niech cię—z twoją cierpliwością, ja jej nigdy nie miałem!—wołał Wicek.

Musiał jednak zebrać się na nią, bo brat mu uczciwie i szczerze począł swą rozmowę z panną Konstancją powtarzać.

— Tak mi Boże dopomóż—rzekł,—słowo w słowo ci mówię, jak mi odpowiedziała!

Wicek się zerwał.

— A! no—wola Boża, mogę ja poprobować! krzyknął.

— Teraz słuchaj dalej, — począł Wacek, i spotkanie swe z sędzią, rozmowę z nim znowu dosłownie prawie mu powtórzył.

Zbladł słuchając Wicek.

— Szczęśliwyś,—rzekł,—co mam mówić na to!.. Czyż mnie to ma zagradzać drogę? nie wolnoż mi się odczuwać do niej? szczęścia probować? mów...

Wacek się namarszczył—widać było, że mu to nie szło w smak.

— Ja ci zabronić nie mogę,—rzekł sucho.—Cóż mnie do tego? Nie mam prawa drogi ci zapierać...

— A jaż ci twojej nie zagradzam!—zawołał młodszy.

— Przepraszam, — odezwał się z goryczą Wacek,—juścić! Nie chce mnie ona dziś—toć się rozmyślić może, gdy mi wolno będzie zbliżyć się do niej i gdy mi ludzie, zamiast prze-



szkadzać, jak dotąd staroscina, pomagać ze-  
chęć.

— Możesz ją teraz podchwycić, korzystając  
z momentu... albo ja wiem... A no — rób co  
chcesz!

Przeehadzał się żywo po izbie—Wicek się  
zadumał i czoło w rękach ukrył.. Widząc go  
tak zafrapowanym, Wackowi przykro się zro-  
biło.

— Ja ci drogi nie tamuję!—powtórzył,—  
rób co chcesz...

Nie odpowiedziawszy nic Wicek, wstał ze  
stołka, zawrócił się, i wyszedł z izby... Sam  
nie wiedział, co pocnie. W kapliczce ogrodo-  
wej dzwoniono pierwszy raz na Mszę świętą.  
Czasu było dosyć na nabożeństwo, ale nie ma-  
jąc co czynić z sobą, ku niej się skierował  
Wicek.

Ludzie dworscy i niektórzy ze wsi nawet,  
poczynali się przede drzwiami gromadzić. Ks.  
Serafin szedł powoli do zakrystyi. Unikając  
rozmowy i spotkania, Wicek wszedł nieco  
w głąb ogrodu, zamierzając za drugim dzwon-  
kiem pójść do kaplicy. Ledwie kilka kroków  
uszedł, gdy przed sobą zobaczył nagle z książ-  
ką od nabożeństwa w rękach pannę Konstan-  
cye. Przestraszył się razem i uradował, zda-  
wało mu się, że samo przeznaczenie stawilo ją  
na jego drodze,—aby los się rozstrzygnął. Był  
jak w gorączce...

Ona go witała, badając ciekawie oczyma...

— Dzień dobry!

— Panno Konstancyo dobrodziejko, — począł żywo Wicek, oglądając się do koła, czy ich kto nie słucha, przysunął się ku niej tak, że się o krok cofnęła, — panno Konstancyo dobrodziejko, dla mnie to dzień albo będzie w życiu najlepszy, albo najnieszczęśliwszy... Pani...

Panna trwożliwie się obejrzała.

— Co panu jest?

— Co mi jest? oszalałem po prostu! — rzekł Wicek. Panią nam zabierają, — czyż pani nie wiesz tego i nie widzisz, że ja się kocham śmiertelnie... że ja...

Złożył ręce na piersiach...

— Zabij mnie jednym słowem! — dodał. — Chwyciłem chwilę przyjazną... postępuję sobie jak waryat... Wiem to... ale w istocie szalonym się stałem przez tę miłość...

Zarumieniona, niespokojna, panna Konstancya zdawała się chcieć uciekać. Po namyśle podniosła oczy ku niemu.

— Widziałeś się pan z bratem? — spytała.

— Dla czego to pytanie?...

— Zapytaj go, proszę, com mu wczoraj odpowiedziała, — mówiła Konstancya głosem smutnym, — zapytaj go... i te same słowa, nie wyjmując żadnego, weź dla siebie. Sprzyjam panu... mam przyjaźń dla niego, zachowam mu ją

wiernie, ale nadziei nie czynię—nie mogę...

To mówiąc, gdy Wicek chciał odpowiadać jeszcze, przesunęła się drożyną i pośpiesznym krokiem udała się ku kaplicy. Gonić było niepodobna.

— A więc obu nam jedna odpowiedź—rzekł w duchu,—obu jedna odprawa... Ha, no! z tą różnicą tylko, że on na to nie zważa, i może się starać a zalecać,—a mnie zamknięta droga na wieki...

Powlókł się do ławki poblizkiej i siadł na niej. Zdalo mu się, że się znalazł nadto obcesowo—że... sam może był winien... że pannę nastraszył takim wybuchem... powiedział sobie, że ją przecie jeszcze dnia tego spotkać może i odnowić rozmowę...

Drugi i trzeci raz zasygnowano do kaplicy, a Wicek nic słyszał, dopiero chłopak, który go tam siedzącego zobaczył, oznajmił mu, że czas na mszę i napędził.. Wszedł biedny, stanął u drzwi i modlić się nawet nie mogąc, prze-trwał oparty o ścianę, aż do końca...

Przed nim klęczała starościna, panna Konstancya, kilka sierot i sędzia, który z rozłożonemi rękami, na pół głośno z namaszczeniem odmawiał po łacinie modlitwy. Wacek stał także z boku, z twarzą smutną, nicustannie oczyma rzucając na brata, którego czerwoność i niepokój zdradzały poruszenie wewnętrzne. We drzwiach się wychodząc spotkali, lecz nie

przemówili do siebie. Dnia tego gości było kilku, towarzystwo liczniejsze, i mimo zabiegów, Wickowi do panny bardzo się trudno zbliżyć było, co go do największej doprowadzało niecierpliwości.

Usiłując badać pannę Konstancję, Wicek z niej nic poznać nie mógł; miała, jak zwykle, twarzyczkę poważną, wyraz zamysłony, oblicze spokojne. Ani go unikała, ani mu okazywała gniewu, którego się obawiał. Ku wieczorowi dopiero, gdy Wacka odwołał starosta dla jakiejś skryptury, udało się mu przysunąć do panny Konstancyi.

— Pani się na mnie nie gniewasz?

— Za cóż? nie wiem!

— A! dziś rano—nie byłem przy zmysłach! zawołał. Wprawdzie i wieczorem toż samo czuję, to samobym chciał powiedzieć—ale na kolanach, błagając o miłosierdzie...

— A ja, rano i w wieczór jedną mam tylko odpowiedź—odezwała się panna, — wierz mi pan.. Życzę mu jak najlepiej.

— A zabijasz mnie pani...

— Panie Wincenty!—z wyrzutem odezwała się panna...

— Więc to nieodwołalny wyrok, dla nas obu?

Z lekka zarumieniło się lice panny Konstancyi.

— Nie może być inaczej—rzekła cicho.

— Nawet... gdyby mój brat miał zręczność, pozwolenie, czas... starania się o zmianę?—zapytał Wicek...

Pytanie to zdawało się niepokoić ją—podniosła oczy.

— Zkądże pan wnosisz, że to być może?—zapytała.

— Mam powody do tego... A! zazdroszczę mu. Zdaje mi się, że go nienawidzić zacznę, że choć bratu... wrogiem się stanę...

Gdy to mówił, przestraszona panna ujęła go za rękę.

— Na miłość Boga, — szepnęła, — ani pan mów, ani myśl podobnie! Czynisz mnie przez to boleść największą...

I przerwawszy chwilę—dodała żywo:

— Daję panu słowo... tak—najuroczystsze... to się zmienić nie może... ale pan mi dać musisz słowo, że ku bratu gniewu, zazdrości, mieć nie będziesz... Daj mi pan słowo... ja proszę, ja się tego domagam... Słowo!?

Stłumionym głosem, Wicek jęk raczej wydał niż słowo, i odszedł.

Panna pośpieszyła do starościny.

Tak się ten dzień skończył. Wicek nic mówiąc z bratem, chciał odjechać do domu. Zdała spostrzegł, że powracającemu od starosty panna Konstancya kilka słów rzuciła przechodząc, i Wacek dopędził go na ganku.

— Czekaj,—rzekł,—potrzebuję mówić z tobą, proszę cię...

Zeszli oba razem w dziedziniec. Widac było, że starszy pełen był żalu i rozdrażniony.

— Cożes to splótł przed panną Konstancją? zawołał, zbliżając się,—jakiem prawem nogłes jej o tem mówić, co się mnie tyczyło, a do ciebie nie należało?

Powiedział to głosem drżącym i gniewnym.

— Chciałeś mnie tem sparalizować! pannę uprzedzić, żeby się miała na baczności... Taki to z ciebie brat!

Wicek słuchał, gryząc wargi.

— Tak jest,—wygadałem się—potwierdził.

— Więc kwita z przyjaźni,—dokończył Wacek, obracając się do niego tyłem.—Bywaj zdrów.

Ani słowa nie odpowiedziawszy, Wicek poszedł do stajni, zaprzęgać kazał i wyjechał.

Wacek stał długo wzburzony cały, i nie rychło mógł wrócić do dworu, gdzie nań starosta czekał.

Tak znowu przyjaźń braterska rozbiła się o tę dziwną miłość obu—bez nadziei. Wacek już o wojsku nie myślał, bądź co bądź, choć mu panna Konstancya powiedziała wręcz, że staraniem jej postanowienia nie złamie, postanowił być cierpliwym.

Na pozór spokojniejszego charakteru i ła-

godniejszego usposobienia, w istocie był gwałtowniejszym od brata, a przynajmniej mocniej stał przy swoim. Zapamiętał kochając, zapominał się do tego stopnia, iż ufając w poparcie sędziego, mówił sobie: — Nie zechce mnie, nie pójdzie za nikogo, ktokolwiek się ośmieli posunąć do niej, wyzwę na rękę i obetnę. A zabije on mnie,—co mi tam!! o życie nie stoję!

Jeszcze dni parę, wstrzymywany ciągle, zabawił sędzia, wreszcie pożegnał starostwo oboje, czule się polecił synowicy i obiecując przyjazd swój z żoną zabrał się do odjazdu. Wacek nadskakiwał mu, jak mógł, służył i widocznem było, że o łaski jego zabiegał—uderzało to wszystkich, widziała to i panna Konstancya. Nie tylko w Zalesiu tak tańczył około niego, ale wyjeżdżającego przeprowadził do Borusławic, do stryja, zapraszając go, aby na probostwo wstąpił.

I księdza na chwilę na stronę wzięwszy, wszystko mu wyznał Wacek, nie nie mówiąc o bracie, wyśpiewał i to, iż mu sędzia protekcyę swą przyrzekł. Ksiądz Paczura, rozrzewniony, uściskawszy synowca, sędziego już nie wiedział jak przyjmować i gdzie sadzić. Ręce przed nim składając, choć nie mówił za co i dla czego, oświadczał się z wdzięcznością, powtarzając ciągle, iż w modlitwach swych wspominać ich będzie codziennie.

Przy zręczności też rozwiódł się z pochwałami synowców, a szczególnie starszego, opowiadając o jego najlepszym sercu, statku i wszelkich przymiotach. Sędzia też potakiwał. Podano butelkę, zjawił się jakoś do niej Hołłowicz, który zabawiać umiał, czas przeszedł wesoło, a Wacek jeszcze na konia siadłszy, sędziego z pół mili dalej przeprowadził.

Tymczasem Wicek, wróciwszy do domu zgryziony, rozmyślał, co z sobą ma czynić? Dumy w nim było przynajmniej tyle, co miłości.

— Nie chce mnie ona? nie będę jej lał w oczy—nie zobaczy mnie więcej. Skwitował brat z przyjaźni, niechże będzie z nami kwita... Nie potrzebuję do Zalesia jeździć, ani się im na oczy nastreć...

Raz tę myśl powziąwszy, Wicek nazajutrz zajadłe się znowu wziął do gospodarstwa. Następnej niedzieli nie było go w Zalesiu, nie przyjechał i na drugą. Zamiast do kaplicy, ruszył do stryja. Ks. Paczura obu ich zarówno kochał, a zdawało mu się zawsze, że tego, którego nie widział, miłował więcej. Już był stęskniony do Wicka. Zobaczywszy go, począł gderać.

— Kochany stryju, w domu roboty przez wierzch głowy... a czego nie dopatrzę sam... to przepada.

— Ależ niedziela, dzień Pański.



— To prawda, a świnie i w ten dzień w szkodę chodzą,—rzekł Wicek, śmiejąc się.

Tu stryj począł mu, myśląc, że może nie wie o niczem, opowiadać o szczęściu Wacka, i o tem, jakie mu obietnice czynił sędzia.

— O tem ja wiem —odparł Wicek,—ale z tego nic nie będzie.

— Jakto? a to dla czego?—podchwycił proboszcz zdumiony.

— Dla tego, że panna mu wręcz oświadczyła, że go nie chce,—rzekł Wicek.

— A ty to zkąd wiesz?—zawołał ks. Paczura zdumiony.

— Z ust samego Wacka,—mówił młodszy. Pochlebia on sobie, że pannę nakłoni...—ale..

Posmutniał proboszcz.—Dla czegoż on mnie o tem nie mówił nic?

— Tego nie wiem, — krótko urywając, dokończył Wicek.

Uderzyło to księdza, iż brat o bracie jakoś się wyrażał kwaśno; przykro mu się zrobiło i pomyślał, że nazajutrz też starszego weźmie na konfessatę.

Cały dzień Wicek zabawił, ale on, co zwykle wesołym bywał, teraz chodził jak struty, odzywał się mało, wzdychał, i w końcu proboszcz, pogłaskawszy go po głowie, zapytał:

— Co tobie jest, ty mój zabiegliwy włodarzu? czy szkodę masz w gospodarstwie? czyś

chory? mów. Może ci potrzeba czego? tobyśmy ci pomogli...

Wicek go w ramię pocałował.

— Ale nie mi nie jest,—rzekł ze śmiechem wymuszonym... ot, zwyczajnie, planetami na mnie humory przychodzą, co tam zważać na to! Chciałbym się z tej okolicy wynieść, powiem szczerze.

Ks. Paczura się przeżegnał.

— A toż co?—spytał. Chcesz biedy szukać. Nadto ci tu spokojnie i dobrze? A gdzież znajdziesz drugiego starostę i drugą taką dzierżawę, gdzie cię o tenutę nie pytają? Oszalałeś czy co..?

— A! wszystko to dobre,—rzekł Wicek, kręcąc się,—to prawda—ale co na takim gospodarstwie zrobić można? Maciek zrobił, Maciek zjadł... Wolałbym gdzie u starosty w oddalonych dobrach rządcą być.

— Tak, i przez tę chciwość dla grosza—mnie i okolicę, gdzieś wzrósł, porzucić—wstydzilibyś się. Porzuć te grzeszne myśli i panu Bogu dziękując za to, co jest—siedź na miejscu. Wiesz przysłowie o kamieniu... ludzie, co się bardzo kręcą, rzadko się czego dobrego dobiją.

Wicek się już nie sprzeczał więcej, i odjechał wieczorem, ale w myśli mu to tkwiło, ażeby się z okolicy wynieść.—Chciał o tem mówić ze starostą, szło mu tylko o to, ażeby się w Za-

lesiu z panną Konstancyą, ani z bratem nie spotkać. Czekał sposobności.

Tymczasem pannę Konstancyę musiało to uderzyć, że już Wicka więcej nie widziała, i że wyraźnie od Zalesia unikał. Posyłał po niego Sniehota dowiadywać się, złożył się robotą w polu i niedobrem zdrowiem. Nie pojechał.

Wreszcie raz panna, która grzeczną zawsze będąc dla Wacka, unikała z nim rozmowy sam na sam, raz się do niego zbliżyła z pytaniem.

— Cóż to jest panu Wincentemu, że się ani pokaże?

— A, ja nie wiem,— odparł Wacek.

— Przecieżbys pan o bracie wiedzieć powinien. Nie widziałeś go pan?

— Nie widziałem.

— Ale to się nie godzi! Czyż nie jesteście z sobą jak dawniej?

— Od czasu, jak mnie zdradził, znać go nie chcę,—rzekł Wacek.

Panna Konstancya zarumieniła się zniecierpliwiona.

— Jeżeli ja mam być między braćmi powodem do niezgody,—odezwiała się,—słowo panu daję—że do niego nie przemówię, nie spojrzę nawet ..

— Cóż panią tak Wicek obchodzi!—począł starszy.

— Tyle co i pan,—rzekła spokojnie panna

Bracia rywale.

Konstaneya. Zrobiłabym to dla waćpana z nim, co robię dla niego z wami. Jeżeli się panowie nie pogodzicie, nie będziecie po dawnemu.. jak mnie pan żywą widzisz, ani spojrzę, ani przemówię.

Tych słów dokończywszy, na odpowiedź już nie czekając, odeszła żywo, — a Wacek mocno wzburzony pozostał w miejscu. Z rana sobie powiedział:—Cóż? ja go jeszcze będę przepraszał—a! niedoczekanie...

Trwało to postanowienie dwa dni, a gdy w przeciągu ich panna w istocie ani spojrzała, ani odpowiedziała na przywitanie, ani nawet widzieć się go nie zdawała, chwyciło go to za serce.

— Nie bądź pani tak okrutną,—rzekł po cichu, trzeciego dnia,—choć mnie to Bóg wie co kosztować będzie, pojedę jutro do brata, i będzie zgoda...

Panna Konstancya obejrzała się nań z uśmiechem łagodnym, kiwnęła mu główką, potakując, i odeszła.

Drugiego dnia rano Wacek na konia siadł i do brata jechał. W domu go nie zastał—bo teraz zajadłe owe gospodarstwo prowadząc, od rana do noey siedział sam przy robotnikach, i obiad sobie jak dla parobka, w dwojaczkach nosić kazał na pole.

Koszono właśnie błotne łąki, i Wicek na grobli siedząc, przypatrywał się roboocie, gdy

zobaczył klusem nadbiegającego brata. Popatrzał nań, ale sądząc, że przejeżdża tylko tamtędy, zaraz głowę odwrócił i nie patrzył nań nawet.

Usłyszawszy, że Wacek po za nim staje—też nie drgnął.

— Sluchaj Wicek,—odezwał się, zsiadając z konia starszy, — przyjechałem do ciebie umyślnie.—Skrzywdziłem cię, boim miał żal, aleś i ty mnie za skórę zalał,—jeślim winien, przepraszam... Nie chcę wasni braterskiej—daruj mi, uściśnijmy się i niech to będzie zapomniane na wicki.

Wicek i tak już samotnością i smutkiem był roztkliwiony, posłyszawszy te dobre słowa, głosem serdecznym wymówione, zerwał się i skoczył bratu na szyję..

— Wacku,— to ja cię proszę o przebaczenie! Jam winien! Daruj ty mnie! Dwoje nas jest, jednej matki dzieci na świecie... niech nas lada waśń nie rozdziela... Daruj...

Ściskając się, obaj łzy w oczach mieli, Wicekowi serce biło mocno.

— Więcej ci powiem Wacku kochany,— rzekł,—ja ci z drogi ustąpię, namysliłem się—nie mam tu co robić. Panna obu nas nie chce, a mnie to już najpewniej; co mam siedzieć i truć się? w świat pójdę! Mam do starosty zaufanie, kocham go jak ojca, powiem mu wszystko i poproszę, by mnie puścił. Gdy

z oczu wam zejść, tobie będzie lżej... a może i ja zapomnę!

Chciał Wacek mu perswadować i powstrzymywać, ale ten się opierał...

Siedząc na grobli, gadali z sobą do wieczora, rozstali się po bratersku, serdecznie, i Wacek spokojny, z lekkim sumieniem do Zalesia odjechał.

Wicek przy swoim stojąc, dobrał sobie godzinę dla widzenia się ze starostą, i pod wieczór, gdy on zwykle w swojej kancelaryi nad papierami siadywał, poszedł do niego... Że już mrok padać zaczynał, nie zniecierpliwiał się stary, iż mu robotę przzerwano, okulary ściągnął i witającego zagadnął:

— A toż co cię za chandra napadła, żeś przez kilka tygodni ani nosa nie pokazał? Malkontent, czy co, u kaduka...

Skłonił mu się Wicek do kolan.

— Malkontentem bym się nazwać nie mógł, rzekł,—chyba niewdzięcznikiem. Niech mnie pan starosta ojeowskiem sercem wysłucha...

— Praw... no—co tam...

— Młodość—ojcze mój a dobrodzieju—począł Wicek. Niechaj to, do czego się przyznam jak przed ojcem, zostanie przy panu moim...

— Sekret! no—proszę!—rozśmiał się stary... Praw a na półnisku szeroko nie rozkładaj.

— O to mi się zakochał bez nadziei, panie sta-

rosto dobrodzieju, — wprost wyznam, w pannie Rewnowskiej. Ona mnie nie może chcieć, a ja tu patrząc na nią, coraz mocniej szaleję. Dlatego przybyłem prosić łaski pańskiej, niech mnie pan gdzie do dalekich dóbr wyszle... abym tu nie był.

Starosta zdumionemi popatrzał oczyma.

— Rozum nad lata! jak Bóg miły, — zawołał. To się wasci chwali... Jeszcze mi się nie trafiło spotkać takiej miłości, co od obiektu swojego ze strachu ucieka. Ale — masz asindziej racyę. Panna Rewnowska za ciebie nie pójdzie... a ty głowę darmo będziesz tracił...

Pomyślał chwilę.

— Coż ty chcesz z sobą robić?

— W świat uciekać!

— Hm, — mruknął stary Sniehota, — mam ja koło Horodła za Bugiem wioskę... a tam mnie wszetecznie kradną, choć pszenicę rodzi, jak złoto... Puszczę ci ją dzierżawą, bo rządca ci się być nie zechce.

— Dla czego nie? — odparł Wicek.

— Nie wypada, spadłbys z dzierżawcy na gubernatora — jakbym cię zdegradował. Ułożymy się... jakoś to będzie.

Wicek go pocałował w rękę.

— Ale to bo i dziewczyna niepoczciwa, — rozśmiał się starosta — głowy pozawracała wszystkim. Albom się omylił, lub i Wacek za nią szaleje, znam jeszcze kilku takich. Cho-

dzi to skromne jak trusia, a kędy popatrzy, pożary wznieca! Dziewczyna bo jak łania, rozumek nie dla proporcji... i statek wielki. Każdyby chciał nad tem odnieść tryumf, a panna jak skała!

I śmiał się dobrodusznie starosta...

— Ale mnie pan nie zdradzi! nawet przed panią starościną!—dodał, do kolan chyląc się chłopak...

— Bądź spokojny,—śmiejąc się rzekł stary. jak w Wirgiliuszu stoi... sam *expertus, miseris succurrere disco*... Sza! umalujemy te przenosiny. Niech się panna nie domysła, boby jej to do nosa poszło, że aż kawalerów rozpędza!! Fiu—fiu!!

Chciał starosta zaprosić na wieczerzę Wiecka, ale ten się wymówił, i zaraz z nikim się już nie widząc, oprócz brata, odjechał do domu.

Pomimo danego słowa — starosta *sub rosa*, tegoż wieczoru wygadał się przed jejmością. Pani jednak przed Konstancją nic nie wypowiedziała... A Wieck już się za Bug wynosił.



### III.

Smutny to był dzień zaprawdę dla Zalesia, gdy po tygodniowym pobycie w niem, oboje państwo Rewnowscy, zabierając z sobą synowicę na Podlasie, wyjeżdżać mieli. Dopiero się to uczuć dało, jak jedna twarz, jedna milcząca i skromna panienka, której na pozór widać tu ani słyhać nie było, wiele miejsca w sercach zajmowała,—jak jej oczom wszystkich braknąć miało. Nie mówiąc już o staroście, która po kątach płakała, za każdym spotkaniem ścisła wychowanicę, a uśmiechać się musiała temu, co się jej szczęściem nazywało—nie mówiąc o staroście, który sam przez się i dla żony był markotny—nie mówiąc o nieszczęśliwym Wacku, niewiedzącym, czy się ma smucić, czy cieszyć—cały dwór był w łzach i żalach. Sama pauna Konstancya chodziła blada, z sercem ściśniętem, bojąc się okazać, co cierpiała, aby dobrych państwa Rewnowskich, co ją jak dziecko tulili do siebie, nie zasmucać.

Na ten dzień uroczysty rozstania zjechał ze mszą świętą do kaplicy ks. Paczura. W dzieńdźniucu stały już powóz i bryka wyładowane, ludzie się koło nich kręcili, a we dworze snuły się smutne twarze, nie chcąc wierzyć, żeby panna Konstancya na zawsze straconą być miała.

Obiecywali też Rewnowscy przyjeżdżać z nią często... Proboszcz pocieszał, jak umiał, starościnę.

— Moja mościa dobrodziejko, choćby i z własnem dziecięciem rozstawać się trzeba... Taka kolej ludzkich losów.

— Wiem, że jej tam dobrze będzie, bo to ludziska i serca złote... ale — zawsze... zawsze...

Wzdychano tak i stękanono... Zaczęła się msza w kaplicy na intencję podróżnych. Wacek do niej służył. W czasie mszy kilka razy słyhać było, jak staroscina i panna Konstancya zaszła się od płaczu. Trzymała chustkę na oczach, utulić się nie mogła. Stara Ościńska, którą łązy cudze zawsze też rozrzewniały, i sama żalując Koci, beczała głośno.

Pobłogosławił proboszcz odjeżdżających... Czekalo na nich jeszcze śniadanie.

Starosta, który już mógł chodzić, acz nogę jedną miał w aksamitnym bucie, udawał niezmiernie wesołego, aby nie dać się żonie i drugim rozrzewnić do zbytku. Podżartowywał z panny, że tak jak Zalesie teraz opuszcza,

wkrótce i stryjowstwa porzuci, bo jej tam długo na koszu siedzieć Podlasiaki nie dadzą.

Wesołość ta nadrabiana, jakoś echem się w nikim nie odzywała. Sędzina tylko Rewnowska, szczebiotliwa zawsze, coś chciała też wesołego mówić, próbowała się usmiechać, pocieszać, a i to nie szło. Sędzia widząc to, za czapkę wziął i pożegnanie się zaczęło. Padła do nóg panna staroście, potem starościnie, która o mało nie zeindlała, przyniesiono lawendogry, pannę Konstancję sam sędzia musiał pocieszając prowadzić, i po wznowionych jeszcze pożegnaniach, siedli wreszcie do powozów—ksiądz przeżegnał z ganku—ruszono...

Długo jeszcze, długo chustkami z ganku i z powozów znaki dawano sobie, aż na zakręcie drogi znikły one...

— Moja jejmościuniu kochana,—rzekł starosta, całując w rękę żonę:—dobrze to, że asindzka masz takie złote serce, ale to dla niej samej męka... Proszę mi nie płakać.

Tego dnia jednak w każdym kącie łez było pełno. Najprzykrzejsze było położenie panny Maryanny Bertańskiej, sieroty, wziętej w miejsce panny Konstancji, która czuła dobrze, iż jej zastąpić nie potrafi. Mieszała się biedna, płakała, biegła i desperowała. Dziewczę było niczego też, roztropne i skromne, ale do tamtej porównać się nie mogło...

Wacek milczący około proboszcza, którego

zatrzymano, assystować musiał; Wicka już od dawna nie było, bo się z łaski starosty na ową dzierżawę za Bug wyniósł, i znaku życia, jakby na umyślnie, nie dawał...

Gdy tu takie lamenta po sierocie,—w drodze sędziowstwu Rewnowskiemu ze swą złośbą nie było lepiej. Panna Konstancya, choć pracuje nad sobą, aby łązy powstrzymać, coraz to się rozbeczy jak dziecię.

Sędzia począł opowiadać wesołe dykteryjki, ale ich nikt nie słuchał.

Wieś państwa Rewnowskich, między Wieszcznicami a Włodawą położona, w której zwykle przemieszkiwali, nie ładnie się nazywała. Z prastarych czasów mianowano ją Muchomorą, może dla tego, że istotnie ogromne lasy otaczające ją, w ten rodzaj grzybów obfitowały. Nazwisko i samej sędzinie i jemu miłem nie było —z dawna myśl miał Rewnowski przeważać Benedyktowem albo Benedyktopolem. Lecz ludzi odzwyczaić od starego miana rzecz nie łatwa. Najlepszym tego dowodem były owe Czolhany na Teofilpol przezwane, których nowe imię dukatami opłacano, a stare bizunem pędzono precz, i pół wieku trzeba było, nim się to dało ugruntować. Muchomorę też zostały Muchomorami tymczasem. Majątek był duży, ziemi do zbytku, sosnowego lasu, ba! i dębiny dosyć, łąk niemało acz niskich, ziemia za to nie bardzo rodziła. W lata mo-

kre podtapiało i prząło, w posuchę znowu gorzało wszystko. Rowy kopano i kopano, a z wodą i jej dystrybucją nie umiano sobie dać rady. Wszelako to, co Bóg na wioskach jego dawał, starczyło obficie sędziemu, na szlachecki żywot w tym kącie spokojnym.

Kupowało się naówczas tylko to, czego już w żaden sposób dom dostarczyć nie mógł, cukier, bakalie, korzenie, wino... Zresztą w domu robiono, czego on potrzebował. Życie było skromne na pozór, dostatnie bardzo. Nie miało ono połysku i świetności, ale oparte było na tęgich podstawach. Sędzia gospodarzem zbyt zabiegliwym nie był, ani opieszałym. Wglądał po trosze we wszystko, a życia sobie posuchą ani ulewą nie psuł.

Dom w Muchomorach niski, z dachem wysokim, niezmiernie był długi, bo wązki. Zbudowano go tak niegdyś i zostawiono, jakim Bóg dał, przystawując kletki, nie troszcząc się o fizyognomię. Komórek też w nim było dużo, jedno o wschód cały niżej, drugie o dwa podniesione. Nie było jednostajności i w innych rzeczach, sufity z belkami, płócienne i podrzucane na trzcinę, świadczyły, że w różnych czasach powstały. W dwóch pokojach były szpalery w okładzinach drewnianych, w innych ściany gliną wyrównane i bielone. Po alkierzach sosnowe dyle, z których się ścia-

ny składały, tylko mech w środek między nie powtykany przybierał.

Tak i ze sprzętami w domu. Dopatrzyć między niemi było można pewnie XVII-go wieku sięgające i nowsze, były piękne i od siekiery ociosane. Na kominkach i szafach obok srebrnych pucharów złocistych, stały gliniane kufle i zielone szkło proste. Ani sędzia ani sędzina tego odziedziczonemu dawnego porządku zmieniać nie widzieli potrzeby. Przybywały czasem rzeczy, innemi obdarowywano przyjaciół, rzadko co kupiono. Nie mając dzieci, państwo Rewnowscy otoczyli się byli z dawna rozmaitego rodzaju rezydentami, których już teraz pozbywać się nie było sposobu—nikt też o tem nie myślał.

Niewymagająca to była ta ludność gracyalistów, ale dosyć liczna. Każdy niby się czemś zajmował, w rzeczy zaś najlepiej jedli i plotki nosili. Więc na pierwszym miejscu stał Rewnowski Hilary, starzec, krewny daleki czy imiennik, zwany dziaduniem. Ten się już ledwie włóczył, i to o kiju, a czasem o dwu, nogi miał jak kłody. W szarej kapocie, dopasany pasem nicianym, koloru nijakiego, w pól przegięty, zgarbiony, łysy, brodę i brwi miał niezmiernie wybujałe, głos gruby, tubalny i wyglądał weale nie ładnie. Był to jednak najlepszy z ludzi, pobożny, eichy, i wdzięczny. Szanowano w nim wiek i niedo-

łę. Żołnierzem niegdyś był i dużo o Leszczyńskim mówić umiał.

Drugim z kolei był Hadziakiewicz, zwany Hałaburdą (ale po cichu); niespokojna dusza, łatwowierny, gorączka, lecz ile razy co zmalował, płakał, do winy się przyznawał, i w godzinę nową burdę wyprawiał.

Sędzia lubiący spokój, dawnoby się go z domu pozbył—ale mawiał naiwnie: „Jak ja go wypchnę, kto go weźmie? pytam... zmarłby gdzie chyba u żyda pod ławą”. Hadziakiewicza sędzia mógł zburzyć i głowę mu zmyć, jak chciał, od niego ścierpiał wszystko. Był to w spokojnych Muchomorach, prawdziwy — *turbator chori*.

Ledwie już wzmiankować warto trzeciego, skromnego i rzadko się ukazującego, niby rezydenta, niby kapelana, księdza Sobrańskiego, który miewał czasem lekkie napady obłąkania, nieszkodliwe nikomu. Dla tego mu mszy świętej odprawiać czasem długo nie było wolno, a gdy sobie to pozwolenie wybłagał, z radości i rozkoszy u ołtarza we łzy się rozpływał. Pobożny był nadzwyczajnie, rozrzewniony zawsze, chodził z rękami prawie ciągle zaciśniętymi jak do modlitwy, i szeptał też nieustannie coś po cichu... Grosza mu nie można było dać, bo pierwszemu ubogiemu oddał go natychmiast; a raz odzież z siebie wszystką tak rozdarował, że przez tydzień ze swej izdebki

nie mógł się ruszyć. Dziwiło go to, iż drudzy się temu dziwowali, znajdował naturalnem wywłaszczenie siebie dla ubogiego. Ksiądz Sobrański nosił pasek i włosiennicę, co piątek wstrzymać go od dyscyplin nie było podobna. Gdy na niego przyszedł ów czas obłąkania, naówczas skarżył się, że go zewsząd otaczały złe duchy i wskazywał je po kątach. Napadały go trwogi, i modlitwą dopiero mógł się uspokoić. Ks. Sobrański pokazywał się rzadko, unikał ludzi... a gdy trochę w domu bywało tłumniej, nie go już z izdebki, której sciany całe były oblepione obrazkami i modlitewkami, wyrwać nie mogło.

Okolo sędziiny bawiła najprzód pani strukczaszyzna z Olgierdowiczów Pomorska; osoba niegdyś bogata, przywiedziona do bezdomnego ubóstwa, które ją jednak z godności i uczucia dostojenstwa wysokiego rodu — nie uleczyło. Sędziowstwo oboje sadzili ją na pierwszym miejscu, honorowano biedaczkę i wybaczano jej słabości różne — starając się, aby nie czuła przykrego położenia.

Strukczaszyzna chodziła zawsze w sukni na robronie (łatanej), niby strojna, wykrygowana, bielila się i różowała, lubiła opowiadać o czasach dawnych, i dawała sobie tony ogromne. Czyniło ją to śmieszną — ale biednemu wiele się przebacza. Uchybienia swej godności, posledniejszego miejsca u stołu i t. p., nie mogła



zniesć. Wspomnienia młodości, gdy jeszcze piękną była, najniłszym były jej rozmów przedmiotem.

Ułomna mocno, ale twarzy wcale ładnej i oczu czarnych rzadkiego blasku, z długimi chudemi rękami, panna Micka, była przy klu-  
czach i zastępowała panią sędzinę. Była też to osoba dobra i usłuzna, miała tylko tę słabostkę, iż się jej zdawało, że się wszyscy mężczyźni w niej kochali. Romansową była i nazywała się sama tkliwą... Naostatek Rózia, daleka kuzynka jegomości, ruchawa, śmieszek, dosyć lekkomyślna dziewczeczka, której trzeba było pilnować ciągle, aby nie popełniła jakiej niedorzeczności — dopełniała rejestru dworu i rezydentów. Na folwarku tuliło się jeszcze pomniejszej rzeszy kilkoro, która się tylko w wigilię do opłatka pokazywała.

Gdy państwo Rewnowscy dowiedzieli się o synowicy, i w Muchomorach rozeszła się wieść, że ową, za straconą mianą sierotę, odzyskano—przyznać trzeba, iż nikomu na myśl nie przyszło jej zazdrościć, ucieszyli się wszyscy szczęściem gospodarstwa, którzy w sierocie jakby własne widzieli dziecię. Ks. Sobrański, któremu mszę odprawiać było pozwolono, odprawił dziękczynną; spłakał się stary Rewnowski, winszując, Hadziakiewicz kłął się i przysięgał, że zawsze przeczuwał, iż dobrym sędziowstwu Bóg musi zesłać pociechę. Strukeza-

szyna z góry zapowiadała, iż pannę dobrych manier nauczy.

— Bo to — dodała — niech sobie mówią, co chcą, dziś już tej maniery ludzie nie mają, co była na Saskim dworze, ani się uklonić, ani uśmiechnąć, ani chodzić, ani siedzieć, dziś żadna nie potrafi. Inaczej było za nieboszczyka króla jegomości... a co za elegancya! dziś do czego kobiety podobne!... dam już niema...

Sędzina swym zwyczajem głową potwierdzając kiwała... Panna Micka cieszyła się nowej przyjaciółce, przed którą spodziewała się spowiadać ze wszystkich nieszczęśliwych amantów, którzy jej nie dawali pokoju... a Różia! Różia może rachowała na to, że gdy wszyscy będą nowo przybyłą zajęci, ona swobodniej na ganek wybieży bałamucić prowentowego pisarza.

Gdy państwo Rewnowscy wyjechali już po Konstancję, rolę gospodyni domu, której sobie wydrzećby nie dała nikomu, objęła strukczaszyzna. Ona siadała na pierwszym miejscu u stołu. Stary Rewnowski nieco głuchy, zajmował miejsce przy niej, i opowiadań jej tem cierpliwiej słuchał, że rzadkie słowo z nich do ucha mu wpadło.

Hadziakiewicz na wyjeździe dał był sędziemu najuroczystsze przyrzeczenie, że w czasie jego niebytności, awantury nie zrobi — i upierał się przytem, iż go dotrzymał, bo tylko

jednego żyda pobił i za pejsy wytargał, za to, że broniąc się, psa podwórzowego kijem potrącił, i jednego stróża bizuncem skropił za to, że mu odpowiadał.

— A tego bo ja ścierpieć nie mogę,—rzekł: to darmo! żeby mi chani miał pod nos... dmuchać...

Dwa te epizody według niego bynajmniej przyrzeczenia danego nie łamały...

Ponieważ bytność państwa Rewnowskich u starostwa przedłużyła się jakoś nad miarę i rachabę, oczekiwano w końcu z wielką niecierpliwością powrotu co dzień, co godzina, sprzecząc się o to, w której porze dnia przybyć mogli. Hadziakiewicz się kłął i przysięgał, że nie mogą inaczej przyjechać, tylko na wieczór, dowodząc to noclegami i popasami, jedyne mi możliwościami na gościncu. Etapy te skazywały jadących na nieodzowny, według niego, przyjazd wieczorny. Panna Micka, która i Hadziakiewicza między innemi posądzała o miłość ku sobie, usmiechając się, usiłowała go przekonać, iż prawdopodobniej nie przyjadą rano, ale wybrawszy się z Zalesia, mogą, zmieniając noclegi na popasy, *et vice versa*, przybyć na obiad.

Strukczaszyna nie miała o tem stanowczo wyrobionego zdania, jednak z obiadem zawsze przyczekiwano, i w kuchni był zapas taki, aby uchować Boże potrzeby, obiad się sklecił na

prędce. Kucharz, pocziwy pijaczyna, zostawał pod dozorem, i arendarz miał przykaz wódki mu nie dawać do wieczora.

Przez pół dnia niemal w ganku pod słupami, widzieć zawsze było można, albo starego Rewnowskiego, albo Hadziakiewicza, albo pannę Micką w mitenkach z kluczami, wyglądających, ażali nie jadą.

— Dosyć, że ich jak niema, tak nicma—wzdychając i z gracyą jedząc obiad, mówiła strukeczasyna. Żeby tylko uchowaj Boże jakiego nieszczęścia!

— Ale co znowu, jak Boga kochani, niech mnie dyabli wezmą, szelma jestem, — wołał Hadziakiewicz, — zawsze pani strukeczasyna coś takiego wymyśli! Jakie nieszczęście! co? gdzie! cóż? Wywróciliby się? oś trzaśa? koło się rozsypało! Ola Boga! wielkie nieszczęście... Rozbójników że po lasach nicma, ani o powietrzu nie słyhać. At! Co to gadać! Szelma jestem...

Stary Rewnowski dopytywał, o co chodziło i kładziono mu do ucha—a on głową kiwając, pokaszliwał.

Właśnie jednego dnia siedziano u stołu przy obiedzie, i strukeczasyna sięgała po flaszeczkę z tłuczonym cukrem dla posypania naleśników, gdy wpadł Niczypor, chłopak z kredensu, i krzyknął:

— Państwo jadą!

Wszyscy się zerwali od stołu.

— Gdzie? jak to może być! O tej porze! Strukczaszyne flaszeczka z fioletowego szkła wypadła z ręki, potoczyła się i padła na podłogę. Szczęściem, tylko się cukier wysypał, bo sitko z niej spadło, flaszeczka od serwisu została. Rewnowski dojadł naleśnika, i dopiero powstał, swoich dwóch kijów szukając, Hadziakiewicz bez czapki już był w pół dziedzińca, a ks. Sobrański w kącie, ręce złożonywszy, modlił się po cichu.

Niczypora pchnięto, aby obiad natychmiast na nowo gotowano. W całym dworze popłoch się zrobił, z oficyny powybiegało, co żyło, nawet kucharz z rożnem, na którym już kurczęta *proprio motu*, na pierwszy odgłos — wbiły — sterczały.

Czeladź niepodziwiana a ciekawa, walczyła ze wstydem a ochotą widzenia państwa i „naszej panny,” z niesłychaną ciekawością, a gdy się ukazała — widać było po twarzach, że oczekiwań nie zawiodła, że je przeszła swą pięknością i wyrazem dobroci a skromności.

Sędzina z pośpiechem i szczebiotliwością zwykłą zaczęła zapoznawać: Pani strukczaszyzna dobrodziejka... moja Kocia... a prawda? a co! nie mówiłam? Mieko kochana, uściśnijże ją, Róziu, chodź tu zaraz, weź tę chustkę... Jak się ma ks. Sobrański?.. zdrów widzę... Rózia... chodź bo tu..

Witał się i sędzia ze swymi, ale naprzód uczcił strukczaszynę ucałowaniem jej ręki.

— Cóż, jakże? scyatyka? ulżyło?—pytał.

Hadziakiewicz się kłaniał do kolan.

— A słowa mi dotrzymałeś?—pytał sędzia.

— Święcie!—odparł Hałaburda,—święcie.

Stary Rewnowski, któremu się na wolnem powietrzu udało to dosłyszeć, huknął tubalnym głosem:—Tylko żyda pobili i stróża..

— Widzisz!—pogroził sędzia.

— Niech wśród ziemi pójdę—bodajem skisł—szelma jestem—nie naruszyłem słowa,—krzyknął Hadziakiewicz. Co prawda, to prawda. Żyd się na Parola kijem zamachnął. Żeby on pańskie, szlacheckiego psa miał bezkarnie poniewierać!—A niedoczekanie jego! Grzmotnąłem i co: się za pejsy potargalo.. a przecież poszedł o swej sile. Stróż znów—odpowiadał!! Żebym ja to miał znosić! Chanie ty jakis! Wlepiłem mu! Cóż to za burda? To burda? to jest sprawiedliwości wymiar—bodaj mnie kaczki deptały—szelma jestem...

Wśród tej wrzawy na ganku, wchodziła prowadzona do domu panna Konstancja, dla której przy mieszkaniu sędziny, przygotowano, wyświeżono, wykadzono najpiękniejszy pokój. Nic było tu zbytku nigdzie, nie mogło go być i w nim, ale świeżutko, ładnie i wonno; urządziła go panna Micka. Zaraz też ona, Róża i sędzina, powiodły tym Kostusię.

W ciągu podróży już ona była do swej nowej opiekunki, jak ona do niej przystała. Sędzia był w synowicy rozkochany, sędzina płakała z radości. I na twarz smutnej sieroty wystąpił też promyk wesoła. Nie mogła nie odpowiedzieć sercem na tyle dobroci i miłości, na które jeszcze zasłużyć nie miała czasu.

Nim obiad improwizowany podano, musiała panna Konstancya z sędziną obejść cały dom, a nawet zobaczyć kawał ogrodu, który był raczej pocziwym sadem starym, pełnym drzew owocowych, z jedną w posrodku altaną lipową. Równać się on nie mógł z pięknym owym w Zalesiu, ale też tu wszystko było skromnie i po szlachecku.

Sędzina chcąc sad swój pochwalić, zaręczała że lepszych sapieżanek nigdzie nie było, i że jabłka bursztówki—,chyba równie” doskonale rodziły.—Wskazała na maliny nawet i na kwatery agrestem i malinami powysadzone.

— Już to tu wszystkiego,—dodała panna Micka — mamy podostatkiem. Z łaski Bożej, chyba ptasiego mleka brak.

Konstancya chwaliła wszystko, aby zrobić przyjemność sędzinie, która jej natarczywie patrzała w oczy.

Cała reszta dnia zeszła na oględzinach i wtajemniczaniu, na bliższom zabieraniu znajomości. Strukeczaszyzna zabrawszy głos, coś ze swej autobiografii udzieliła, komunikując, jak wielki

podskarbi koronny u nóg jej klęczał, a że był dosyć ciężki, wstać potem nie mógł, aż mu rękę podała.

Zdała w kątku modlący się ks. Sobrański wydawał się dziwnie trochę, ale sędzina szepnęła na ucho Konstancyi, że się go wcale obawiać nie było powodu.

Sędzia, jak wszyscy domatorowie, znalazłszy się w swoim kącie znowu... czuł się szczęśliwym.—Wszędzie to dobrze, a w domu najlepiej!—powtarzał z rozrzewnieniem. A co wyszedł i postrzegł nową postać jaką, z którą się jeszcze nie witał,—wolał, uśmiechał się, i pozdrowiał wesoło.

Dopiero wieczorem wytoczyły się skargi i uzbierane pod niebytność państwa żale. Panna Micka oskarżała Rózię o płochość i miłostki z pisarzem, a oprócz tego, o bałamucenie wdowca ekonoma. Hadziakiewicz miał spór z prowentem o obroki. Ekonom z arendarzem sprawę wnosił o wódkę podejrzanego pochodzenia, i t. p. Wszystko to odłożono do rozstrzygnięcia spokojnego czasu.

A że po sąsiedztwie gruchnęła już była poprzednio wieść i zapowiedziano przybycie panny Konstancyi, niepodobna było nie sprosić miłych sąsiadów, i nie ukazać im, a nie pochwalić się synowicą. Żądała tego sędzina, pochwalała strukczasyna myśl tę, sędzia się godził.



a panna Konstancya musiała milczeć, choć to okazywanie jej miłe być nie mogło.

Uprojektowano obiad—i nie ściąganie tłumne dalekich i najdalszych, ale bliższego tylko sąsiedztwa—a *primo loco* Matuskich, w których domu Wacek Paczura oznajmił szczęśliwą wiadomość Rewnowskim. I obiad przecię taki bez występu, bez piramid i cukrów, bardzo prosty, choćby z leguminą i kremem, na wsi się nie daje bez pewnego przygotowania. O mięso się trzeba ubezpieczyć, bo tu częściej chude krowy biją, niż tłuste woły, cielę domowe na rzeź wybrać, drób oznaczyć, i tysiące drobnych rzeczy przygotować. Sędzina na pieczyście z razu forytowała prosięta, przeciw czeniu zaprotestowała strukczaszyną, znajdując je smaczniemi, ale nieprzyzwoitemi. Powodem do wyboru prosiąt było, że sędzia je bardzo lubił, więc się mógł przy gościach pożywić; usunięto jednak te istoty mniej szlachetne i zastąpiono je indykiem ogromnego wzrostu, który oddawna takie burdy wyprawiał jak Hadziakiewicz—i pozbyć się go pilna była potrzeba. Ponieważ karuczek był w domu,—zapowiedziano więc cytrynową i różową galaretę, zawsze bezpieczniejszą od kremu, którego charakter niestały nigdy się na energię jego spuścić całkiem nie dozwalał.

Sędzia co do wina dał dyspozycję summarijną. Miano jeszcze do kawy poobiedniej

upiec sucharki. Na obiad wybrano niedzielę. Sam Rewnowski w ciągu tygodnia miał objechać i sproszyć sąsiadów. Lista ich z domowymi wynosiła osób około dwudziestu.

Nadszedł dzień ten uroczysty—pogoda mu sprzyjała, Konstancję z pomocą i radą strukturalnej, ustrojono... szczęściem, nie zbyt przesadnie. Jej we wszystkim było i zawsze pięknie. Wyprosiła się od zbyt napuszonego ubrania, wybrała jak najprostsze, a dobra sędzina pozwoliła jej w tem dogodzić swą fantazję.

Już się goście zjeżdżać poczynali, a sędzia w ganku przyjmowaniem ich był zajęty, gdy z wielkiem podziwieniem swemu ujrzał tak rychło wcale niespodziewanego tu Wacka, który też szczególnym trafem na ten dzień przybywał.

Jak się to stało, wytłómaczyć musiny. Po wyjeździe panny Konstancji wszyscy w Zalesiu po niej tęsknili, ale Wacek rady sobie dać nie mógł. Chodził w gorączce i jak oszalały. Starosta go kilka razy nierępliwie zapytał:—Co ci jest? Co za giez cię ukąsil?

Nie odpowiedział z początku. Drugiego czy trzeciego dnia zastał go nad przepisywaniem dokumentu, z piórem w ręku, tak zamysłonym i pogrążonym, że nie usłyszał, jak pan Sniehota nadszedł, stanął, obserwował go dłu-

go, wreszcie za ramię pochwycił, wstrząsł nim i krzyknął:

— Co tobie? czyś zdrewniał? gadaj! co to takiego jest? Ja mruków nie lubię. Boli cię — mów...

Wackowi w istocie tak dolegała ta miłość, iż mu się zdalo, że lepiej uczyni, gdy się do niej przyzna staroście.

Pocałował go w rękę: — Panie starosto dobrodzieju, — rzekł. — co mam tać? głowę straciłem... Jestem zakochany w pannie Konstancyi Rewnowskiej.

Starosta się w boki wziął i śmiał się.

— Jak Bóg miły! a to coś osobliwego! I ty! no proszę!... a panna?...

— Panna zbyła mnie ni tem ni owem, ale sędzia uczynił mi nadzieję i przyrzekł swą protekcyę. Tymczasem kto wie, co tam wypaść może. Młodziez ją otoczy... uprzedzi mnie kto...

Starosta śmiał się ciągle.

— *Mirabilia!* Co to jest młodym być! Hej! hej! głowa się pali... A no — o cóż asindziejowi idzie? Jeżeli ci sędzia uczynił nadzieję — nie będę przoszkadzał, ruszaj smalić cholewki — ja tu i tak z ciebie pociechy mieć nie będę, bo głowa i serce gdzieindziej. — Z Panem Bogiem.

Widać było, że starosta trochę był markotny — odwrócił się, pochodził.

— Niech mi lasy powyrąbują... cóż robić!

dla miłości twej warto jaką sosnę poświęcić. A żebyś odemnie jak pasternak goły nie jechał.. muszę ci dać na wyprawę..

Otworzył biurko, dobył rulon i wcisnął mu w rękę.

— Dosyć, że ta Konstancya nie tylko nas opuściła sama, ale jeszcze nam ludzi pozabierała za sobą,—westchnął z cicha—taka to pociecha, gdy człek wychowuje sieroty. .

Starosta poszedł zaraz opowiedzieć o tem żonie, która, o lepszej partyi marząc dla swej faworytki, nie mogła się wydziwić sędziemu, co ją za Wacka już wydać przyrzekł.. i protekcyę mu obiecał. Choć go lubiła staruszka, ale z Kostusią porównywać się nie mógł jej zdaniem.

Jak tylko odprawę od starosty dostał Wacek—nie mógł już wytrzymać, natychmiast się wybierać zaczął, i tak się dobrze uwinął, że na ową niedzielę stanął w Muchomorach.

W oknie naówczas stojąca panna Konstancya z sędzią, gdy go poznała, zaczerwieniła się jak piwonia, i odeszła pomieszana, boć łatwo się było każdemu domyślić, co tu młodego chłopca tak pilnie pędziło.

Witając jednak sędzinę, Wacek się wytłómaczył, że go staroscina przysłała dowiedzieć się, jak państwo dojechali i—o zdrowie panny Konstancyi.

Tym sposobem wyklamawszy się trochę,

Wacek, widząc pannę zakłopotaną swem przybyciem, napastliwym być nie chcąc, usunął się na bok, i z Hadziakiewiczem, trochę mu znanym z wesela Matuskich, rozpoczął rozmowę.

Goście tymczasem napływali, a mężczyźni zwłaszcza, co który zobaczył synowicę państwa sędziowstwa, to za głowę się chwytał i w pochwałach rozlewał. Junonę zwali ją jedni, Wenerą drudzy, inni Dyana—i cała mitologia zużyta została na uwielbienia. Sędzina śmiejąc się szeptała:—A co? nie mówiłam! Niema równej.

Młodzień kołem ostąpiwszy panie, które w jednym kątku siedziały, wejrzeniami strzelistemi aż inkomodowała nieszczęśliwą ofiarę, która oczu nie mogła podnieść, żeby nie spotkać wzroku natrętnych. Mieszalo ją to mocno. Niektórzy tak byli niedyskretni, iż półgłosem nucili hymny, których nie mogła nie słyszeć. Już się zabierano iść do obiadu, przy którym swobodniejszą być sobie obiecywała umęczona panna Konstancya, gdy szum się zrobił w sieni i w pokoju zaczęto się odzywać:

— A to kasztelanie Pocięj!

— Słowo daję! to taranty Pocięja! mówił inny.

Gospodarz, który kasztelanica i mało znał, i wcale nie zapraszał, zdziwiony poszedł ku gankowi. W istocie był to kasztelanie, który

na drodze się spotkał z panem Wasiutyńskim jadącym do Muchomorów. Ten mu wyśpiewał, że jedzie bardzo piękną pannę, świeżo przybyłą tu z pod Lublina oglądać. Kasztelanie, kawaler modny, płochy człek, panicz, wielki płci pięknej miłośnik, *stante pede* postanowił towarzyszyć Wasiutyńskiemu, na bryczkę go swą wsadził—i pojechali.

Młodym był pan Pociąg, jak wiadomo znacznego rodu i wielkiego imienia. Wychowanie w domu odebrał francuzkie, a już i zagranicą bywał, szlacheckie więc towarzystwo i jego obyczaje, dosyć sobie lekcewazył. Zdało mu się, że zaszczyt czyni dworcowi, do którego zajedzie. Ubrany modnie, po francuzku, w peruce, którą podróż nieco nadwerężyła. we fraku haftowanym, koronkach, łańcuszkach, blyskotkach, wyglądał trochę niewieście, przy zawieszistej szlachcie wąsatej. Lecz strój ten już naówczas w wyższem towarzystwie bardzo był pospolity, w mieście niemal powszechnie przyjęty, i namionował wedle pojęć ówczesnych postępowych ludzi. Ci, co się starego ubrania trzymali, za zacofanych byli miani. Kobiety zwłaszcza, bardzo łaskawemi oczyma patrzyły na żaboty koronkowe, mankiety i białe ręce, które z pod nich wychodziły.

Wysiadając już kasztelanie, śmiał się, nie wątpiąc, że impressyę uczyni nie małą.

— Nieproszony gość!—zawołał, witając się

z sędzią — ale zaszczycając się przyjaźnią jego i respekt mając dla domu państwa, chciałem im z przyjaciółmi powinszować szczęśliwego, o którym słyszałem, ewenementu.

Sędzia pokornie dziękował, tryumfalnie wprowadzono go do pokoju, przed sędzinę. Strukczaszy na jak indyk nadęła się, zobaczywszy eleganta, i miły robić zaczęła... aby zwrócić na siebie jego uwagę. Kasztelanie jednak dość roztargniony, szukał oczyma solenizantki dnia tego, i znalazłszy ją, ku niej zaraz przylgnął. Nawykły do tego, że go panie piękne z nadskakującą grzecznością przyjmowały, zdziwił się trochę chłodowi, jakim go panna Konstancya powitała — lecz to go tylko większym jeszcze natchnęło animuszem. Przysiadł się do niej z natarczywą rozmową, ale w tejże chwili do stołu oznajmiono, i od-tąpiwszy jej musiał prowadzić sędzinę, przy której też go posadzono.

Wackowi dostało się miejsce, jeśli nie przy pannie, to naprzeciw, lecz nie wiele z tego skorzystał, gdyż oczu prawie nie podnosiła, i ona jakos smutna a zadumana siedziała. Kasztelanie nie mogąc wprost pannie się zalecać, która mu niezmiernie w oko wpadła, usiłował się z dowcipem i konwersacją popisać przed wszystkimi, mówił wiele, nie zawsze do rzeczy, śmiał się sam, aby drngich do śmiechu po-

budzać, pił, zabawiał dowcipował i w istocie strukczaszynę zachwycił.

Przypominał jej kawalerów owych czasów szczęśliwszych, gdy się oni jeszcze w niej kochali — i — słowo w słowo tym samym trybem błyskotliwym zalecać usiłowali.

Pan Pociąg, z tego aplauzu starej pani nie bardzo był rad, wołałby jedno wejrzenie panny Konstancyi, a ta widocznie go unikała. Mocno go to obeszło... W takim dworku pod strzechą znaleźć taką obojętność, takie lekceważenie dla kawalera, co w Warszawie miałby niesłychane sukcesy, srogim było ciosem. Wziął więc na kiel...

Po obiedzie na chwilę się zetknawszy z sędzią, wyraził mu uwielbienie gorące dla panny Konstancyi, a zarazem poddał myśl, że w takiej kompanii wesołej, już coby też i muzyczkę warto postawić, aby się młodzież rozruszała.

Sędzia nie był od tego — posłano do Wisznia po miejscowych muzykantów, którzy na weselu Matuskich dowiedli, że choć nie tego grali, ale dwa dni i dwie nocy bez spoczynku mogli pełnić swe obowiązki.

Kasztelanie, o którym już z boku Hadziankiewicz się wyrażał w swoim języku, że zaszłapał, w istocie był mocno zajęty, i namawiając do muzyki, chciał zyskać pretekst, aby tu dłużej zabawić. Na muzykę trzeba było czekać, potem gdy się towarzystwo zanimowało, nie



łacno było przestać. Spodziewał się *faworem* tańca do panny zbliżyć, popisać z figurą i zręcznością i—głowę zajechać.

Nie chciał ruszyć z Muchomorów, nie postawiwszy na swoim. Serce tam jeszcze żadnego nie miało udziału, ale próżność grała.

Nim muzyka przybyła, kasztelanic, mimo przeszkód wielu, do panny się docisnął, i wziął ją w objęcie. Na pannie Konstancji i ta napaściwość trochę za śmiała robiła przykre wrażenie. Zdawało się jej, iż kasztelanic w imię tytułu i pozycyi swej nadto sobie pozwalał... Była więc w tem usposobieniu, iż szukała tylko zręczności, aby mu ckażać, iż wcale jej się to postępowanie nie podoba.

— Cóż to dla mnie za szczęśliwy dziś dzień, — mówił kawaler, — gdy niespodzianie taką gwiazdę wśród tych lasów naszych świecącą ujrzałem!... olśniony jestem...

Panna Konstancya spojrzała zimno, niby nierozumiejąc.

— Jaką gwiazdę?—spytała.

— A do kogożby tu się to adoptować mogło, jeśli nie do pani!—rzekł z galanterią.

Pan kasztelanic znać nawykł w stolicy do takich komplementów,—odezwała się panna,—a ja, wieśniaczka jestem... Wie pan, że mnie się one wydają śmiesznemi...

— Jaki? śmiesznemi?

— Tak! zwłaszcza przy pierwszym pozna-

niu,—odparła Konstancya. Tak mało się znamy... nie pochlebiam też sobie, abym na takie jasne nazwisko kiedykolwiek zasłużyła.

— Skromność pani—nie dozwala...

— Piękną mamy pogodę?—przerwała panna, zwracając się... a po chwili spytała kasztelanica, dokąd się wybrał w drogę, bo słyszała, że tu przypadkiem zajechał?

— Weale nie przypadkiem, -- odezwał się uparty admirator,—rozało i sława wdzięków pani, brzmiała po całym sąsiedztwie, sprowadziła mnie tu...

— Doznasz pan zawodu!

— Jestem zachwycony!

Konstancya się rozśmiała: — Widzę, że kasztelanie bierzesz mnie zawsze za jedną z dam warszawskich, nawykłych do tego języka?

— Innym do pani mówić nie podobna!

— A ten dla mnie niezrozumiały, bo mi się zdaje pożyczony z teatrum! — odezwała się panna.

Kasztelanie zagryzł usta...

Panna Konstancya skorzystała z jakiegoś zapytania sędziny i wymknęła mu się. Później zaś tak go unikała widocznie, iż kawaler powziął ztąd rankor wielki.

— A to mi gaska! — mówił w duchu, — co za fochy! patrzcie! Ktoby myślał, że wojewodzianka lub księżniczka, tak się to dmie i nosi z sobą!

Nie zraziło go to, i owszem, postanowił dosiadywać. Nadjechała muzyka, rozpoczęły się tany, chciał rej wodzić w nich panicz, lecz szlachta jak konie tabuny, pot poczuwszy, zakrzyczała go i niemal zadeptała.

Był tu dysharmonijną nutą.

Dawno też byłby kasztelanie Muchomory porzucił—lecz tak pobitemu i skonfundowanemu jawnie trudno odjechać było. Z lekkomyślnością paniezykowatą, nie bardzo wiedząc co począć, obrachował, że puszczenie szmermela będzie zemstą najlepszą. Siedziała trochę na uboczu pani strukczaszyzna, mocno wykrygowana, którą z postawy wnosząc, brał za osobę wielkiego tu wpływu używającą. Przystąpił więc do niej.

Bogu tylko jednemu wiadomo było, jak ją tem uszczęśliwił.—Nie pojmowała dotąd, jak takiej dystynkeyi kawaler mógł w niej nie poznać osoby swojego świata i wychowaniem sobie równej. Z radości drgnęła aż, wyprostowała się mocniej jeszcze, i wdzięcząc się a wachlując, odezwała:

— Co też to pana kasztelanica na tę pustynię zagnało? Bo to... dobrzy ludzie—ale pustynia!! i parafia!! A! a! Proste, dobroduszne kreatury... nie to, do czego ja i pan nawykliśmy...

Kasztelanie rozsiadł się tak szeroko i swobodnie, jakby był u siebie w domu, i bawiąc się dewizką od zegarka, począł:

Bracia rywale.

— Pani dobrodziejko... jeśli się nie mylę... strukczaszyzna...

— Tak jest... z Olgierdowiczów Pomorska... tak jest... z Olgierdowiczów.

Sklonił głowę kasztelanic.—Pani dobrodziejko, —ciągnął,—co mnie tu sprowadziło,—fama oczu panny Rewnowskiej...

— O te bałamuty! bałamuty!—zasłaniając się wachlarzem, szeptała strukczaszyzna. No i jakże te oczy? czy uczyniły impressyę?

— Zabójczą! okropną... Strzała utkwiała mi w sercu...

— Już pan ją czuje?

— Pani wic,—wejrzenie jedno i po człowieku!! miłość przychodzi jak piorun!!

— Tak! tak! słyszałam to nieraz... Mówił mi to niegdyś pan Podskarbi koronny... który...

Uśmiechnęła się skromnie...

— I on i wy wszyscy,—dodała z melancholią strukczaszyzna,—wszyscy bałamuci! Nikomu wierzyć nie można. Wyjedziesz pan kasztelanic kilka mil i inne oczy, a miłość nowa wypędzi pierwszą impressyę.

— Bardzobym rad, żeby się tak stało,—mówił kasztelanic,—bo—smiertelnie jestem zakochany, a panna, jak uważam. sroga i nie łaskawa...

— Cóżes asindziej chciał. żeby zaraz mu affektem odpowiedziała?

— Choćby grzecznością...

Strukczaszna pochyliła się ku niemu, aż woń pudru jej i różnych ingrediencyj toaletowych go zaleciała.— Między nami mówiąc trochę dzika... niezbyt okrzesała... Wychowanie jej dano takie... Ja dopiero się chcę nią zająć ..

Kasztelanie westchnął przesadnie...

— Polecam się względem pani... O! te oczy! te oczy!!

Uszczęśliwiona zaufaniem kawalera, strukczaszna dała mu znak porozumienia głową i szepnęła:

— Będę mu służyła...

Kasztelanie wstał... Tego mu dosyć było.— Rzucił strzałą Parta, zostawiał za sobą nadzieję, że powróci—i że się rozmiłował na seryo. Mścił się tym sposobem, bo nie wątpił, że to głowy pozawracać miało i wszelkie rachuby na niego skierować.

Zyskać sobie Pocięja takiej szlachcianeczce, toć było przecie szczęście nie lada!

Przez cały ten wieczór przemęczył się Wacek, okrutną zazdrość i gniew obudzał w nim ten kasztelanie we fraczku, od którego piżmo czuć było; oprócz tego do panny Konstancyi przystęp był trudny. Rozpytawszy się o starościnę, od której przywiózł list, panna unikała go. Za drugim razem gdy się spot-

kali, a Wacek wzdychać począł, i miał począć rozmowę o sobie—zapytała go—o brata.

— Brata mojego niełaska pani wypędzila,—rzekł Wacek—a gdzie i dokąd ona mnie pchnie! to Bogu wiadomo!

Niby nie posłyszala panna Konstancya. Młody Matuski i inni sąsiedzi ciągle ją brali do tańca, a że unikała kasztelanica, szła chętnie z niemi, Wacek ani się mógł docisnąć.

W końcu już zdesperowany, gdy kasztelanie też odjechał zły i kwasny, stanął Paczura pod oknem, ręce zwiesił i tak—patrzac na nią, skamieniał jak posąg. Smutno nań było spojrzeć, tak z twarzy mu biła rozpacz... i smutek. Już dobrze było późno, gdy zlitowawszy się nad nim panna Konstancya rękę mu podała, wybierając do przetancowania. Rzucił się, jakby go różeczką czarodziejską dotknięto, poweselał, ale po chwilce rzucono go i znowu został — sam jeden. Gonił oczyma uciekającą, gdy skrzypki jakos ustały, i panna idąc odpocząć usiadła około niego. Złożyło się tak, iż w bliskości nikogo nie było, coby mógł podsłuchiwać. Mężczyźni poszli się chłodzić na ganku, kobiety z sobą szczebiotały...

— W istocie pana starościna do tej podróży namówiła?—zapytała Konstancya...

— Al! panno Konstancyo dobrodziejko,—zawołał Wacek,—alboż mnie do tej podróży namawiać było trzeba? Ja tam w tej pustyni

wytrzymać nie mogłem. Wolałbym tu za parobka służyć, niż tam panować...

— Cóżbys pan na tem zyskał?

— Patrzyłbym na panią,—rzekł Wacek.

— Wszak pan słyszałeś, com mu raz mówiła? To się odmienić nie może,—odezwała się poważnie panna Konstancya,—nie może!!

— Pozwól mi pani choć łudzić się i spodziewać.

Zamilkła panna i wachlowała się chusteczką.

— Gdybys mi pani powiedziała, że inny jest szczęśliwszy, żeś pani uczyniła wybór... — rzekł Wacek po chwili.

— Cóżby to pomogło!—szepnęła panna,—jam panu mówiła, nigdy za mąż nie pójdę, bo nie mogę. Mocne to moje postanowienie. Wiem, że stryjostwo wydaćby mnie chcieli—ale mnie przymuszać nie będą...

Ze spuszczonemi oczyma mówiła to spokojnie i powoli.

— Takie moje przeznaczenie!—dodała.

— Ale powód?..

— Powodu panu powiedzieć nie mogę,—przerwała panna Konstancya. Sprzyjam mu mocno... wdzięcznam mu za dobre serce dla mnie... proszę byś pamiętał o mnie... ale zarazem, abys gdzieindziej szczęścia szukał... tu—tu pan go próżno będziesz czekał...

— Jakto? nawet mi pani zostać nie pozwalasz!!

— Bronić nie mogę—proszę...—mówiła, wahając się panna Konstancya. Mówią, że u mężczyzn uczucia te prędko przechodzą, pan pojedziesz, zapomnisz i—będziesz szczęśliwy... Ja panu tego z serca życzę!

Mówiła i głos jej drżał przejęty—wstała potem żywo i uśmiech kłamany na usta przywoławszy, pobiegła do sędziny. Wacek siedział jak wkuty.

— Niechże to kto zrozumie!—mówił w sobie.—Zdaje się życzliwa. Gdy mówi,—czuję, że nie gniewa się na mnie, a odpędza... To oszaleć trzeba...

Zamyslił się Wacek, co ma czynić.

— Zostanę,—rzekł w duchu, —niech choć poprobuję, co Bóg da, to da, zawsze będzie czas iść precz.

Nazajutrz strukczaszy na wielkich ceremoniach, w tajemnicy największej powierzyła sędzinie sekret kasztelanica, — kasztelanie się kochał; od pierwszego wejrzenia śmiertelnie był ranny—i niezawodnie się mógł ożenić. Cóż to za szczęście byłoby dla rodziny Rewnowskich, skoligacić się tak, taką partyę znaleźć dla sieroty...

Ktokolwiek wie, jak u nas wielką do rodu i związków rodzinnych przywiązywano wagę, nie zdziwi się tem, że sędzinę sama ekspektatywa takiego mariażu niesłychanym sposobem



uniosła i wyegzaltowała. Uwierzyła strukczaszy-  
nie i miłości bałamutnej kasztelanica.

Strukczaszyzna podniosła głowę ku sufitowi,  
rękę jedną po nad głowę i ramionami ruszyła..  
w milczeniu... Sędzina się kręciła niespokojna.  
Co tu było począć?

Pobiegła do męża...

Sędzia siedział u siebie, czytając z Warszawy  
nadesłaną jedną z tych gazetek *à la main*, które  
przepisywane naówczas, po kraju całym  
krążyły, gdy żona weszła z rumieńcami na  
twarzy, po których nawykł był poznawać, że  
albo ją co bardzo ucieszyło, lub mocno roz-  
gniewało.

— Co ci to, mój aniele?—spytał.

Stała mała pani sędzina naprzeciw męża,  
ręce założyła na piersiach i niema poczęła dłu-  
go patrzeć na niego.

On cierpliwie czekał.

— A co?—bąknął.

— Co? co? A toż to, kochanie ty moje naj-  
droższe, bąka strzeliłeś takiego... ale takiego.

— Ja? bąka?

— Tak—ty... Wiesz! kasztelanic się chce  
żeńić z Kostusią. Oświadczył to strukczaszy-  
nie! A tyś sobie ręce związał tym Wackiem...

Oślupiały słuchał sędzia.

— Kasztelanic chce się żenić z Kostusią!  
Oszalała babo! Co jej takiego! kasztelanice?  
ależ on nie emancypowany, a kasztelan dumny

pan, prędzejbym mu dał pod fraczek sto odlewanych, niż żonę szlachećkę... A! to mi się podoba!

Sędzina, istota łatwo się dająca przekonać, czarno i białe, zmieszała się.

— Strukczaszyzna—poczęła...

— Strukczaszyzna tylko o romansach myśli, marzy i mówi. Coś jej się przysniło...

— No—toż się da widzieć,—przerwała nieco zwątpiwszy sędzina,—o to idzie, aby się z tym Wackiem nie śpieszyć, kasztelanie musi się przecie starać—aby się wystarał.

— A no—zobaczmy! a ja—ja asindzce mówię—przez imaginację wyjechała na koronację, tej kobiecie zawsze świta w głowie...

— O! już bo jegomość a starosta co na kobiety nie wymyślacie! Uszy więdną...

— Zobaczmy! — dokończył sędzia, — zobaczmy. Da się widzieć!

Żona wyszła—ale sędziemu klin zabity nie ustąpił z głowy...—Kasztelanie! Pocieje! Rewnowscy z Pocijami! Co za liść wspaniały na genealogicznem drzewie... Rozum jednak powiadał, że z tego nic być nie mogło...

Wszelako—z Wackiem Paczurą był ostrożniej, unikał rozmowy i trochę się stał chłodniejszym. Wacek zaś, mając pozwolenie dawne, siadł jak na rezydencji.

Micka suponowała, że jej czarne oczy mogły też nie być bez wpływu; z czego daleko

domyslniejsza Rózia śmiała się do rozpuku, bo już wiedziała dobrze, o co chodzi...

Wacek polował, jeździł, stękał i siedział.

Z panną Konstancją ani się już mógł rozmówić, unikała go widocznie.

W półtora tygodnia, gdy nikomu, oprócz strukczaszynej, nie był na myśli kasztelanica, ujrzano jego konie—przyjechał.. Sędzia się zdziwił bardzo.

— Co u kaduka! czyby ta baba miała istotnie z nim taką konfidencyę?...

Gdy dano znać sędzinie o przyjeździe, wbiegła do Kostusi, poczęła ją całować, śmiać się, i zapowiedziała jej przybycie konkurenta. W tej chwili spojrzała na nią, Konstancja jak trup była blada i drżała jak w febrze...

— Jezu miłosierny! co ci to jest?

Podano wody—ale panna wnet do siebie przyszła. Nim sędzina dalsze mogła rozpocząć badanie, schyliła się do nóg jej i z uczuciem błagalnem szepnęła:

— Matusiu moja! - gdyż tak mi się nazywać pozwalasz,—matusiu, ja proszę, ja modłę,—pozwólcie, bym do niego nie wyszła...

— Do kasztelanica!!—zawołała z rozpaczą sędzina.

— Matusiu kochana—jest dla mnie wstrętliwy—to lalka nie mężczyzna... Dla czego mam się męczyć? Niech wie, że ja go nie chcę, jeśli

ma jakie zamiary... i niech sobie z Bogiem jedzie...

Sędzina chciała jej prosić—ale Konstancya poczęła ścisnąć, całować, łasić się jej, ulitowała się więc—i jak zawsze była łatwą i dobrą, przystała na to, żeby powiedzieć, iż chora...

Ledwie z tem wyszła, gdy w sieni spotkała strukczaszynę, śpieszącą na konferencyę o stroju:—Wystaw sobie—wyjść za nic nie chce, za nic!—zawołała, łamiąc ręce...

Obie natychmiast powróciły nalegać, ale—Kostusia była niewzruszona, odmówiła wręcz strukczaszyńie.

—Już to ja do panny Konstancyi szczęściem się pochwalić nie mogę,—westchnęła urażona staruszka. Cóż tedy? Jak sobie kto pościele... Wyszła stara gniewna, mówiąc w duchu:—Przewrócona głowa! Głupie dziewczę... Na to niema ratunku...

Kasztelanic, który sądził, że drugą tą bytnością wywoła wrażenie niezmierne, i będzie miał zręczność zabawiania się z piękną panną, o dalszych następstwach nie myśląc,—z razu oczekiwał apparycyi, pochlebiał sobie, że fioki na jego intencyę pannę zabawiły tak długo—wreszcie, gdy mu oznajmiono, że chora, a strukczaszyzna minę pewną zrobiła, mocno to uczuł. Dosiedział jednak, i znalazł zręczność rozmówienia się na osobności z protektorką.

—To są kaprysy,—szepnęła mu stara,—

fonfry! panna widać kim innym zajęta, a sędziowstwo dają jej sobie dogadzać... wszelkim kaprysom!! Nie chora... jako żywo...

Ruszyła ramionami... Kasztelaniec zarumienił się z gniewu i apprensyi, pierwszy raz w życiu afront go taki spotykał... Gotowało się w nim zemsty pragnienie, -- ale na kim ją tu wyrzucić było?.. Piękna panna, co go tak nie-litościwie odpychała, jeszcze mu się wydawała piękniejszą... jeszcze pożądanszą...

Ukrywając w sobie to wzburzenie, kasztelaniec pozostał dłużej umyślnie. Po raz drugi zbliżył się do strukczaszynej, ciekawy dowiedzieć się, kto mógł być jego rywalem. Jejmość nie wahała mu się wyrazić podejrzenia, iż Wacek Paczura, mizerny szlachetka, mógł być tym — wyraziła się — preferowanym.

Na pierwsze spojrzenie już kasztelaniec czuł jakiś wstręt do tego wąsatego gładysza w czarzarze. Nie powiedział ani słowa... zabawił do wieczora, i wyjechał. Wacek powracał tą samą drogą z lasu, którą kasztelanicowi już po nad wieczor przebywać było potrzeba...

Gościniec to był piaszczysty, szeroki, lasem otoczony do koła, wyjeżdżony przez chłopskie wozy, szukające sobie lżejszej drogi... Wacek szedł bokiem ze strzelbą na ramieniu... Zdala po koniach poznał wracającego kasztelanica... Pocięj też zobaczywszy go, ponieważ piasek był spory, pod pozorem ulżenia koniom, wy-

skoczył i pieszo skierował się ku lasowi, obra-  
chowawszy, że się spotka z Paczurą. Sam do-  
brze nie wiedział, na co się to zdało, ale buta  
podrażniona wiodła go do zaczepienia szla-  
chetki.

Z dala kilka razy się zmierz yli oczami, a że  
Wacek nie był mu osobiście znany, tylko go  
widział kręcącego się po pokoju,—witać go  
nie myślał. Skręcił nieco w las... Kasztelanie,  
któremu to było nie na rękę, zdjął kapelusz...

— Za pozwoleniem,—rzekł,—zdaje mi się,  
żem miał przyjemność...?

— Tak jest, spotkałem pana kasztelanica  
w Muchomorach...

Skłonił się Wacek zimno.

— Ja właśnie ztamtąd powracam,—odezwał  
się kasztelanie, śmiejąc się żartobliwie. Nie mia-  
łem dziś szczęścia, bom panny Konstancyi nie  
widział, a nie taję, że dla niej szczególnie  
się wybrałem, piękna bo panna! Jak pan znaj-  
duje?

Zdziwiony tą rozmową, Wacek się zasępił.

— Znajduję jak wszyscy, że panna Kon-  
stancya Rewnowska piękną jest bardzo,—ale  
dziwi mnie tak lekka mowa o niej.

— Pana to dziwi?—rozśmiał się kasztelanie,  
jakby szukał przyczepki,—a mnie to dziwi, że  
pan się dziwuje! he? Co pan na to?

Wacek stał dalej, już nie wiedząc co mówić.

— Za pozwoleniem pana kasztelanica — rzekł, — ja nie dobrze rozumiem...

— A! pan nie rozumie!! — począł się śmiać sucho kasztelanica, — pan rozumieć nie chce? he? co?

— O co panu idzie? — zimno odezwał się Wacek.

Pociej zmierzył go od stóp do głowy oczyma, przystąpił bliżej i rzekł cicho:

— Pan niema ochoty...

I ręką wskazał fechtowanie.

— Owszem, — odparł Wacek, — dla czegoż nie? tylko nie widzę racyi!

— A gdy komu ręce świerzbią? to nie jest racya? — zapytał Pociej.

Wacek głową dał znak potakujący.

— Pan się bijesz na szpady? — spytał Pociej.

— Biję się i na szpady — choć na szable wolę...

— Na szable nie służę.. Szpad i rapirów zawsze parę mam z sobą... a gdybyśmy...

Odwrócił się do służącego i mrugnął. Ten już dobywał dwa rapiry równe, które nigdy Pocięja nie opuszczały. Z gracyą podał jeden przeciwnikowi Pocięja, zrzucił frak i stanął. Wacek, nie wiedząc za co i dla czego ma się bić, troszkę się śmiejąc w duchu z napastnika, a nie wiele wążąc te żelaza, które naówczas z pogardą rożenkami nazywano, — postawił

strzelbę pod drzewem, zakasał rękawy, rozpiął suknię i czekał...

Przez ciekawość raczej niż z potrzeby, oba oni z bratem probowali się na szpady fechtować—ale Wacek nie miał wprawy. Zdawało mu się, że to rzecz i łatwa i w porównaniu do szabli—igraszka. Naprzeciw niego stał przeciwnik znany z wielkiej biegłości i fechmistrz jakich mało.. Zaledwie się złożyli, Pociąg poczuł z kim miał do czynienia, zwyciężyć a nawet zabić antagonistę było dlań igraszka; począł więc przyskakując, odskakując, odsadzając się, parując, koląc z gracyą, chyżością i wprawą taką, że Wacka nim się opamiętał, dotknął kilka razy, aż krew trysnęła—na ostatok z wielkim śmiechem, wytrącił mu szpadę z ręki i kolnął go w bok tak, że mu z prawej strony po nad żebrami skórę na wylot prze-szył. Wacek chwycił się za bok—lecz nadto był silny, aby go to obalić mogło... Nim się opamiętał, co czynić z krwią ubiegającą, co z kasztelanem, spostrzegł, jak ten mu się skłonił, z rąk sługi wziął frak, poskoczył ku powozowi i skinął na woźnicę, aby jechał.

Tuman pyłu wzniósł się na gościńcu... i kasztelan znikł mu z oczu.

Długo nie mógł przyjść do siebie Wacek... Opatrzył się... miał cztery pchnięcia, a z tych jedno zdawało się groźnem... bok przebity nie głęboko wprawdzie, krwawił mocno... Zawią-



zanie na prędce chustką nie wiele pomogło... Paczura lękał się osłabnąć i paść; pośpieszył więc co prędzej ku dworowi... W pochodzie istotnie parę razy słabo mu się zrobiło. Spojrzawszy na siebie, postrzegł, że cały był krwią obmazany... Chciał się cofnąć właśnie, bo w tej chwili wchodził w dziedziniec, gdy sędzia zastąpił mu drogę... Krew na odzieży przerażała go.

— A to co!—krzyknął...

Wacek się uśmiechał.—Nic... nic...

— Przypadek? strzelba? zwierz? mówże!—wołał sędzia, i nie czekając odpowiedzi, począł krzyczeć: — Jest tam kto? — Po cyrulika! Jest tam kto?

Głos, którym się Rewnowski rzadko odzywał, bo zwykle mówił cicho i spokojnie, cały dwór na ganek i podwórze ściągnął.

Najpierwszy przypadł Hadziakiewicz, bo gdzie krzyk było słyhać i zamieszanie, a hałas się wszczął, nigdy go tam nie brakło... Zobaczywszy krew, wnet począł nie pytając rozdziewać rannego, aby dojść do źródła... stało się to tak szybko, że nim Wacek pomyślał o obronie, ten już go rozpiął, opatrzył, ręką machnął i zawołał:

— Nic,—szelma jestem—mizerya! od różna.

Sędzia stał, nie rozumiejąc... Sędzina zdala zobaczywszy okrwawionego, biegła ręce łamiąc.—Co się stało!? Tuż za nią panna Micka,

Rózia, ks. Sobrański, w ganku stary o kijach Rewnowski... biegli, stawali, coś widząc i domyślając się straszego, a nie mogąc dopytać, co się stało?

Napadano milczącego Wacka pytaniami do koła, ten jeszcze rozmyślał, przyznać się, czy zmilczeć.—Utaić pojedynku nie było podobna... Hadziakiewicz krzyczał na cały głos:

— Ale nic! furda! No cóż? co? pokłóli się rożenkami... Szach! mach... i tyle—zalepi się, zasklepi... i nic... Jak Pana Boga kocham...

— Rożenkami? z kimże? gdzie?

Wacka na pół niemego prowadzono na ławę w ganku... Siadłszy, począł się uśmiechać...

— Spotkałem się w lesie z kasztelanikiem,—miał ochotę próbować się ze mną na szpady... Odmówić nie było podobna.

— I naszpikowałem!—wolał Hadziakiewicz,—naszpikowałem,—ale to nic. A jemuż się co dostało?

— Nie wiem,—rzekł Wacek.

Zawiązywano rany,—i przestraszony pierwszy przechodził, gdy panna Konstancja wyszła niespodzianie na ganek, o niczem nie wiedząc. Spostrzegła bladego i okrwawionego Wacka... krzyknęła i zapomniawszy się, przypadła ku niemu z takim wyrazem rozpacz i bólu, że przerażona sędzina pochwyciła ją, obawiając się, aby nie omdlała. Nie była to zwyczajna litość dla ranionego obojętnego człowieka,

w tym krzyku i zmienionej twarzy łatwo mógł poznać każdy, że Wacek nie był jej obojętnym...

Nie postrzegła się biedna panna Konstancya zrazu, iż zdradziła serca tajemnicę, nie zawstydzila się, ale przypadając ku siedzącemu, poczęła wołać z wyrazem niemal rozpaczliwym: —Zabity!

— Duszeczek... aniołku! — opamiętaj się... ale znikajże się... nic mu nie jest... lekko ranny,—wołała sędzina.

Wacek wstał, chwytając ją za rękę wzruszony... Nie wyrwała mu jej... stała odrętwiona, z wolna przekonała się i z mowy Wacka i z twarzy przytomnych, że nie było niebezpieczeństwa, dopiero rumienić się poczęła, cofnęła krok i zakryła oczy...

— Ranny?—spytała głosem cichym...—ale któż pana ranił?

— Żartem—tak—probowaliśmy się z kasztelanem.

— Żartem? z kasztelanem?—powtórzyła panna Konstancya, — żartem? — Spojrzała na otaczających,—krew? niema niebezpieczeństwa?

— Najmniejszego!—wykrzyknął Hadziakiewicz.—Co to to! jakby szpilką pokłóty! furda!

Jednakże Wackowi dosyć krwi upłynęło, bledy był i poprosił, aby go do jego pokoju zaprowadzono. Sędzina zamysłona wzięła za rękę Konstancyę i weszła z nią do dworu...

Mężczyźni ciągle się spodziewając wyjaśnienia jakiegoś—pociągnęli za rannym...

Panna Konstancya w milczeniu doszła z sędziną do swojego pokoiku, tu padła na krzesło, i zakrywwszy twarz chustką, rzewnie płakać zaczęła...

Biedna Rewnowska stała nad nią z niecierpliwością doświadczonej niewiasty, która wie, że się trzeba dać wypłakać, nim się badać zacznie. Powtarzała tylko pół głosem niekiedy:

— Ale moje dziecko!

I podawała jej wodę w szklance.

— Napij się—to cię orzeźwi...

Łzy tymczasem nie ustawały... Długo czekać było potrzeba, dopóki panna Konstancya nie uspokoiła się nieco. Podniosła zapłakane oczy ku sędzinie, i pocałowała ją w rękę...

— A! pani! co teraz ludzie powiedzą o mnie!

Milczała zapytana długo...

— No, cóż tam—co tam mają mówić? Złękałaś się.. Zresztą dawny znajomy, razemeście się wychowali...

Przeszła się po pokoju sędzina.

— Między nami mówiąc—mój aniele, chyba wy się kochacie? Hm! moja duszko, toż wiesz, my przeciwko temu nie mamy nic... Uspokój się. Sędzia sobie życzy tego maryażu... ja twojego szczęścia pragnę...

Ręce złożywszy, porwała się z krzesła panna Konstancya.

— A, moja najdroższa pani—matko kochana—za nic w świecie! ja za niego iść nie mogę

Sędzina stanęła tak zdziwiona, iż uszom wierzyć nie chciała, patrzała na nią wielkimi oczyma, jakby nie rozumiała.

— Tak! a! tak!—kończyła Konstancya,—ja iść za niego nie mogę, ale nie pójdę za nikogo..

— Tego to ja już nie rozumiem, duszeńko moja,—z cicha, łagodnie poczęła sędzina,—ale, uspokój-no się—wytlómacz...

Na rozplómiętej twarzyczce panny Konstancyi znać było egzaltacyę i poruszenie niezwykajne... W milczeniu łamała ręce, chcąc mówić i nie mogąc się zebrać na słowo. Gdy nareszcie odczwała się, głos jej zachrypły był i cichy...

— Posłuchaj mnie, mateczko,—mówiła,—potem powiesz sama, że inaczej uczynić nie mogę! A! tak, ja go kocham—to prawda... kocham go.. a nie godzi mi się ani mu tego przyznać, ani pójść za niego...

Zrezygnowana na to, iż nic tu zrozumieć nie będzie mogła, sędzina czekała wyjaśnienia...

— Ja go kocham—szeptała Konstancya,—a ukrywać to przed nim muszę... Ich jest dwóch braci... oni oba się razem pokochali we mnie, oba mnie kochają... Póty są w zgodzie, dopóki odmawiam obu — ręka moja wniesie waśń śmiertelną między braci... Mamże ja dla szczęścia mojego rozdzielić ich i uczynić wrogami!

Al! to nie może być i nie powinno... Kocham tego, tamtego mi żal—nie pójdę za żadnego z nich, aby w zgodzie i pokoju żyli z sobą...

Mówiła żywo, patrząc w oczy sędzinie, która słuchała z natężoną uwagą, ale zdawało się, że tego rozumowania jakoś pojąć nie mogła.

— Uspokój-no się, kochanie moje,—rzekła powoli—bo zbytecznie jesteś jakoś zaafektowana... Rozmyślisz się... Ducha Świętego wezwiesz na pomoc... wszystko się ułoży... tylko się uspokój, kochanie moje... pomódl się... Słowo daję... ja nic nie rozumiem!

Pocałowała ją w głowę sędzina,—myśląc w duchu:—Ani wiem, co począć... bałamuci... egzaltowana... Trzeba się poradzić z jego-mością.

— Uspokój się,—dodała, całując znów Konstancję, która płakała ciągle,—zostawiam cię na chwilę samą... połóż się... odpocznij...

I wyszła na palcach z pokoju, mocno skłopotana, wprost do męża na naradę.

Sędzia poruszony i gniewny, właśnie był od rannego Wacka, zdawszy go Hadziakiewiczowi, powrócił do swojej kancelaryi i przecha-dzał się po niej, pomrukując sam do siebie, gdy weszła żona na palcach, po cichu... Z twarzy jej widać było jeszcze i strach zaledwie prze-byty i smutek a niepewność. Spojrzało na siebie małżeństwo...

— No, cóż jejność na to? A to mi się pięknie

spisał kasztelanic... Niewinnego człowieka na szerokiej drodze napaść... ni przypiął, ni przyłatał! bij się... to fiksat! furyat! zamknąć go do czubków!

Sędzina stała zamysłona...

— A już to prawda,—odezwała się,—Bóg nam dał niespodzianie odnaleźć tę zatraconą sierotę, ale powiem ci, kochanie... że kłopotu z nią... Ja już nie wiem, jak my z tego wyjdziemy? Wystawże sobie...

— No cóż! co? Kochają się z Wackiem! powiesz mi? Ja to dawno przewidywałem... Nie ma w tem nic. Sprawi się wesele i będą szczęśliwi...

— Tak to jegomości powiedzieć łatwo... Gdzie! zas! gdzie!

— Ależ o mało nie omdlała, gdy go zobaczyła rannym,—krzyknął sędzia... Ślepyby zobaczył, że go kocha...

— A kocha,—rzekła sędzina smutnie potrząsając głową... Sama mi się do tego przyznała, ale to w tem właśnie sęk... wyobraź sobie...

Tu w czoło uderzyła się ręką.

-- W głowie u niej... licho wie co!

-- Jak to? cóż? co?

-- Co? albo ja wiem co? Dosyć, że mi powiedziała:—Kocham go, ale za niego pójść nie mogę.

Sędzia stanął, dziwne miny robiąc z podziwu.

— Tobie się przysłyszało? kochanie mój! Cóżby to znaczyło...

— Jakaś historia romansowa... Jak żyję, nie podobnego nie słyszałam—ciągnęła dalej sędzina. Jest ich tych Paczurów dwóch braci. Otóż ona powiada, że oni się oba w niej kochają i przez to między sobą się zaczęli nienawidzić. Ona tedy postanowiła nie iść za żadnego, aby między bracią waśni nie robić...

Słuchał sędzia, słuchał i splunął.

— Racya fizyka!—odezwał się wreszcie,—racya fizyka!.. At! babskie gadanie... Wszystko się to ułoży... Bracia się pogodzą, Kostusię wydamy i będzie po Bożemu. Tamten sobie drugą znajdzie... ale kasztelaniciowi tego nie daruję...

Gdy sędzina się przekonała, że mąż jej nie brał tego na seryo—i w nią duch wstąpił,—nabrała otuchy, że się to wszystko da jakoś ułożyć szczęśliwie.

Przybyły cyrulik poobwiązywał rany Paczurze; nie opuszczał go też Hadziakiewicz, rad, że się przy tej zręczności wykrzyczeć i wyhałasować może. Ks. Sobrański przez litość znowu zaszedłszy do chorego, siedział nad nim, modląc się po cichu, ze złożonemi rękoma... Stary Rewnowski pierwszy odszedł, gdy się dowiedział, jak rzeczy stały. Rany nie były niebezpieczne... ale nudnie wymagano od Wacka szczegółów o tym pojedynku, których



on opowiadać nie chciał, znajdując go śmiesznym. Był takim w istocie. Nie pochwalił się tem nawet, że i on—tak było w istocie,—kolnął parę razy kasztelanica, nim mu ten szpadę wytrącił. Pocij miał rękę przebitą, i bok raz dotknięty... Nie zważał na to w pierwszej chwili, choć wsiadłszy do powozu, uczuł, że mu krew płynęła z ręki obficie. Trafem, rana ta była niemal niebezpieczniejsza od zadanej Wackowi, bo sięgnęła nadwerżyła, i Pocij zaledwie dojechawszy do miasteczka, musiał dla bólu i krwi upływu kazać się opatrzyć...

Sapieżyński doktor, Niemiec, kiwał głową, grożąc mu, że na fletrowersie, na którym wirtuozem był, może już grać przestać będzie musiał, —klął więc kasztelanic szlacheckie dwory i znajomości, gdy we dworze szlacheckim nawzajem na pańską butę i fantazyę narzekano. Choroba Wacka przeciągnęła się, musiał siedzieć w izbie dla obwiązanego boku tak, że nawet panny Konstancyi nie widywał, której współczucie za serce go ujęło tak, iż się czuł niem szczęśliwy i obiecywał sobie wiele.

Sędzina tymczasem usiłowała ciągle płaczącą i smutną synowicę nawrócić i przekonać, że dla imaginowanej niezgody braci, nie powinna siebie poświęcać, gdy ma do jednego z nich przywiązanie. Panna milczała, ale mocno przy swoim stała.

Wyzdrowiał w końcu Wacek o tyle, że mógł

przyjść do pokoju, a śpieszno mu było, aby prędzej pannę zobaczyć. Powitała go Konstancya bardzo mile, serdecznie, a sędzina, ułatwiając im porozumienie, zostawiła ich samych, nie wątpiąc bynajmniej, że dziecinna obawa Konstancyi ustąpi.

Miał tę nadzieję i Wacek, jakoż korzystając ze sposobności, chwycił za rękę pannę, zaklinając ją, aby mu szczęścia dla skrupułu dziwnego nie wydzierła...

Panna Konstancya miała czas się namyslić, kazała usiąść Wackowi, i odpowiedziała mu poważnie i chłodno.

— Nie jest to zbyt ni skrupuł ani fantazyja... Zważ pan sam... Wincenty mi się z miłością oświadczył jak i pan... gdybym za pana poszła, musiałby wyrzec się domu naszego, a waćpan brata, związki krwi byłyby zerwane, żal do waćpana zachowałby na zawsze... Nie może to więc być, abysmy się pobrali.—Nie pójdę wprawdzie za innego, ale za pana nie mogę...

Napróżno Wacek błagał i prosił, panna była nieporuszona,—zarazem jednak okazywała mu tyle przyjaźni, tak była spokojną i niemal wesołą, że Wacek nie zdesperowawszy jeszcze postanowił użyć wpływu sędziego, i samej panny, a przy swoim obstawać.

Sędzina codziennie prawie nalcgała na Konstancyę, która ją całowała w rękę, milczała, słuchała, a przekonać się nie dawała.

Spróbował sędzia wymowy i argumentów przekonujących, których siły był prawie pewien. Z godzinę siedział z Konstancją, przemawiał do serca, przywodził przykłady, starał się ją skruszyć obrazem nieszczęśliwego młodzieńca,—słuchała go z uszanowaniem, lecz... odpowiadała, że sumienie jej na to małżeństwo nie dozwala...

— A! no—dodał sędzia,—ja sobie postanowiłem nie zmuszać i nie namawiać cię—rób, jak chcesz. Zatem trzeba o Wacku zapomnieć, a innego sobie wybierać...

— Kochany stryju,—odezwała się Konstancya, w rękę go całując,—czy już wam tak pilno pozbyć się mnie z domu? Ja się wcale nie śpieszę za męża! po cóż mnie wypędzacie?

— Bo nie chcę, abyś waćpanna u nas doczekała Jezusowych latek i wyszła na zgryźliwą starą pannicę, — rzekł sędzia.

— Ja zgryźliwą nigdy nie będę!—rozśmiała się smutnie Konstancya... — Dobrze mi u stryjostwa, mogę się im przydać może... za cóż mnie z domu wygonić chcecie?

— Ale, dziecko moje!—protestował sędzia.

— Pozwólcież mi zostać! Nie tęsknię za zmianą stanu!

— Dziewczyna uparta! — powiedział sobie wychodząc sędzia,—uparta! Dajmy działać czasowi...

Wróciwszy do kancelaryi, kazał zawo-

łać Wacka i radził mu nie nalegać i nie nacierać, a wytrwać, nie siedzieć ciągle, ale przyjeżdżać często:—Panna ma dla ciebie skłonność skrupuły z czasem przejdą... Jakoś to będzie.

Idąc za radą Rewnowskiego, Paczura jak tylko mógł bezpiecznie jechać, pożegnał Muchomory, i ruszył do Zalesia, a najprzód do stryja, aby go uspokoić. Wieść się bowiem była rozeszła o niedorzecznym pojedynku, nie z winy Wacka, ale kasztelanica, który o nim rozpowiadał, nosząc dotąd rękę na temblaku.. A że tam nie wiedzieć co opowiadano i w Borusławicach i w Zalesiu, stryjowi winien był wypowiedać się, jak to było.

Czekał też na niego niespokojny ks. Paczura, zgryziony wielce. Oddziało to na jego zdrowie, nawet i na nogi był cierpiący. Holłowicz w tem utrapieniu placu mu dotrzymywał i rozmowę bawił. Właśnie i teraz siedział z nim, gdy Wacek nadjechał. Stara Magdalena, wiedząc, jak proboszcz niecierpliwie wyczekuje Wacka, pierwsza przybiegła dać znać, że jedzie, za nią wpadł Mamert, nie wiedząc że ona go uprzedziła, naostatek głupi Bartoch, zdyszany, drzwi otworzył, głowę wścibił i nic nie mówiąc, rozśmiał się na głos... Był pewien, że go proboszcz zrozumie.

Poprzedzony przez tylu posłów, nadjechał Wacek. Ks. Paczura stał w progu czekając, do uścisku gotów.

— Żeby cię Bóg kochał! i ciebie i Wicka,— zawołał proboszcz. Co tu pomoże i opieka Boska i staranie ludzkie i szczęście, kiedy rozumu niema... Siadajże! A zbladłeś! Krwi ci utoczyli...

Ksiądz z niepokoju i miłości nie wiedział sam, co ma mówić. Czuł się w obowiązku dać moralną naukę...

— A bo—sam sobie winien jesteś!! Po co to kochanie... te amory! te imaginacye! po co! Zastruwacie mi starość... No widzicie... widzicie! starostwo tacy łaskawi... i tego... O! mój Boże! mój Boże!—westchnął starowina.

— Kochany stryju—rzekł Wacek,—ale ja bo się nie czuję do winy...

— A któż? ja winienem?—spytał ks. Paczura...

Błada twarz delikwenta już się nad nim więcej znęcać nie dopuściła, ksiądz rad był, że go widzi, i gderać nie myślał. Dopytywał tylko o pojedynki i rany, które, jak zapewniał Wacek, pogojone były.

Potem zajęto się podwieczorkiem. Dopiero po odjeździe Hołłowicza, proboszcz zapytał:

— Cóż?—żenisz się—nie?

— Panna dotąd odmawia... muszę czekać...

Spuścił głowę ks. Paczura i począł chodzić po izbie wzdłuż, z tyłu za sobą ciągnąc chustkę.

— Ja ci tam nie nie będę gadał,—począł

powoli,—bobyś ty mnie nie zrozumiał, a gotówbyś starego dziwakiem ogłosić—ale z temi waszemi miłościami dzisiejszemi, to czysta swawola. Ludzie się wszyscy kochać powinni; dziewczyna uczciwa, dobrych rodziców, pobożna, nie brzydka, powinna każda młodemu mężczyźnie przypaść do serca... Małżeństwo sakrament, nie traktament... Dalipan! hm! wam koniecznie bo tej jednej potrzeba, do której się fantazyja czepia... Asindziej jak i Wicek moglibyście się dawno pożenić z uczciwemi dziewczętami, ale nie—chce się tej bo jednej, której dostać nie można! Co z wami robić!! Kara Boża!

Nie umiał Wacek co innego odpowiedzieć nad to, że się żenić nie chce...

— A to źle,—odparł ksiądz.—Żenić się potrzeba, aby nie broić, mówi Święty Paweł—ale w ożenieniu szukać nie zabawki, tylko obowiązku... Stary Testament przykazywał pilno młodemu ożenienie... Cóż? wagabundować po świecie? wzdychać do księżycy...

Ks. Paczura tak wypowiedziawszy swe przekonania, dosyć dla młodego niesmaczne,—pryszedł go uściskać, aby surowy ton swych wymówek złagodzić stryjowskim pocałunkiem.

— Tak się to mówi—rzekł—z obowiązku kapłańskiego,—nie dzieci jesteście, rozum macie, róbcie, co wam się zda lepszem, byleście o Bogu nie zapominali. Ja, stary, wkrótce oczy

zamknę... a radbym was widzieć już obu postanowionych, jak należy i szczęśliwych...

Po skończonej rozmowie pojechał Wacek do Zalesia. Tu go znów wzięto na nowe konfessaty, ale starosta nie namawiał do niczego, dopominał się tylko, aby lasy objechać. Już mu donoszono, że tu i owdzie sąsiedzcy chłopci do lasów wpadali. Kazał nazajutrz zaraz na konia siadać, a wieczorem dokumenta były do przepisywania. Starościna ledwie się doczekawszy, aby mąż skończył z Wackiem, zabrała go do siebie. Miała przeczucia, że tam jej wychowance tak dobrze, tak spokojnie, jak u niej być nie może. Musiał Wacek opowiadać, jak mieszka, jak się ubiera, co robi, jak ją kochają, i czy nie smutna, czy nie zmizerniała, czy ją głowa nie boli?

Sercem nie przybranej ale prawdziwej matki bolała nad oddaleniem Kostusi. Coraz nowe sypały się pytania. Musiał Wacek dwór opisywać, opowiadać o strukczaszynie, o pannie Mickiej, o życiu, obyczajach, o sąsiedztwie, nawet o tem, jak tam jadano, i czy Kostusi nie szkodziło inne pożywienie. A wszystko się jej tam nie podobało...

Gdy późno już Wacek dokończył, starościna wzdychając rzekła, biorąc go za rękę:

— Nie może to być, abym ja tam nie dojechała... Waćpan mi będziesz towarzyszył... Ze starostą nadrobię, aby mi koni dał i na kilka

dni puścił... Tęskno mi do dziecka, które pan Bóg dał na to, abym się niem nie nacieszywszy, postradała... Choć pojedę, zobaczę. Nic asindziej nie mów. W dobrą chwilę wyrobię to u Jegomości...

---

Nie wiem, czy kto temu uwierzy—ale jest to najprawdziwszą prawdą, że *status quo*, jakieśmy opisali—trwało jeszcze lat około dziesiątka...

Panna Konstancya była już prawie starą panną, choć tego po niej widać nie było; wszyscy żyjący bohaterowie powieści naszej, postarzeliby po trosze i widzieć się to na nich dawało...

Wacek opalił się, schmurniał, dostał trochę marszczków na twarzy—kilka razy w rok przybywał do Muchomorów, bawił po dni kilka, panna go mile zawsze przyjmowała, a że natarczywym być poprzestał, chętnie z nim i długo rozmawiała,—ale gdy zagadnął o małżeństwo, główką tylko potrząsała.—Nie i nie!

Za każdą też bytnością jego zapytywała na przód:

— Widział pan pana Wincentego?

Wacek, ten włożony na siebie obowiązek, widywania się kilka razy na rok z bratem, spełniał jak najpilniej. Jeździł do niego, bawił po dni kilka, polowali nad Bugiem, rozmawiali po całych nocach, a jak gdyby umó-



wionego co między nimi już było, żaden o pannie Konstancyi ani wspominał.

Wicek prowadził takie życie, jak gdyby pragnął pracą i trudem nieustannym zabić w sobie uczucia i wspomnienia. Gospodarz był zagorzały, nudny, drobnostkowy i egzaltowany razem. Stał godzinami nad robotnikiem, gdy przyszła orka, chodził w ślad za pługiem, czasem zniecierpliwiony, brał sam w rękę sochę, albo radło, i pokazywał, jak się z rolą obchodzić powinno... Każdy posiew tak go zajmował gorąco, jakby dramat namiętnego widza... Co będzie ze wschodem ziarna? a nuż posucha? a nuż chłód? nuż się zaostrzy? nuż spóźni? nuż wybują? a tu pogoda nigdy taka nie przyjdzie, jakiej się gospodarz spodziewa... Zeszły oziminy dobrze, ruń piękna... nadchodzi zima. Tu dopiero—co Pan Bóg da... Śnieg może paść na niezmarzłą ziemię—wyprzeje.

Przez całą zimę myśli się, co to wyjdzie z pod śniegów? Nareszcie skowronek zaśpiewał... Kotki na wierzbach, leszczyna kwitnie... Wiosna!! Złazą powoli skorupy śniegowe... czarno... Każdego dnia, co rana w pole się leci—zielenieje czy nie? W niektórych miejscach zboża ani znaku—odorywać czy nie? Czekać jeszcze? Siać na nowo? Później czy pójdą pogońce na rzadkiem życie? czy pszenicę skosić czy nie? Nuż wylegnie?

Dramat urodzaju rozwija się powoli. Po-

sucha!! nieszczęście—moczy... liście żółkniją. A co będzie na kwiat? Nuż chłody, albo wiatry, i ulewy... Lada burza może sypnąć gradem... W jednej godzinie całego roku praca w niwecz idzie. Wreszcie wszystko się przetrwało.. kłos nabrał, schyla się, złoci... Co to będzie we żniwa? Czy się to da zebrać sucho... A tu o robotnika trudno? Pszenica już w kopach, ale i w nich porosnąć może... Dwa, trzy dni słoty, i czapki zielenieją!! Zwieziono ją do stodoły? Jaki będzie wydatek? jakie ziarno? Dalej, jakie ceny? Czy sanne Bóg da na dostawę...

Wszystko to zarazem płacze się i miesza... Ledwie zebrane jedno drugie się już sieje.—Serce trzeba dzielić między rolę a stodołą, między tokiem, a zagonem.

Podobne historie z sianem na łąkach, z jarzyną, z ziarnem. Wydarło się kosztownie kawał pola z pod lasu, wykarczowało, wypaliło, posiało len albo proso,—ale czy one zapłacą robotnika?

Z końmi też jest czem się zatroskać, żeby tego parobcy nie pomarnowali,—z bydłem, aby się przezimowało,—z owcą, aby motylcy na moczarach nie dostała; na ostatek z domową czeladzią, aby się ani do zbytku kłóciła, ani nadto nie kochała.

Wicek, biorąc to wszystko do serca, zrobiwszy sobie z tego cel życia, nie miał i chwili odpoczynku... Zmęczony, potem spał jak kłoda,

a obudziwszy się, musiał lecieć, bo tam już zawsze coś czekało na niego. Zimą—ba! była staroświecka gorzelenka, śmierdząca, na której wódkę brzydką pędzono, i przy niej szopka, gdzie stały woliki domowe, które sprzedawano, gdy potłuszczały, z zarobkiem. Trzeba więc było wstać do zacicru, wstać do rozdawania brahy, dopilnować, aby gdzie parobcy ognia nie zapuścili... a gdy z blaszanej rurki zardzewiałej poczęła kapać śmierdząca siwucha, by jej zbyt nie podstawiano półkwaterków defraudowanych.

Nie miał czasu Wicek próżnować, choć się zawsze kochał; w tej pracy utył nawet jak prosty parobek. Brat, który do lasu prawda jeździł, ale i na pokojach czasu wiele tracił, i był więcej do ludzi, miał Wickowi za złe, że tak się zakopał, zardzewiał, a od gospodarstwa nawet ruszać się nie chciał.

Ledwie raz w rok się wybrał z tenutą do starosty, a najwięcej dwa do stryja, któremu z leśnych produktów coś do spiżarni przywiózł: to rydzów faseczkę, to miodu trochę, to serków, to masła... a nawet kaszy jaglanej, gdy się pięknie udała...

Skutkiem tej pracowitości i bardzo skromnego życia, Wicek ani się opatrzył, jak najuczciwiej w ciągu tych lat, znacznego się dorobił kapitałiku. Dziwiło go to samego i pytał się siebie czasem—na co mu się to przydać może?

Odpowiedzieć było trudno—ale szło, więc szło i bez myśli się ciulało.—Niech to sobie będzie...

W pierwszym roku żywej duszy nie widywał Wicek, oprócz wołów swoich i koni, a parobków. Pobożny jednak do kaplicy w Uściługu dojeżdżał, do kościółka w Horodle, tu zwykle stawał w kacie, pomodlił się i z nikim nie zadając, odjeżdżał do domu...

Myśliwstwa wielkim miłośnikiem nie był, jednakże wilec szkodę robili, a czasem zwierzynę zażądał starosta, polowanie więc się urządzało. Jakos drugiego czy trzeciego roku na jednym takim polowaniu, które wypadło u samego skraju lasów, trzeba było wypadku, że się Wicek zetknął z innymi myśliwymi z sąsiedztwa. Byli to panowie Mysłowscy, ojciec i syn, dzierżawcy też, od dawna dobra w sąsiedztwie trzymający. Ci się bardzo pragnęli poznać z sąsiadem, ale głoszone go dzikim, więc się mu nie narzucali. Tu nadarzyła się zręczność. Wicek uprzejmie ich powitał, zawiązała się rozmowa, naturalnie nie o czym innem, tylko o gospodarstwie... Mysłowscy mieli wódkę i bigos, prosili na przekąskę. Przy śniadaniu zawiązała się dobra znajomość. Stary Mysłowski, szlachciec dawnej daty, ze wszystkimi przymiotami i wadami stanu, „jak mnie widzisz, tak mnie pisz”—i serdeczny i przebiegły, otwarty i filut,—ale z kośćmi pocziwy—uwziął się

Wicka mieć przyjacielem. I on i syn tak ja-  
 koś chodzili koło niego, że go do siebie zacią-  
 gnęli. Choć na dzierżawie, Mysłowski żył nie-  
 mał po pańsku. Dzierżawa była dobra, a oni  
 lubili żyć i postawić się. Konie, stół, wino  
 mieli wytworne... Gdy po raz pierwszy przy-  
 był tu Wicek, wyszła do obiadu pani Mysło-  
 wska z córeczką, mogącą mieć lat ze dwanaś-  
 cie. Zobaczywszy ją, osłupiał Wicek... te sa-  
 me pytające oczy czarne, też same miała dłu-  
 gie ciemne warkocze—była podobną, a raczej  
 mu tak przypominała Kocię, gdy ją z bratem  
 z za szpaleru po raz pierwszy widzieli,—że na  
 widok jej, jakby mu młodość jego nagle wró-  
 ciła—o mało nie zapłakał... Przez cały czas  
 oczyma wyrostka ją ścigał, a serce mu biło. Po-  
 wagę miała też sama!!

Powróciwszy do domu, Wicek wmówił  
 w siebie, że to była czysta imaginacya.

— At! co na myśli, to się w oczach roi!  
 Gdzie zaś! ani się umywała!

Splunął, otrząsł się i chciał zapomnieć.—  
 Długo potem u Mysłowskich nie był,—chciał  
 zapomnieć tego widziadła, wyrzucając sobie,  
 że mógł być tak dziecinny... Znowu wcią-  
 gnęli go Mysłowscy, pojechał i—toż samo mu  
 zrobiła wrażenie. Dzieweczka rosła i dojrze-  
 wała w oczach... Matka się nią cieszyła, a że  
 córek więcej nie miała, już wyrostek, niby  
 w domu gospodarzył... Kręciło się to i uda-

wało gosposię, z kluczykami chodziło, a miało taką powagę i rozumek, że miło było na nią patrzeć.

Do Wicka kilka razy zagadała śmiało jak dziecko... O cudło! nawet głos jej przypominał niezapomnianą!!

Wickowi było i miło i przykro... Miał na sumieniu, że śmiał porównywać tę dziecinę jakąś, z tamtem bóstwem swoim. Wyrzucał to sobie jak apostazyę i niewierność, lecz próżno walczył z sobą,—dzieweczka go ciągnęła jak jakaś zagadka... Ale—dziecko to było...

W oczach jednak pana Wincentego z pączka wyrastał kwiatek, z dziecka robiła się dziewczeczka, panienka, panna...

Zaczęto już mówić w sąsiedztwie o pannie Zuzi Mysłowskiej, jako o ślicznej osobce, któraby nawet już i za mąż pójść mogła, choć matka się zaprzysięgała, że jej młodo nie wyda... Kawalerów już roilo się wielu... Zuzia na nich ani patrzała... Gosposią była, dumną ze swoich kluczyków, a faworytką w domu... co jej tam było tak prędko iść za mąż!

Wicek, który zrazu rzadko bywał, a poznał ją dzieckiem niemal, oswoił się z nią wielce. Byli z sobą dobrymi przyjaciółmi, bez ceremonii. Ta przyjaźń taka stara, rosnąc, stawała się coraz trwalszą i mocniejszą. Wicek się zapominał na poufałej gawędce z panną, ona go lubila. Najczęściej mówili z sobą i sprze-

czali się o coś gospodarskiego, o kury, o gołębie, o ogrodowinę, o motki, o takie prozaiczne rzeczy, że w tem sentymencie, między talki i marchew, nie sposób było pomieścić.

Ale spory odbywały się wesoło i zabawnie, Wicek słynął jako gospodarz, Zuzia miała pretensję być gospodynią, jakich mało... Rodzaj współzawodnictwa zawiązał się między nimi... Ile razy przybył do Mysłowskich, wnet mu się chwalono z czemś, a on się popisывał też z tem, co u niego się zrobiło.

Raz okrutna sprawa była o dynię, którą się Zuzia chwaliła, a która miała ważyć coś około trzydziestu funtów; Wicek ręczył, że u niego są większe i przywiózł w beczce takiego olbrzyma, że otrzymał zwycięstwo.

— Ale to pięknie, pięknie! że pan mnie dałeś harbuza!—cicho, żartem, szepnęła Zuzia...

Wicek się zaklął, że nie miał złej myśli, A! w istocie—marzyło mu się całe co innego tylko w sumieniu czuł się nieczystym, zdradzając miłość starą, pierwszą, najdroższą.

Czy państwu Mysłowskiemu przyszło kiedy na myśl, że z tej przyjaźni co więcej być może?—odgadnąć trudno.

Przyjmowali serdecznie sąsiada, ile razy przybywał, a dawano mu swobodę zabawiania się z przyjaciółką, najzupełniejszą. Zuzia chętnie bardzo, może chętniej niż do młodszych, wybiegała do pana Wincentego, aby się

z nim pośmiać i pogawędzić. Różniła ją ta chwilowa wesołość od panny Konstancyi, ale—ale—Wicek znajdował, że wesołość Zuzi do powagi Kostusi, jak dwie krople wody była podobną.

Mybyśmy za to nie ręczyli—oczy jednak czarne miały wyraz ten sam głęboki, zadumany, pytający, niepokojący, i choć usta się śmiały i szczebiotały—one patrzyły uroczyście.

Gdy panna dorosła, Wicek uczuł się nie-szczęśliwym, niespokojnym, jednym słowem zakochanym. Najgorzej było, iż mu się zdawało, że kochał zawsze tamtą, a tę w dodatku... że może ta miłość była jakąś fałszywą i niepocziwą.

Zaklął się więc po jednych odwiedzinach:—Więcej nie pojadę!—i nie był cztery miesiące. Kawał czasu.

Aż jednego dnia przybył Mysłowski stary sam.

Wicek w kożuszk domowym był właśnie na oborze, wyszedł do niego jak stał...

— Panie Wincenty, a już też tego nadto,—rzekł Mysłowski,—czy się gniewasz, czyśmy cię urazili, nie wiedząc, co to jest u Boga? cztery okrągłe miesiące nie byliście u nas! a czy się to godził!

Wicek się tłumaczył, że czasu nie miał. Mysłowski nie wierzył.

— Będę sądził, że chyba, dalipan, się gnie-



wacie—odezwał się odjeżdżając Mysłowski,—  
jak u mnie pojutrze nie będziecie na obiedzie.

Wicek przyrzekł, że przyjedzie. Zadany  
mu gwałt był wcale na rękę... Pojechał.

Trafiło się, że na samym wstępie w pokoju,  
spotkała go jedna Zuzia.

— A! toż cud!—zawołała.—Pan! pan Win-  
centy! Oczom nie wierzę! Cożes się pan prze-  
gniewał?

— Ja się nigdy nie gniewałem...

— I ani razu pan nie byłeś—czte-ry—mie-  
sia-cel! Podniosła palce do góry — czte-ry  
mie-sia-cel!

Wicek tak był szczęśliwy z widzenia jej, iż  
zapomniał się, za rączkę ją chwycił i—poca-  
łował.

Pocałował? toby było nic... Wszyscy naów-  
czas panie całowali w ręce—ale przyzwoicie,  
skromnie, a pan Wincenty porwał tę rączkę  
i cały zaczerwieniony, — jak zaczął całować..  
nie było temu końca... Byli sami. Panna  
ze strachu, czy coś, ręki mu nie wyrywa-  
ła — całował, aż się zarumieniła jak wiśnia,  
aż ją strach wziął i serce jej bić zaczęło...  
Matka nadchodząca z wymówkami—trafiła na  
to całowanie, i coby się miała pogniewać, pod-  
biegła ku niemu radośnie...

— A! przecież pana oglądamy!

Zuzia ustąpiła, ale rzuciła okiem na Wickę  
i—dobiła go...

Co się z nim stało od tego momentu, nie wiadomo. Siadł przy Zuzi—i ani się ruszył od niej, zagadali się, zaczęli się śmiać... zapomnieli, nikt im nie przeszkadzał, i cały dzień do późna byli z sobą.—Mówili tylko o gospodarstwie—co zaś tam ich oczy gadały, tego, jak wiadomo, nikt nie może wytłómaczyć, prócz tego, do kogo to adresowane.

Dosyc, że gdy o szarej godzinie wyjeżdżał Wicek, panna mu szepnęła u progu:

— A niechże też bo pan całemi miesiącami o nas nie zapomina.

Jakoś we dwa potem miesiące, w Borusławicach zjawił się Wicek w porze, w której tam bywać nie zwykł. Niczmierną z tego miano radość — ks. Paczura niedomagający, aż się rozplakał. Znowu cały dwór, jaki jeszcze żył, i ruszał się, zbiegł oglądać panicza, choć on już wyglądał weale nie po paniczowsku. Co najwięcej dziwiło proboszcza, że Wicek, co bywał zwykle chmurny i posępny, tym razem śmiał się i zacierał ręce, a wesołą miał twarz na podziw, i żartował sobie z Magdaleny, że za mąż nie poszła... Nie było to w jego obyczaju. Z bryczki, faszeczek, kobiałek, koszyków, węzelków, nadobywano do spiżarni co niemiara...

Po obiedzie, na który teraz regularnie przyjeżdżał Hołłowicz, pod pozorem dotrzymywania kompanii proboszczowi, w istocie dla tego, że mu w domu dzieci dokuczały, — Wicek

wziął na ustęp stryja do jego sypialni, i siedzieli tam, jak ciekawy a niecierpliwiący się obrachował dzierżawca, blisko trzy kwadranse.

Z sypialnego pokoju, przedzielonego od sali komórką, niekiedy dochodziły głosy, które Hołłowicz usiłował podsłuchać i zrozumieć—ale, że mu się zbyt przybliżać nie wypadało, bo lada chwila mógł ktoś wejść i złapać go na uczynku,—tylko jakieś wykrzykniki wesołe chwytął—i śmiech ks. Paczury... to znowu jak groch sypiące się gęsto wyrazy Wicka, opowiadającego żywo.

Co to mogły być za sekreta, do których on nie był przypuszczony, nie miał wyobrażenia dzierżawca... domyslić mu się było niepodobna. Wiedział jednak, że księżyna się przed nim z tem wygada. Urazę miał do Wicka, który go eliminował z tak zajmującej rozmowy.

Gdy wreszcie po tych trzech kwadransach wyszli znowu do wielkiej izby, ksiądz miał twarz rozjaśnioną, rozpromienioną, z jednego oka łza radości mu ciekła... a usta się widocznie uśmiechały. Jednakże siadłszy, zaczęli zaraz o czem innem mówić, i Hołłowicz przez punkt honoru nie zaczął.

Wicek miał jechać do pana starosty, i widzieć się nazajutrz z bratem,—lecz Wacek był w Muchomorach od tygodnia, i parę dni tam miał jeszcze zabawić.

Zastał tylko starego procesowicza, który w papierach się grzebał jak zwykle. Gdy mu o Wicku oznajmiono, zdziwił się, że gospodarstwa w gorący czas odjechał, zląkł się nawet, czy się tam co nie stało.

— Jak się masz asindziej! Pan Jezus przy Waszeci! Co tu robisz? To dopiero gość! Siadaj i praw, co wieziesz, bo żeś nie darmo przybył, to pewna...

— Pan starosta zgadł,—odparł Wicek,—przyjechałem po błogosławieństwo!

— He?—spytał starosta,—po co?

— Po błogosławieństwo...

— Cóż to? przecież ci panna Konstancya z głowy wywietrzała? A to—winszuję...

— Przepraszam pana starostę, takuteńką drugą znalazłem...

— Żartuj zdrów!!—poważnie odparł Śniehota.. — takie Kostusie na kamieniu nie rosną..

Wicek zaczął się tłómaczyć, opowiadać, słuchał starosta długo, wreszcie go za rękę chwycił:—A wiesz, co ja ci powiem?!

— Co każe starosta...

— Figlasplątamy Wackowi. Asindziej wiesz, że panna Konstancya za niego nie szła, boś się ty w niej kochał... Supponuję tedy, że teraz, gdyś ty sobie dubeltową znalazł, ona już wyjdzie za Wacka, i poczciwy Wacek będzie szczęśliwy... Proś-że go ty na wesele nie mó-

wiąc na co i dla czego... podwoi niespodzianka radość!

Figiel pana starosty nadchodzącej pani zdał się niedobrym, ona i dla swej Kostusi i dla Wacka chciałaby była jak najprędzszego rozwiązania, starosta się uparł... Była tedy lukta długa, a że stary pan przy swych fantazyach stał i Wickowi za to rok dzierżawy chciał darować — trzeba było słuchać... Miał to w charakterze swym starosta, że i w procesach i w innych życia przygodach, figle i niespodzianki lubił. Nie oszczędzał ich i żonie — choć czasem więcej strachu, niż przyjemności przynosiły. Uparty był stary... Cieszyło go to zawczasu... Zaraz chciał nawet ślać do proboszcza, aby z sekretu nie wydawał, i zabiegał tak, że się po jego woli stać musiało.

Wicka obdarzonego nazajutrz odprawił do domu.

Gdy z Muchomorów powrócił Wacek, dowiedział się o bytności brata, i przyszedł dopypywać, co go sprowadziło.

Starosta minę zrobił smutną.

— Żal mi go nieboraka, — rzekł, — niech to będzie między nami, ale tego roku noga mu się pośliznęła, i na dzierżawie stracił tak, że przyjechał się od tenuty wypiaszać... co było robić? — musiałem mu defalkować...

— Ale czyż może być! — zawołał Wacek, — urodzaje były śliczne...

— Zachciałeś — grad powytlukał... Dużo w kopach porosło. On co zawsze bywało na samej pszenicy tyle zarabiał, i kopy nie miał suchej. Bydło mu na języki się pochorowało, owce zamotyliczone... Formalna klęska.

Zgryzł się Wacek mocno.

— Niech to będzie między nami, prosił mnie o sekret...

Trochę mając zapasu, chciał heroicznie bratu nim służyć Wacek, a że go był ulokował u starosty, odezwał się z tem, a Śniehota go zburezał.

— Dajże pokój—da on sobie rady... Nie masz się co z zapasów odzierać—ja mu już pomogę...

Niespokojny był Wacek, lecz że od brata wiadomości żadnej nie miał, a przycichło ztamtąd, czekał, czy się nie odezwie.

W parę miesięcy potem, jakoś już jesienią późną, odebrał list od Wicka.

Pismo było jakoś niezrozumiałe, a tak się zdawało niedorzeczne, że z niem do starosty przyszedł...

— Co to tam za papier trzymasz?—spytał Śniehota.

— List od mojego brata—zebrał się nareszcie napisać, ale mu się czy w głowie pomieszało,—czy co takiego?

— Cóż on tam pisze?—Starosta spojrzał z mi-

ną bardzo nasepioną,—a wiedział dobrze, co stało w liście.

Wacek ciągle ramionami zżymając i cudując się—począł czytać. W istocie, list był dziwaczny. Wicek zaklinał brata, aby dla bardzo ważnego interesu, znajdował się w Horodle na dzień i godzinę naznaczoną. Tak to było enigmatycznie ułożone, iż nie wiedzieć czego się domyslać, ale pojedynku najprędzej. Starosta, który list kazał sobie podać i sam go odczytał, był też tego zdania, że pewnie szło o wyzwanie na rękę.

— Otoż biedy napytał,—rzekł,—a nigdym się tego po nim nie spodziewał. Prawda, że żywy jest, ale ludziom nigdy nie daje powodu do zaczepki, zkąd mu to przyszło? Hm—osobliwa rzecz... A no—krew nie woda! i to po ludziach chodzi.

Wacek chciał się wybrać wcześniej, starosta go nie puścił. Gdy do odjazdu przyszło, zawołał go do siebie, i uczynił mu tę uwagę, że choćby i o wybitą szło, należało garderobę wziąć najlepszą, bo potem zgoda i festyn nastąpić może, a gdyby i pogrzeb nawet, na który się ubrać pięknie należy.

Z niezmiernym niepokojem w duszy wyjechał Wacek. Staroście nie go żal było, podszeptałaby mu pewnie całą prawdę, ale męża się lękała, nie darowałaby jej tej zdrady... Stało się tak, iż na dzień naznaczony, a nawet

i godzinę, stawił się Wacek. Zajechał do karczmy, której gospodarza mu brat wypisał.. Tu przyjęto go i wprowadzono do stancyi, ale Żyd filut, namówiony, nie powiedział, o co chodziło, zapewnił tylko, iż pan Paczura wkrótce nadjedzie—z przyjaciółmi—i radził się ubrać.

Wszystko to tak było ciemne i niezrozumiałe, iż Wacka niecierpliwić zaczynało. Napadł na Żyda, aby mu powiedział coś więcej, ten uciekł, ręką, że o niczem nie wie.

Już było około południa; gdy Wacek ubrawszy się jak od święta, z czapką na bakier, wyszedł przed karczmę. Zły był i zżymał się. Nie lubił sekretów,—miało to minę, że sobie z niego zażartować chciano—nie lubiał też żartów...

Wtem groblą poczęły się ukazywać jadące powozy... Jeden, dwa—cztery—sześć, konie w kokardach, woźnice z bukietami przy kapełuszach... Zdumiał się. Wszystko to wprost potoczyło się przed kościół. Nie myśląc już wiele, czapki poprawiwszy, poszedł i Wacek... Zaledwie miał czas do parkanu się zbliżyć, gdy ujrzał brata wystrojonego z bukietem... po prawej stronie!!

Tuż w powozie drugim panna jechała w bieli, w wianku, z czarnemi oczyma... a! ale nie panna Konstancya. On nie znalazł w niej do tamtej żadnego podobieństwa...

Zaczęło mu się dopiero w głowie robić jasniej.



Brat się żenił! a! więc i on nareszcie rozwiązany był, a panna Konstancya już mu swej ręki odmówić nie mogła...

Zapomniawszy o wszystkim, rzucił się brata ścisnąć...

Łzy mu z oczu płynęły. Byłby ścisnął znajomych i nieznanych, tak mu się serce otworzyło szeroko, tak mu w piersi zrobiło się ciepło, taką radością zapłonęło w nim, od stóp do głów...

Więc powitania, radości wielkie i śmiechy... zaprowadził go Wicek do swej bogdanki i przedstawił, Zuzia z za łez dziewczyczych spojrzała nań... Trzeba było iść do kościoła, bo już w nim organista marsza grał, aż się rozlegało.— O! dziwny zbieg wspomnień... Marsz to był, którego niegdyś grywał Małachiewicz na organach w Borusławicach, a chłopcy nieraz, w niedostatku innej siły, lub przez swawolę, kalikowali do niego... Obu im na myśl wnet przyszły pierwsze owe lata... i Małachiewicza nauka i dzwony, pod którymi się wysypiał Bartoch i pocciwy Mamert i stara Magdalena. Jakież było zdziwienie Wacka, gdy z innymi wchodząc do drewnianego kościółka, w drzwiach zakrystyi ujrzał ks. Paczurę, który czekał z agendką w ręku na państwa młodych..

Wszystko się odbyło jak najuroczyściej, a Wacek łzy miał na oczach—ślub ten był nie-

jako własnym jego, od tak bardzo dawna upragnionym.

Gdyby był mógł, uściskawszy brata, puściłby się natychmiast do Muchomorów, aby panie Konstancyi oswobodzenie zwiastować. Po ślubie dla uspokojenia go, doniósł mu ks. Paczura, iż sama starościna, tegoż dnia co on do Horodła, wybrała się do Rewnowskich, aby dobrą zwiastować nowinę.

Z kościoła wszyscy musieli ruszać do Mysłowskich, gdzie wesele przygotowano, a stary dzierżawca bardzo dbał o to, aby było suto i świetnie.

— Posag czy dam, czy nie, to sprawa inna, ale żeby ludzie o weselu mojej córki jedynaczki lat kilka nie mieli co rozpowiadać—to nie może być! Jakem pocziw!

Sprowadził więc Mysłowski na to wesele i muzykę z Włodzimierza, i wino z Łucka, i nawet fajerwerkera od Lubomirskich, ażeby sztuczne ognie z cyframi wyprawił.

Moździerzy kilka pod oknami ustawiono. Kucharzy pięciu kłóciło się, swarzyło, smażyło, popijało w kuchni i masło łyżkami na ogień dla podsycania go ciskało. Kiedy hulać, to hulać...

Caluteńkie sąsiedztwo było zaproszone, a że na stoły nie stało miejsca w budynku mieszkalnym, uprzątnięto szopę, umajono ją sośniną i jedlinką, obwieszano wiencami, z tarcic na

prędkie ułożono podłogę, i z niej naprzód jadali, potem balową salę uczyniono.

Mysłowski, gdy mu syn lub żona czynili uwagi, co to będzie kosztowało, odpowiadał:

— Niech kosztujc, co chce! musi być.—Córka jedynaczka... a Mysłowskiego stanie na to!

Trzy dni trwało owo wesele, a czwartego wyproszono się na przenosiny, gdzie znów Wicek musiał wystąpić—choć skromniej daleko. Żona mu sama rozkazała, aby się nie wazył czynić zbytków. Mysłowski nie miał tego za złe, bo rad był zakasować nawet zięcia.

Zwykłym trybem odbywały się obrzędy przyjęcia... z chlebem i solą na domowym progu.

Przypadło Waćkowi witać tu bratową, a przyjmował ją serdecznie, myśląc, jak jego Kostusie też w progu nowego domu, sędzina powita.

Dopełniwszy tego obowiązku, gdy i stary ks. Paczura, pobłogosławiwszy wszystkie kąty, spieszył zmęczony do domu, Wacek z nim się zabrał, a ztamtąd już wprost nie do Zalesia, ale do Muchomorów, gdzie się spodziewał zastać starościnę.

Stryja na probostwie wysadziwszy, na całą noc ruszył Wacek.—serce mu się w piersi tłukło, a usta Bogn dziękowały. Tyle lat oczekiwania, przestał się już być nawet spodziewać.

W Muchomorach... gdy wyskoczył z brycz-

Bracia rywale.

ki przed gankiem, tuż mu obie ręce nastawił do uścisku sędzia... Razem weszli do pokoju. Konstancya siedząca przy staroście, wstała zarumieniona, z uśmiechem na ustach i—przebaczyli pewnie Wackowi wszyscy, iż do niej wprost poszedł i pierwszą ją przywitał. Całując rękę jej, czuł, jak drżała. Nie mówili słowa, słów nie było potrzeba.

Kolej przyszła na sędzinę uszczęśliwioną jak dziecko, szczebioczącą, śmiejącą się, na starośćinę, potem na resztę towarzystwa.

— Mój mąż—to człowiek, co czasem dla figla gotów kogo nabawić choroby,—odczuwała się starościna,—ale się na niego nie gniewaj. On to wszystko tak ułożył! Aż mi waćpana żal było.

Wacek szczęśliwy przebaczyłby był naówczas najsroższą urazę, a wiedział dobrze, iż starosta też za figla wynagrodzi. Śmiano się i opowiadano, jak nadjeżdżające wesle zdziwiło o niczem niewiedzącego brata. W spisku byli wszyscy, i niespodzianka zupełnie się powiodła. Sędzina ciekawa niezmiernie dopytywała się o młodą bratową, jak wyglądała, bo wieść już tu doszła, że miała być do panny Konstancyi podobną. Wacek protestował i zaprzeczał, a miał słuszość może.

Podobieństwo to upatrzone w dziewczecze, znikło w dorosłej panience, dopełniła go Wickowi wyobraźnia i tęsknota. O szumnem we-

selu mówił Wacek, lecz tylko dla tego, aby przeciw podobnemu protestować...

— A już to daruj, kochanie,—odezwał się sędzia,—raz się dziecko z domu daje—cichaczem je tak wyprawić, bez uroczystości należytęj—to cygańskarzecz... Weselisko musi być, co się zowie... To darmo... A obyczaj stary! Tem się też nie godzi pomiatać. Jak zaczniemy wszystkiem pomiatać, jak zaczniemy wszystko przerabiać, nic nie zostanie...

Znaleźli się w pokoju wszysej domownicy, oprócz w Bogu już odpoczywającej strukezaszyny, która podobno grzybów nadto zjadłszy, ze światem się pożegnała, — oprócz starego o dwu kijach Rewnowskiego, który się z łóżka nie ruszał.

Hadziakiewicz witał Wacka radośnie, czując, że przy weselu, które się obiecywało, do nie jednej czupryny bezkarnie będzie mógł wziąć intromisyę.

Nie opierała się więcej panna Konstancya, wesele naznaczono za parę tygodni, gdyż wszystko niemal doń gotowem było. Dom w drugiej wsi, którą puszczała młodym Rewnowscy, od dawna był odnowiony i urządzony; wyprawę sędzina od pierwszego roku rozpoczynawszy, coraz już tylko niepotrzebnemi dodatkami wzbogacała. Bielizna szlázka z Wrocławia dawno była sprowadzona, na suknie ma-

teryc leżały, kuny przewietrzano tylko, aby ich mole nie jadły...

Ks. Paczura też prosił o pośpiech:

— Niech ja jeszcze Wackowi pobłogosławię, to już później oczy zamknę spokojnie,—a— wielki na to czas... Zmęczony jestem, podbity i do niczego niezdatny. Z probostwa do kościoła ledwie dołazę, wikarym się trzeba wyręczać, summy odśpiewać trudno,—po co się człowiek zdał na świecie?

Stało się, jak sobie życzył ks. Paczura: dawał ślub i Wackowi, na który oboje starostwo a prócz tego mnóstwo obywatelstwa zjechało. Starosta, nie chcąc ani spadkobiercom swym krzywdy uczynić, ani wychowawcowi okazać obojętności, puścił mu prawem dożywotniem wioskę dobrą, zapewniając jej trzymanie dla obojga małżonków.—Wieek z żoną stawiał się na ślub brata, a tu mogli wszyscy porównywać, kto chciał dwie panie, które tylko z pięknych może oczu były do siebie podobne. Zuzia żywszą nierównie będąc, śmiała się, biegała, dziecinną prawie wydając się przy poważnej Konstancyi, której wesołość nawet przybierała wyraz uroczysty. Pokochały się one, mimo tej pozornej charakterów różnicy,—jak siostry, od dnia pierwszego,—i miłość ta przetrwała potem lata długie, jak ta, co dzięki Konstancyi, łączyła teraz obu braci rywali.

Tak się kończą proste te dzieje kilku serc i kilku ludzi, innych, różnych bardzo od naszych czasów. Nie tylko powłoka i barwa zmieniły się dzisiaj,—podobni ludzie w położeniu jednakim, w naszym świecie całę inaczęj postępiliby sobie. Pobudki czynów, sprężyny władnące, wszystko teraz z innego kruszczu, kształtem innym, nastrojone różnie. Gorzej? lepiej? któż to powie? Przez gorsze idzie się do lepszego, a dróg dziejów ludzkich sędzią jest Ten, co je wyznacza.

5 Września 1876. Drezno.



**Biblioteka Raczyńskich**

**JK2405**



**JK2405**